

BIOGRAFIA LIDERA KONFEDERACJI

Janusz Korwin-Mikke na wojnie
z Parlamentem Europejskim



TYGODNIK LISICKIEGO

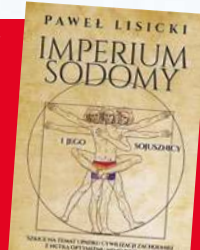
NR 27/534 3-9 LIPCA 2023

CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

DO
RZECZY

Zagadka buntu Prigożyna:
Jak do niego doszło?
Co czeka buntowników?

IMPERIUM SODOMY
I JEGO SOJUSZNICY
- FRAGMENT
NOWEJ KSIĄŻKI
PAWŁA LISICKIEGO



Największe manipulacje
Aleksandra Kwaśniewskiego

Niewygodna pamięć o Wołyniu

UKRAIŃSKIE LUDOBÓJSTWO NA POLAKACH – BITWA O PRAWDĘ



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



9 772299 850000

Nakład: 52 000 egzemplarzy

Rodzina Jasiończaków z Woli
Ostrowieckiej, zamordowana
w 1943 r. przez UPA

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~537~~ zł

W PREZENCIE PAKIET KSIĄŻEK

KS. R. SKRZYPCZAK, P. CHMIELEWSKI:
„OGIEŃ W KOŚCIELE”, BP J. E. STRICKLAND:
„ŚWIATŁO I ZACZYN” ORAZ KARD. W. J. EIJK,
A. GALLI: „BÓG ŻYJE W HOLANDII”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

219,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 318 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl c6b73b7308



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nasza największa miłość

Jeden z najciekawszych sondaży, które ostatnio czytałem, nie dotyczył wcale – jak można by się spodziewać – sytuacji politycznej w Polsce, ale stosunku Polaków do Stanów Zjednoczonych i polityki Joe Bidena. Najpierw trochę danych.

Otóż – jak wynika z globalnych badań Pew Research Center – Polacy mają najbardziej pozytywną opinię na temat Stanów Zjednoczonych ze wszystkich narodów na świecie. Amerykę lubi aż 93 proc. polskich uczestników sondażu! Dla porównania: do USA pozytywnie nastawionych jest 52 proc. Francuzów, 57 proc. Niemców, 59 proc. Brytyjczyków i 60 proc. Włochów. Jak widać, Polacy wszystkich biją pod względem pozytywnego nastawienia o głowę. Najmniej pozytywnie o USA myślał mieszkańcy Węgier – 44 proc.

Może jeszcze ważniejsze było inne zagadnienie: ilu ludzi sądzi, że podejmując decyzje polityczne, Amerykanie biorą pod uwagę korzyści danego państwa. Otóż rekord znowu przypadł w udziale Polakom – aż 67 proc. badanych twierdzi, że amerykańscy politycy kierują się polskim interesem. W przypadku Niemiec to 59 proc., Wielkiej Brytanii – 49 proc. Najmniej po Amerykanach i ich polityce spodziewają się Francuzi – 30 proc. i Hiszpanie – 19 proc.

Wyraźnie też widać, że w Polsce ten wzrost zaufania co do amerykańskich intencji poszybował w górę w ciągu ostatnich dwóch lat, co wiąże się z reakcją Waszyngtonu na rosyjską inwazję na Ukrainę. Co z tego wszystkiego wynika?

Pierwsze spostrzeżenie jest banalne – wygląda na to, że Joe Bidenowi znacznie łatwiej byłoby

wygrać wybory w Polsce, gdyby tu ubiegał się o prezydenturę, niż w Ameryce. Tam poparcie dla jego polityki wobec konfliktu rosyjsko-ukraińskiego systematycznie spada. Stanowczo krytykuje go dwóch najważniejszych konkurentów republikańskich, Donald Trump i Ron DeSantis, a także szybko zdobywający popularność polityk demokratyczny Robert Kennedy.

Wszyscy trzej sądzą, że duża część odpowiedzialności za obecną wojnę spoczywa na samym Waszyngtonie, który to w pewnym stopniu sprowokował Moskwę. Wszyscy uważają też, że podtrzymywanie tak ogromnej pomocy dla Ukrainy – zarówno finansowej, jak i militarnej – jak robi to prezydent Biden, mija się z celem. Na polu Ukraińcom, twierdzą krytycy Bidena, wojny wygrać się nie uda, a jedyne, co się osiąga, to drastyczny wzrost strat ludzkich. Nie muszę mówić, że argumenty te ogół Polaków odrzuca, widząc w nich przejaw rosyjskiej propagandy. Każdy, kto wątpi w zwycięstwo Kijowa, pełne i bezwarunkowe, w istocie służy interesom wroga. O ile w Polsce wybory wygrałby Biden, o tyle żaden z jego konkurentów nie miałby na to szans i z poglądami, które głoszą, trafiliby zapewne przed komisję badającą wpływy rosyjskie, gdyby taka powstała.

To prowadzi mnie do drugiego spostrzeżenia: utożsamienie interesu własnego państwa z interesem supermocarstwa jest ryzykowne i, szczerze mówiąc, dziecinne. Inaczej niż w wielu innych państwach zachodnich, a nawet inaczej niż w samych Stanach Zjednoczonych, w Polsce brak dyskusji na temat tego, czy Amerykanie odnoszą konkretne korzyści z wojny i czy faktycznie

zawsze jest to tożsame z korzyściami Polski. Nikt z liczących się polityków nie pyta i nie bada (całkiem inaczej niż właśnie na Węgrzech) wzrostu przychodów amerykańskich firm zbrojeniowych; nad Wisłą nie dyskutuje się też w ogóle nad kosztami kupowanych od naszego sojusznika surowców czy innych produktów.

Wreszcie sondaż pokazuje też, jak łatwo manipulować polskimi emocjami. Wiedząc o tak wielkiej sympatii, amerykańscy politycy mogą sobie pozwalać w Polsce na o wiele więcej niż gdziekolwiek indziej. Trudno się dziwić, że z tego korzystają. Cóż, skoro cokolwiek by zrobili, z góry zostaje uznane za wyraz troski o Polskę, to możliwości negocjowania z nimi i obrony polskich interesów są niewielkie. Mając takie poczucie siły, pani Georgette Mosbacher mogła rozstawiać po kątach polskich ministrów i, szczerze mówiąc, niewiele od niej różni się zachowanie jej następcy.

Pojawia się pytanie, jakie są źródła tego polskiego proamerykanizmu. Pewnie powodów jest kilka. Po pierwsze, to mit walki o wolność naszą i waszą jeszcze z czasów Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego. Nie mogąc zachować własnej niepodległości i czcić tych, którzy ją ocalili, bośmy ją stracili, Polacy przerzucili swoje uczucia na Amerykę. Po drugie, ściśle wiąże się z tym wiara w Amerykę jako ostoję wolności i swobód. Wreszcie jawi się Ameryka Polakom jako dobroćliwy obrońca światowego ładu, który występuje zawsze po stronie dobra w starciu z mocami zła, które to reprezentuje obecnie wyłącznie Rosja.

Trudno mi w tym dostrzec objaw dojrzałości. ©



TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA

DIALOG WOŁYŃSKI. ŚCIEŻKI I BEZDROŻA

Ciężar dialogu na barkach Kościoła

17 ŁUKASZ WARZECHA

WOŁYŃ: WIDMO HAŃBY

20 ROZMOWA Z KS. TADEUSZEM

ISAKOWICZEM-ZALESKIM

PREZYDENCI DUDA I ZEŁENSKI GRAJĄ NA CZAS

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

W PUŁAPCE ŚREDNIEJ KAMPANII

Sytuacja PiS przed wyborami

26 ŁUKASZ ZBORALSKI

BÓJ O MIGRACJĘ

28 TOMASZ ROWIŃSKI

PODKARPACIE NIE CHCE GENDER

KULTURA

30 PIOTR GOCIEK

INDIANA JONES I DEPRESJA STAROŚCI

Kino wyczerpania

NIE PRZEGAP

34 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

40 PAWEŁ LISICKI

TRAGICZNA WIDZIALNOŚĆ CHOROBY

Od Freuda do wokeizmu i ideologii trans

43 CEZARY ZAWALSKI,
TOMASZ CUKIERNIK

KORWIN NA WYGNANIU

46 DR MICHAŁ CHABEREK O.P.

TEOLOGIA JOHNA TEMPLETONA

49 ROZMOWA Z BARBARĄ STANISŁAWCZYK

ASYMETRIA WDZIĘCZNOŚCI

HISTORIA

52 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

DZIWNY PRZYPADOK GENERAŁA KORNIŁOWA

Revolucja i absurdałna intryga

56 RAFAŁ ŁATKA

MANIPULACJE KWAŚNIEWSKIEGO

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI

TAJEMNICA BUNTU WAGNEROWCÓW

Powody sprzeciwu i scenariusze na przyszłość

62 PIOTR WŁOCZYK

SZANTAŻ „DRUGIM CZARNOBYLEM”

64 MARIA KĄDZIŁSKA

NOWY KRYZYS KUBAŃSKI?

66 AGNIESZKA GOŁAŃSKA-BAULT

REMEDIUM NA DECHRYSTIANIZACJĘ FRANCJI?

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI

HISZPANIA POD „OKUPACJĄ”

Narasta problem z dzikimi lokatorami



STYL

72 JOANNA
BOJAŃCZYK

DIWA POPU I BIZNESU

Beyoncé bez
kompleksów

„DO RZECZY” NA WAKACJE

74 RADOŚLAŃ WÓJTAS

POLACY W KRAINIE OGNI

Polskie ślady na świecie

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Oliver Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniewicz,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapart

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadlo.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadarowski (dobrać zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSOVNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
Okładka: **Ze zbiorów Leona Popka/IPN**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska,
Jolanta Klor

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Polska specjalność eksportowa Kapuś”, Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz” nr 25/2023

Szanowna Redakcjo!
Tekst red. Rafała A. Ziemkiewicza jest wstrząsający. Oczywiście znam wszystkie fakty omówione w eseju Autora. Jednak ułożenie ich obok siebie, pokazanie na tle zachowań innych narodów, powala. Pierwszym krokiem, jak sądzę, jest pocucie klęski; potem pogardy dla lepszych od siebie. Pytanie: Jak zaszkodzić tym, którzy zwyciężyli? Jeśli jesteśmy za słabi, to trzeba poprosić o pomoc tych, którzy mają podobne do nas interesy. Obcy nie wymagają prawdziwych informacji, one mają wyłącznie przedstawić ekipę rządzącą jako niepasującą do światłej Europy. Tak więc słabość, pogarda, kłamstwo i bezwstyd, najbardziej tragiczny. Pojęcie zdrady ograniczono tylko do działalności szpiegowskiej, ale donosicielstwo powinno należeć do tej kategorii. Właściwie żal mi tych ludzi, przynależność partyjna zastąpiła tożsamość narodową. I ta choroba jest nieuleczalna...

Z poważaniem
J. Sarosiek

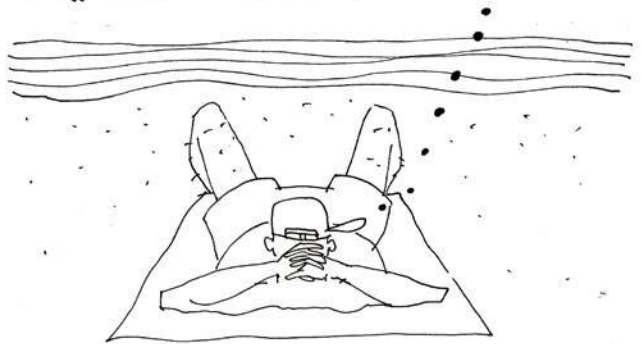
Apel

Szanowna Redakcjo,
chciałbym wyrazić ubolewanie z powodu coraz częstszego stosowania w debacie publicznej argumentów polegających na

zarzucaniu komuś prorosyjskości. Tego typu zachowanie miało miejsce w czasie niedawnej debaty na temat przeszłości polsko-ukraińskiej w IPN, podczas której red. Paweł Lisicki usłyszał od swojego interlokutora, że ten „prowadzi prorosyjski tygodnik”. Była to reakcja na trafną analogię, w której red. Lisicki porównał zakazywanie mówienia o zbrodni wołyńskiej ze względu na „przyjaźń” z Ukrainą do niegdysiejszego zakazywania mówienia o Katyniu ze względu na „przyjaźń” ze Związkiem Radzieckim.

Warto przypomnieć, że poruszanie tematu zbrodni wołyńskiej jest ważne dla zachowania prawdy historycznej i pamięci o ofiarach. To przede wszystkim obowiązek wobec tych, którzy

z jednej stłokę Gtupa Wagnera,
z drugiej Gtupa Webera.. a dajcie
chwile poleżeć...



6 x 7 12 topa 8 e to - je 1 + 8

zostali zamordowani, a także wobec naszej przyszłości jako narodu i nie można pozwolić na zacieranie pamięci o tym tragicznym wydarzeniu. Zamiast oskarżeń i insynuacji powinno się skupić na merytorycznej argumentacji i poszukiwaniu rozwiązań, które służą naszemu wspólnemu dobru. Dlatego warto w tym miejscu zaangażować do wszystkich uczestników debaty publicznej o przestrzeganie zasad merytorycznej dyskusji i unikanie stosowania takich szkodliwych argumentów. Tylko w ten sposób możemy stworzyć przestrzeń dla otwartej, wolnej i skutecznej debaty.

Adam Wąsikowski



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Płonąca Francja

Nie ma co się oszukiwać. Tragiczny wypadek z udziałem młodego czarnoskórego nastolatka, który zakończył się strzałem policjanta, będzie na pewno wyjaśniany pod kątem zasadności użycia broni. Ale kreowanie go na dowód wrogości francuskiej policji wobec emigranckiej młodzieży to tylko próba uładzenia wizerunku sytuacji między przybyszami z Afryki a francuskim państwem. Co pewien czas w każdym kraju dochodzi do przypadku, w którym policjant wskutek swojej winy lub też niebezpiecznej sytuacji, do której doprowadza przestępca, używa broni; często z tragicznym efektem. Młody afrykański emigrant sam wykreował sytuację niebezpieczną dla siebie, odmawiając poddania się kontroli i próbując uciec policji.

Jeszcze 30 lat temu takie sytuacje były oceniane jednoznacznie. Każdy, kto stawia opór policji, musi liczyć się z tym, że policjant użyje broni. Na każdy przypadek zabójstwa czarnoskórego w Ameryce, który potem staje się zarzewiem do

gigantycznych manifestacji, przypada ileś sytuacji, w których w wyniku niewyciągnięcia na czas broni policjanci giną z rąk przestępców. Tyle że śmierć policjantów wywołuje co najwyżej śledztwa wewnętrzne, skargi i protesty związków zawodowych stróżów prawa. A jak w wypadku zginie młody czarnoskóry nastolatek, to jest to sygnał do erupcji całej niechęci imigranckiej młodzieży do państwa, które ich utrzymuje, ale którego nie cierpią z tysiąca różnych powodów.

Fala zamieszek, która rozplenila się po całej Francji, przypomina niedawną erupcję przemocy po śmierci George'a Floyda. Zaczęto palić sklepy, rabować magazyny, podpalać samochody i wszystko to działo się zawsze pod crescendo lewicowych aktywistów, którzy winą za to, co się działo, obciążali „białych heteroseksualnych mężczyzn”.

Prawda jest taka, że społeczeństwa czy to amerykańskie, czy to francuskie, wytworzyły sobie imigrancki proletariatus, który gardzi państwem i który każdy taki przypadek uznaje za sygnał do niszczącej rewolty. Obywatele Paryża,

Strasburga czy Marsylii cały rok siedzą na potencjalnej społecznej bombie. Wystarczy, że zginie jakiś nastolatek i obwiniona zostanie za to policja, a rusza imigrancka fala zemsty. Nie mają na to wpływu żadne organizacje społeczne, żadne rodziny ofiar czy partie polityczne. I trudno się dziwić, że Polacy oglądając te obrazki, uznają dużą liczbę imigrantów za nieszczęście, które zachodnie społeczeństwa zafundowały sobie na własne życzenie.

W mediach społecznościowych lewicowi internauci oburzają się, że prawica wykorzystuje zamieszki we Francji do utrwalania się w oporze do pomysłów dystrybucji imigrantów przez Komisję Europejską. Ale jest to oczywisty wniosek przyczynowo-skutkowy. Francja dorobiła się gigantycznych imigranckich dzielnic dookoła Paryża i obszary te płoną, gdy tylko pojawi się kolejny pretekst. Nie można winić wschodnich Europejczyków, że nie chcą żyć jak Francuzi na tykającej bombie zegarowej imigranckich wybuchów nienawiści. ©©



JOANNA SIEDLECKA Z PRESTIŻOWYM WYRÓŻNIENIEM

Pisarka, reportażystka i felietonistka tygodnika „Do Rzeczy” Joanna Siedlecka podczas gali na Zamku Ujazdowskim w Warszawie otrzymała specjalne wyróżnienie w kategorii „Osobowość kultury”. Nagrody Giganci Kultury 2023 Grupa Polska Press przyznała w kategoriach: „Przestrzeń kultury” (zdobyła ją Muzeum Tatrzańskie im. dr. Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem), „Zaangażowani w kulturę” (otrzymała ją Polska Opera Królewska), „Inwestycja” (zwyciężyło Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku), a także „Wydarzenie kulturalne”, „Mecenas kultury” i „Osobowość kultury”.

Tunel w Świnoujściu już otwarty!

Aby przejechać między wyspami Uznam i Wolin, nie trzeba już korzystać z promów. 30 czerwca uroczystie otwarto tunel po Świną, który łączy dwie części Świnoujścia. Wraz z drogami dojazdowymi liczy on w sumie aż 3,2 km długości, z czego część wydrążona maszyną TBM ma 1484 m. Jest więc najdłuższą podwodną przeprawą w Polsce. Najgłębsze miejsce pod dnem cieśniny Świny jest na poziomie 38 m p.p.m. Na realizację tej inwestycji mieszkańcy oraz turyści czekali od wielu dekad; aby dostać się do centrum musieli oni – zwłaszcza w wakacje – czekać w długich kolejkach na prom. **(jap) ©**

FOT. MARCIN BIELECKI PAP



REKLAMA

Wraz z funkcjonariuszem Peterem Grantem zapraszamy do pełnego magii i tajemnic Londynu.

Poznaj świat, w którym brutalna rzeczywistość miesza się z nadnaturalnymi zjawiskami, w mieście które hipnotyzuje.

ZYSK I SKA
WYDAWNICTWO

Niesamowita i dowcipna podróż w świat magicznych przygód, czarujących postaci i kryminalnych zagadek.





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wykrywacz idiotów

Kolejne wzmoczenie! Teraz z kolei w obronie „wolnych mediów”, zagrożonych przez PiS. Wzmogła się Rada Przedsiębiorczości, wzmogło się kilku tam lewicowo-liberalnych redaktorów naczelnych, a najbardziej oczywiście wzmogły się tzw. „Fakty” TVN, które z tego wzmocnienia zrobiły „jedynekę” głównego wydania. No, pomyślałem, widocznie wreszcie, po miesiącach, dotarło do nich, że zamknięcie przez ABW telewizji wRealu24.pl było sądowym stwierdzeniem bezprawiem, że takim samym bezprawiem i grana jest utrzymywana wciąż, dzięki wykorzystaniu bezwładu sądów, blokada portalu nczas.com. Stare sprawy, ale lepiej późno niż wcale.

Oczywiście nie – o przykładach autentycznego bezprawia i łamania wolności słowa wzmoczeni mają do powiedzenia tyle samo, ile swego czasu o wjeździe ABW do „Wprost” czy załatwieniu przez ludzi Tuska wyrzucenia redaktora Jankowskiego z „Faktu”. Nie, ich oburzenie wzbudziły enuncjacje redaktorów naczelnych Kapusty z Wirtualnej Polski i Węglarczyka z Onetu.

Problem jest tylko taki, że nie ma w nich niczego poza ogólnikami. Podobno, słyszał Kapusta, jakaś spółka Skarbu Państwa złożyła ofertę zakupu wp.pl. Ale, widać, nie była to propozycja „nie do odrzucenia”, skoro portal właściciela nie zmienił. Podobno ktoś „sugerował” Kapuście, aby kogoś zatrudnił lub nie. A już istnym kuriozum są żale Węglarczyka,

którego jakaś „osoba związana z PiS” (Czyli? Bo dla tego kręgu „związany z PiS” jest każdy, kto nie z ich bańki) namawiała, że powinien mieć zastępcę do spraw pisania o rządzie, który na dodatek miałby podlegać nie jemu, tylko bezpośrednio zarządowi. Nie, nie zarządowi PiS, tylko spółki Ringier Axel Springer Polska. Rozumieją państwo perfidię tej propozycji? Mark Dekan był przecież znany ze swego oddania PiS, a jego następca pewnie nie lepszy. No i każdy, kto zna układy w korporacjach, wie, że jak w takim Onecie Węglarczyk co zarządzi, to zarząd spółki nic nie ma do gadania. Serio to mają być te „zagrożenia” dla wolności słowa, które z pozoru poważnym ludziom i organizacjom kazały się rzucić w wir kampanii wyborczej PO? ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Optymistyczne bezdroża

Sławomir Mentzen mówi, że „nie ma większego sensu robić referendum w sprawie, w której zgadzają się wszyscy Polacy”, bo „nikt w Polsce nie chce się godzić na przymusową relokację nielegalnych imigrantów”, a „cała klasa polityczna mówi w tej sprawie jednym głosem”. To sympatyczne, że polityk, któremu imputuje się nieokiełznany radykalizm, z przekonaniem mówi o wartości narodowego konsensusu.

Inna rzecz, że mówi to w sposób typowy dla przywódców niemających jeszcze doświadczenia państwowego, myląc politykę wyborczą z polityką państwa. Przekonanie, że wystarczy potwierdzić

popularność jakiegoś stanowiska w wyborach, by automatycznie stało się polityką Rzeczypospolitej, jest charakterystycznie naiwne. Kampanie wyborcze rozgrywają się w sferze świadomości, o sukcesie decyduje popularność podnoszonych spraw. Polityka państwa musi sforować wiele realnych przeszkód.

Pierwsze polskie wybory do Parlamentu Europejskiego wygrały partie (w kolejności wyników – PO, LPR i PiS) bez wyjątku krytykujące propozycję Konstytucji dla Europy. Consensus zawsze najlepiej potwierdza jego najsłabsze ogniwo. Tusk w tamtych czasach, w 2004 r., publicznie „dziwił się”, że są w polskim Sejmie

„entuzjaści traktatu konstytucyjnego, który osłabia, a nie wzmacnia pozycję polityczną Polski w Europie”, i krytykował „niezrozumiałe dla Polaków wyrzeczenie się chrześcijaństwa w zapisach traktatu konstytucyjnego”. Partie licytowały się w sprzeczności wobec unijnego wiarołomstwa, czego najgłośniejszą manifestacją stało się hasło „Nica albo śmierć”. Minęły ledwie trzy lata i PiS z PO wspólnie ratyfikowały traktat lizboński, będący po prostu Konstytucją dla Europy bez nazwy.

Dojrzała opinia publiczna nie tylko reaguje na atrakcyjność postulatów, ale przede wszystkim oszacowuje wiarygodność tych, którzy postulaty te głoszą. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Mozesz już wyjść, Piłgoczy
już sobie poszedł...



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Awantury o matury

Ponad pół miliona Włochów zdawało w czerwcu matury. Egzaminy przebiegły spokojnie, maturzyści nie zgłaszali pretensji. Jednak za sprawą superpostępowego dziennika „La Repubblica”, który uczy progresistów i poprawnych, co myśleć i jak żyć, po raz pierwszy w historii Italii wybuchła ogólnonarodowa kłótnia o tematy do wyboru na egzaminie pisemnym z włoskiego.

Maturzyści mogli wybierać spośród siedmiu tematów. Jeden dotyczył Alberta Moravii, wybitnego XX-wiecznego powieściopisarza, drugi poezji Salvatore Quasimodo, laureata Literackiej Nagrody Nobla w 1959 r., a trzeci Oriany Fallaci, zmarłej niedawno wybitnej dziennikarki i eseistki. Znalazło

się też miejsce na pandemię i aplikację WhatsApp.

Co na to „La Repubblica”? Trzymajcie się za warkocze: „Wybór tematów podyktowany był konserwatywną wizją Italii – heteroseksualnego, trochę ludycznego kraju męskiego szowinizmu, mieszczaństwa, nacjonalizmu, ludzi białych i nostalgii. Żadnego nawiązania do kobiet i feminizmu, do migrantów czy ekologii. Zaproponowane maturzystom tematy kreślą nam przyszłość Italii, w której kobieta jest niczym, nie ma miejsca na różnorodność [chodzi o LGBTQ+ – przyp. P.K.], na zmiany klimatyczne czy gigantyczną migrację z jednej części świata do drugiej. Sklerotyczna przeszłość przedstawiana jest jako czas glorii i chwały”.

Absurdalny tekst „La Repubblica” zmobilizował lewicowych intelektualistów i naukowców, którzy w sprawie tematów matury z włoskiego wystosowali list protestacyjny do ministerstwa edukacji i rządu. Wybuchła ogólnowłoska kłótnia.

Nie sposób uniknąć podejrzeń, że cała awantura to otworenie nowego, „szkolnego” frontu w wojnie ideologicznej, którą zaciekrzewieni włoscy postępowcy od lat toczą z inaczej myślącymi, umiarem i zdrowym rozsądkiem. Nowość polega na tym, że zaczadzeni ideologią ludzie teraz zaczynają uzurpować sobie również prawo do dyktowania ministerstwu edukacji jedynie słusznych tematów prac maturalnych. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

BEZ HONORU

Ręce nie mają gdzie opadać. Po prostu nie mają. Nie ma tygodnia bez celebryty, który nie poszedłby do wątpliwej reputacji podcastera Żurnalisty i nie obnażył się totalnie przed całym światem. Bez jakiegokolwiek instynktu samozachowawczego oraz szacunku do ludzi, z którymi kiedyś coś go łączyło. Tym razem mowa o Jakubie Rzeźniczaku, piłkarzu, którego kariera sportowa jest już dawno echem przeszłości. Dziś funkcjonuje on w mediach przede wszystkim jako „facet bez honoru”. Dlaczego? Niech wyjaśnieniem będą słowa samego Rzeź-



FOT. MICHAŁ KLAC/REPORTER

niczaka, dotyczące jego byłej już żony. – Będąc z Edytą w związku, zdradzałem ją bardzo często. Przed ślubem też. No, nigdy w twarz sobie nie powiedzieliśmy, że wie, ale myślę, że wiedziała. To brzmi kuriozalnie, że jesteś z kimś związku i wiesz, że ktoś wie, a po prostu dalej w tym żyjesz. Patrzę z perspektywy czasu, jest to dla mnie niedopuszczalne, co ja robiłem, jak się zachowywałem, a można też patrzeć, że powinno też być niedopuszczalne, że kobieta, z którą jest się w związku, akceptuje takie rzeczy – opowiadał bez żadnego poczucia zażenowania były piłkarz Legii. Ale, ale, spokojnie, Rzeźniczak nie poprzestaje na posypyaniu głowy popiołem (a powinien). – Myślę, że miałem 24 lata. Miałem

odczucie, że związek był cały czas dobry. Jak teraz sobie patrzę z perspektywy czasu, mam wrażenie, że jak byłem piłkarzem Legii, żyliśmy w bańce. To był związek, ale można powiedzieć, że nie mieliśmy domu. Tak jak teraz sobie cenię, że mam dom, przychody i siedzimy, spędzamy czas, rozmawiamy w domu. Wtedy żyliśmy Warszawą, wszystkie posiłki jedliśmy na mieście – wspomina rozżalony. Czyli jeżeli żona nie gotowała, to można ją było zdradzać. Ma to sens.

MAMY
WSPÓŁCZUĆ?

Niestety, to nie koniec. Niemądry Kubuś nie ma zamiaru zostawić niczego dla siebie. Opowiedział więc o romansie z niejaką Ewelina, którą poznał, gdy jego żona akurat przebywała za granicą. – Z Ewelina nie byłem nigdy w związku. Pamiętam, że poznałem się z Ewelina, jak moja była żona wyjechała kręcić „Agenta” i jej nie było w Polsce. Nigdy tego nie chciałem mówić, ale sytuacje, które się wydarzyły w ciągu ostatnich lat... Człowiek ma swoje granice, co może znieść. Ewelina poznałem przez kolegę, który zajmował się załatwianiem dziewczyn na telefon. To było potwierdzone w sądzie przez nią, że za to spotkanie zapłaciłem chyba 1,5 tys. za trzy godziny. No i tak się to zaczęło – wyznał w podcaście Żurnalisty. Przyznał, że pierwsze spotkanie zostały przez niego opłacone, a później mieli się widywać tylko „w wiadomym celu”. Zapewnił, że nigdy z Ewelina nie był na randce i jego intencją był tylko seks (jakby cokolwiek to zmieniało...). Zadeklarował, że nie było pomysłu, aby odszedł od ówczesnej żony. – My nigdy nie wypiliśmy razem kawy na mieście. Spotkaliśmy się w wiadomych celach. Z tego, co pamiętam, byłem jakimś tam bajerantem. Na początku za coś płacił, a potem jak masz w perspektywie to, że możesz z kimś seks uprawiać za darmo, po tym, jak mu sprzedasz kilka komplementów. Może mówiłem jej czułe rzeczy. Tematu, że bym odszedł od Edyty, nie było – opowiadał. Opis kolejnych

romansów nadwiślańskiego biedadonżuana państwu daruję. Niektórzy naprawdę powinni nauczyć się milczeć.

TO JUŻ JEST KONIEC

Było trochę o małym człowieku, to teraz nieco o wielkim świecie. Wielkim świecie telewizji, rzecz jasna. Choć nieco opadł kurz po zwolnieniu Katarzyny Dowbor z programu „Nasz nowy dom” w stacji Polsat, to sama zainteresowana nie kryje, że wciąż czuje żal. Chodzi nie tylko o sposób, w jaki pożegnał się z nią Edward Miszczak, lecz także o ogólne warunki pracy. – Byłam na umowach o dzieło, jak cała ekipa. Podpisywaliśmy ją na każdą transzę programu. Skończyła się transza i skończyła się umowa. Ja spokojnie mogłam iść do sądu pracy, kiedy zwolniono mnie z TVP, bo tam byłam na stałą umowę o pracę. Ale cały czas powtarzałam, że to nie ma sensu, bo jeżeli ktoś mnie nie chce, to nic na siłę – stwierdziła Dowbor w rozmowie z „Twoim Imperium”. Podsumowując relację z Miszczakiem, wskazała, że „wszystko sobie nawzajem powiedzieli”. – On mnie, ja jemu. Nie będziemy kontynuować tej znajomości. Jestem orędowniczką zamykania pewnych rozdziałów w swoim życiu – stwierdziła. Trzymamy za słowo.

PIS, DAJ
ŚWIĘTOWAĆ
NOWOŻEŃCOM!

„Przedwyborcze odmęty szaleństwa”. W tym tygodniu odmęty nietypowe, bo weselne. Córką gwiazdy informacyjnego pionu TVN, Katarzyny Kolendy-Zaleskiej, wyszła za mąż. Dziennikarka pokazała zdjęcie z parą młodą. Pozuje na nim z córką Anną i zięciem Józefem, a także z mężem Grzegorzem. Uwagę zwracają życzenia, które KKZ śle w kierunku nowożeńców: „Nasza Ania wyszła za mąż. Miłości, szczęścia, wolności i demokracji”. Do życzeń dołączyła się aktorka Maria Winiarska. „Wszystkiego Naj... w Wolnej Polsce” – napisała. Ale odklejka. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jako iż zaczęły się wakacje, z niecierpliwością czekamy na pierwsze dramatyczne doniesienia wszelkiego rodzaju polskich celebrytów o tym, jak to Polacy przeskadzają im w tegorocznym wypoczynku.

Wiecie, jak to jest: taki celebryta, a więc dowolna osoba aktorska, piosenkarska, artystyczna, influencerska lub po prostu znana z telewizora czy Internetu z powodów, o których nikt już nie pamięta, jedzie na wakacje w jakieś popularne turystyczne miejsce.

Najczęściej jest to plażing nad morzem, góry jednak rzadziej, iż komu by się chciało męczyć jakimś łażeniem. No i wtedy następuje nieszczęście, iż osoba celebrycka w tym popularnym, ludnym miejscu spotyka innych ludzi, którymi w większości są, niestety, ratunku, Polacy.

Najgorzej, kiedy taka osoba celebrycka postanowi się pobratać z ludem i nie skorzysta z siedmioletniego hotelu z prywatną plażą, do którego wpuszczają tylko tych, którzy posiadają specjalne legitymacje influencerskie. Wtedy to jest całkiem dramat, bo schodzi do poziomu zwykłego mieszkańca tego kraju i tylko się zrazi na przyszłość.

No a co takiego robią ci Polacy? Jakie są ich grzechy, pardon – czynności wywołujące obrażenia uczuć estetycznych u osób celebryckich? Zaczyna się od wizerunku. Przeciętny Polak nosi

wąsy, ma brzuch, zakłada sandały i jeśli ma grzybicę stóp, to nie nosi skarpetek, a kiedy jej nie ma, to skarpetki zakłada. W wolnej chwili zamiast aperolu pije piwo lane z kija do plastikowego kubka, zjada kiełbasę z grilla zamiast owoców morza z Bałtyku i zdjęcia wrzuca nie na Instagrama, zresztą jakie zdjęcia, nie

Od ośmiu lat mówię Polakom, żeby wrócili paść Schweineu, a oni nie...



robi przecież żadnych zdjęć, bo posiada stary telefon komórkowy, jakiegoś alcatela z klapką xD.

No i najgorzej – Polacy jadą na urlopy z dziećmi. Wiecie, osoba celebrycka poodpoczywałaby sobie w towarzystwie swojego psiecka, a nie jedzie na wakacje po to, iżby oglądać osobodzieci należące do Polaków. Zresztą te osobodzieci, że tak przypomnimy legendarny artykuł z pewnego portalu, biegają, hałasują i robią kupy na wydymach.

Dobrze, że skończył się bon turystyczny, bo strach pomyśleć, co wtedy by się działo. A w przyszłym roku będzie jeszcze gorzej, bo wejdzie to całe „800+” (chyba że pan Tusk je zablokuje, Donek musisz xD) i wtedy ta cała Polska B ruszy swoimi rozklekotanymi polonezami na ropy i łyż miejskich aktywistów już nie tylko na weekend nad morzem, ale może i na całe pięć dni, no dramat, dajcie spokój, kto to widział.

Pozostając przy kwestiach ekologicznych – dowiedzieliśmy się, iż podczas rozgrywanych w Krakowie i okolicach igrzysk europejskich odbywać się mają konkursy w skokach narciarskich mężczyzn. Jak pewnie wiecie, jest to dyscyplina jednak przede wszystkim zimowa.

Naszym zdaniem włączenie tego sportu do letnich bądź co bądź igrzysk jest jednoznacznym dowodem na ocieplanie klimatu i przebiegunowanie Ziemi. Nie wiemy jeszcze of kors jakim, no ale pomyślcie sami – skoro zjawiska kojarzone z zimą wydarzają się latem, to jednak jest coś nie tak.

A w dodatku widzieliśmy zdjęcia z gór, w których teraz – w czerwcu!!! – leży śnieg. No przyroda oszalała, kochani, widać to niezwykle wyraźnie. ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Pani z warzywniaka

Władziu, masz ten sondaż, cośmy go zamówili?

Mam, Szymek.

Powiem ci szczerze: nie jest dobrze.

Ile mamy?

Siedem przecinek dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem tysięcy procenta. Poniżej progu jesteśmy.

Szlag. Płakać mi się chce.

Nie. Żadnego płaczu nie będzie. Do kupy się musimy zebrać i zaagitować. Ty coś mówiłeś, że kolega ma szwagra, który się waha i może na nas zagłosować. Pogadaj z nim. Jakby jeszcze jego żona...

On nie ma żony.

Szlag by to! Bo ja wiem – brat, siostra, babcia. Ja to sobie przeliczyłem. Brakuje nam trzech tysięcy procenta. Jeszcze kilka osób musimy namówić.

Dobra. Ja pogadam z panią z warzywniaka obok domu.

A ja z kuzynką siostry świekry sąsiada. I lepiej, żeby się udało.

© ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Hitler zdobywał władzę przy dźwiękach Wagnera, Kaczyński chce ją utrzymać przy pomocy grupy Wagnera”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

dwaj panowie **g**

Kurz opada po wymianie szefa kampanii PiS. Jak pamiętacie, Achim Jojo Brudziński zastąpił Tomasza Stal Mielec Porębę.

Jednym z efektów, jak opowiadają wiewiórki, jest wzrost roli Adama Bielana w pracach sztabu. Tak się bowiem składa, że Poręba z Bielaniem byli na noże, a Achima z Bielaniem łączą relacje bardzo dobre. I to nie od dziś, bo zaczęło się dawno, dawno temu, kiedy jeszcze mówiąc „Bielan”, trzeba było powiedzieć jednym tchem w tym samym zdaniu „Michał Kamiński” oraz „spin doktorzy PiS”.

Sam Adam Bielan trochę ostatnio zdenerwował premiera Mateusza oraz lidera SuwPolu Zbyszka Zizou Ziobrę. Wszystko dlatego, że wiec wyborczy w Bogatyni miał być teatrem trzech aktorów: oto u boku Szeregowego Nadpremiera Jarosława Kaczyńskiego znak pokoju wymieniają Mateusz i Zbyszek. Tymczasem niespodziewanie na scenie pojawili się także Bielan czy Ozdoba, czyli plankton. Trochę hadko. Jedność jednością, ale w niej też obowiązuje kolejność dziobania.

Wiec jedności w Bogatyni na chwilę przesłoniło niespodziewane wkroczenie na powrót do rządu Jarosława Kaczyńskiego w roli jedynego Szeregowego Nadpremiera. Warto zatem dopowiedzieć, że przekazanie gałązki oliwnej między premierem Mateuszem a Zizou Ziobrą było tylko jednym z zakładanych celów. Aby w pełni zrozumieć, co się stało, trzeba wrócić nie tylko do pierwszego wkroczenia Naczelnika do rządu, ale jeszcze wcześniej, do wymiany premier Bełaty na premiera Mateusza. Uczyniono to, bo rząd zrobił się nadmiernie silosowy (czytaj: stał się luźnym związkiem udziałowych księstw), więc trzeba było interweniować. Interweniowano dwa razy – raz Mateuszem, a raz Jarosławem. A teraz? A teraz, kochani, dokładnie tak, jak poprzednio.

Wczasie, gdy PiS ćwiczył jedność na scenie w Bogatyni, działa się wiele. Swoje imprezki miała Trzeci Droga, czyli Peezel z Szymonem

2050, czyli sojusz świnek z kurkami (copyright by Piotr Zgorzelski) oraz Lewica. W Rosji natomiast odbywał się militarny stand-up Jewgienija Prigożyna. O polskim dziennikarstwie wiele mówi fakt, że podczas gdy wszystkie informacyjne stacje świata jechały Prigożynem, to polskie telewizje sympatyzujące z Eine Totalopposition wołały marginalną, ale antypisowską imprezkę kobiet Lewicy.

Apropos imprezki Lewicy. Anna Maria Żukowska (lat 40) oraz Joanna Scheuring-Wielgus (lat 53) ogłosiły na niej, że „przebiły się przez mur dziadersów”. Szanowne koleżanki, naprawdę czas wziąć na wstrzymanie z tym celebrowaniem kultu młodości. Nawet w PRL, w ZSMP za młodych uważano osobników w wieku maksymalnie do 35 lat.

Świnki i kurki zamieniły się w białe gołąbki pokoju na potrzeby konwencji Peezela z Szymonem 2050 Hołownią. Założono białe koszule bez marynarek i podwinięto rękawy. Główną atrakcją były anegdoty Szymona Płaczliwego o Gandhim oraz o używanych niemieckich samochodach. Kosiniak Tygrys-Kamysz nie próbował żartować, i bardzo dobrze, bo poczucie humoru ma równie duże, jak poparcie w wyborach prezydenckich.

Niektórzy zastanawiają się, czy przypadkiem świnki nie porzucą kurek, by jednak stworzyć jedną listę opozycji. Otóż nasze zielone wiewiórki twierdzą, że jest to wykluczone, ponieważ Kosiniak Tygrys-Kamysz postawił sobie za punkt honoru odkupienie win z przeszłości, kiedy to postrzegany był jako narzędzie Donalda do rozgrywania Waldka Pawlaka



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

i Janusza Piechocińskiego. A gdyby to kurki porzuciły świnki, to znaczy Szymon 2050 wystąpił z koalicji Trzecia Droga? Ano wtedy Tygrys-Kamysz zaryzykuje i Peezel pójdzie do wyborów solo.

Być może do niektórych uszu dotarły teatralne darcia szat paru redaktorów związanych z Eine Totalopposition mediów o tym, jakoby PiS potajemnie chciał je kupić lub/i spacyfikować oddelegowaniem do zarządów swoich ludzi. Skądinąd wiemy, że owo darcie szat jest tylko teatrem, a raczej szopką. Dlaczego? Cóż, kochani, jest coś takiego jak sprawczość. Otóż gdyby PiS chciał kupić, toby kupił.

Natomiast w ramach trudnych pytań dziennikarskich mamy takie: Czy to prawda, że jeden z drących szaty ważnych Publicystów Opozycyjnych (o którym nawet można powiedzieć, że jest AS-em) negocjował w zeszłym roku sekretnie z rzecznikiem rządu Piotrem Müllerem? A tematem negocjacji było wyproszenie, żeby politycy PiS znów przychodzili do programów wrogich publicystów? Ci bowiem narzekali na skandaliczne warunki. To znaczy chcieli, żeby traktować ich normalnie, a nie jak skrzyżowanie Mansona z Hitlerem. I wiecie, podobno AS był bardzo koncyliacyjny. I negocjacje zakończyły się sukcesem. Ale może tylko ludzie tak mówią.

Kosiniak Tygrys-Kamysz na konwencji nie próbował żartować. I bardzo dobrze, bo poczucie humoru ma równie duże jak poparcie

Eine Totalopposition tymczasem z prawdziwą determinacją przymierza się do objęcia rządów jesienią. Nie. Nie oznacza to, że piszą program wyborczy. Dziela łupy. A konkretnie stanowiska. Jednak by przejąć stanowiska, najpierw trzeba poprzedników wyrzucić. W kręgu

tw. klubu ambasadorów (zwanego niekiedy klubem безпеki) urodził się pomysł opcji zerowej. To jest jednoczesnego zwolnienia wszystkich ambasadorów mianowanych za Dobrej Zmiany. Jest tylko jeden problem – musi się na to zgodzić prezydent.

Pojawił się jednak pomysł, jak obojętne sprzeciwić prezydenta. Otóż rozwiązując umowy o pracę. Wprawdzie ambasadorzy nadal byłiby ambasadorami, ale bez wynagrodzenia. Co miałyby sprawić, że sami zrezygnują. Jednak nawet w kręgu bezpieczeństwa takie rozwiązanie uchodzi za jazdę po bandzie.

Innym pomysłem na wyrzucenie dyplomatów Dobrej Zmiany jest pozbowienie wszystkich ambasadorów dostępu do informacji niejawnych. I ten pomysł cieszy się największym uznaniem. Zwłaszcza że za rządów PO już go ćwiczyli, skutecznie wymuszając zjazd z placówek do kraju. Nigdy jednak nie działało się to na masową skalę.

Skoro już o sprawach zagranicznych. Doceniamy dobry żart, nawet kiedy nie my jesteśmy jego autorem. Więc rozbawił nas do łez termin „Grupa Webera” na określenie niemiecko-unijnej ekipy, która chce wymusić zmianę władzy w Polsce. Grupa Wagnera od wschodu, Grupa Webera od zachodu – coś, nigdy nie mieliśmy łatwo. Ale jak słyszymy, Manfred Weber swoim wywiadem i stawianiem zapory ogniowej przeciw PiS zwrócił uwagę nie tylko Polaków. Wśród kolegów z europarlamentu też. Uważają oni, że przynosi wstyd mutti.

Już wyjaśniamy – tak się składa, że Manfred Weber był jednym z najukochańszych projektów Angeli Merkel w czasach, gdy była jeszcze szefową partii i kanclerzem Niemiec. Przypomnijmy, że niewiele brakowało, by został przewodniczącym europarlamentu, a i na szefa Komisji Europejskiej był swego czasu spitzkandidat, ale stanowisko przypadło Ursuli. Manfred, jak słyszymy, ma wiele wad Angeli, ale nie ma jej zalet. Na przykład nie rozumie, że nie mówi się głośno tego, co się myśli.

Eine Totalopposition przymierza się do objęcia rządów. Nie oznacza to, że piszą program wyborczy. Dziela łupy

Oczywiście chcielibyśmy zabrać głos w sprawie shoe-gate. Chodzi o ujawnienie przez „Superaka” faktu, że Zły Donald z Sopotu nosi włoskie buty za 3,8 tys. ziko. Otóż w odróżnieniu od wszystkich niespecjalnie nas oburza ich cena, gdyż wiemy, ile kosztują dobre buty. Jednak to, co nas oburza, to fakt, że są to buty włoskie. Gdyby bowiem Donald swoje patriotyczne występy traktował poważnie, to zamówiłby takie na Chmielnej w Warszawie. Takie na miarę akurat kosztują coś koło tego.

Chcieliśmy zwrócić uwagę na jeszcze jeden niepokojący szczegół. Zły Donald nosi buty za 3,8 tys. na wiecach, czyli do pracy. Powstaje więc pytanie, ile muszą kosztować takie, które zakłada na szczególne okazje.

Skoro o szczególnych okazjach. Szczególnie zabawny jest wielki spór o nazwę między samorządowcami z Peło a Bezpartyjnymi Samorządowcami. Ta pierwsza ferajna, czyli funfle prezydenta Jacka Karnowskiego, prezydenta Sopotu, nazwała się Ruch Samorządowy Tak! Dla Polski. Tymczasem Bezpartyjni Samorządowcy (ferajna od Roberta Raczyńskiego) zaniósł do sądu wniosek o rejestrację partii Tak! Dla Polski. Dla przedstawicieli obu inicjatyw mamy nową nazwę, bardziej adekwatną. Wspólną. Ruch Dla Polski Byłoby Lepiej, Gdyby Jednak Nie My.

Na zakończenie kultura. Odkryliśmy w naszych służbach mundurowych kolejnego praktykującego rockmana. Okazuje się, że nie tylko szef CBA popyla na gitarze. Również pierwszy w Polsce generał, czyli Rajmund Andrzejczak, szarpie struny. Jest jednak basistą. Ogłaszamy zatem konkurs na bębniarza i klawiszowca. Najlepiej z ABW lub Agencji Wywiadu. ©©



Piotr Semka

Powraca wrażenie, że Ukraińcy nie mają jakiegokolwiek pomysłu choćby na podejmowanie głębszych prób nawiązania dialogu z Polską w sprawie Wołynia. W tym kontekście musi nasuwać się pytanie: Czy prezydent Andrzej Duda w trakcie swoich częstych kontaktów z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim potrafił dać do zrozumienia, że sprawę Wołynia należy potraktować z najwyższą powagą? A może rozmowy takie się odbywały, ale prezydent Zełenski faktycznie zbywa takie perswazje?

Kiedy piszę te słowa, dwa tygodnie przed 80. rocznicą „krwawej niedzieli” 11 lipca 1943 r., kiedy to dziesiątki polskich wsi na Wołyniu zostały zaatakowane przez UPA, nie jest do końca jasny pełny obraz sposobów uczczenia tej tragicznej rocznicy. Rzuca się w oczy duży kontrast pomiędzy dobrze i na czas wykonaną pracą polskiego Kościoła katolickiego i grekokatolików ukraińskich a brakiem konkretnych w kwestii gestów ze strony Kijowa. Czy dojdzie do jakiegoś rocznicowego gestu prezydentów Andrzeja Dudy i Wołodymyry Zełenskiego?

ORĘDZIE, KTÓRE MA ŁĄCZYĆ

Na 7 lipca zapowiadane jest ogłoszenie wspólnego orędzia biskupów polskich i ukraińskich, nazwanego orędziem przebaczenia i pojednania. Na razie nie wiadomo, co znajdzie się w tym dokumencie, ale z rozmaitych sygnałów, które wychodzą z polskiego Episkopatu, wynika, że można się spodziewać podkreślenia dwóch motywów.

Po pierwsze, przypomnienia, że patronem pojednania polsko-ukraińskiego był i jest św. Jan Paweł II. Ta tradycja sięga



Dialog wołyński. Ścieżki i bezdroża



Od lewej: metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski, Światosław Szewczuk, zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego, i przewodniczący KEP abp Stanisław Gądecki, Częstochowa, 27 sierpnia 2019 r. FOT. WALDEMAR DESKA/PAP

akcji odwetowych nie sposób zrównywać z zaplanowaną akcją mordu UPA.

Jednak autorytet polskiego Kościoła i sam fakt bardzo zaplanowanej i prze-myślanej akcji wspólnych obchodów wróży tej inicjatywie powodzenie. Wiele będzie zależało od taktu i mądrości obu stron. Czegoś, czym potrafił imponować Jan Paweł II. Na 7 lipca zapowiadane jest polsko-ukraińskie nabożeństwo w warszawskiej bazylice archikatedralnej św. Jana Chrzciciela w Warszawie. Wspólne orędzie wybrzmi w trakcie ofiary sprawowanej wspólnie przez abp. Stanisława Gądeckiego, szefa Konferencji Episkopatu Polski, i abp. Światosława Szewczuka, zwierzchnika Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego, wraz z bp. Witalijem Skomarowskim, przewodniczącym Konferencji Biskupów Rzymskokatolickich Ukrainy. To wtedy usłyszymy orędzie przebaczenia i pojednania. Co ważne, po mszy w Warszawie polscy i ukraińscy biskupi udadzą się na pielgrzymkę na Wołyń, do Parośli Pierwszej koło Równego.

8 lipca abp Gądecki będzie tam przewodniczył Mszy Świętej polowej i wygłosi homilię. W miejscowości tej 9 lutego 1943 r. UPA zamordowała według różnych szacunków od 149 do 173 Polaków. I wreszcie – 9 lipca w katedrze rzymskokatolickiej w Łucku biskupi polscy i ukraińscy odprawią wspólne nabożeństwo za pomordowanych.

Można powiedzieć, że sposób, w jaki do rocznicy upiornego mordu przygotowali się polscy i ukraińscy biskupi, winien zawstydząć polityków z Kijowa i Warszawy. Na razie uroczystości religijne to jedyny konkretny punkt obchodów w dniu 80. rocznicy mordu. Siła dobrej woli zaprezentowanej przez oba episkopaty może rozładować nieufność wobec tych uroczystości, które wysuwa część środowisk wołyńskich wraz z opiekunem duchowym ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim.

NIEJASNE KONTURY ROCZNICY

Po stronie polskiej jedyne szczegóły, które można uzyskać od czynników oficjalnych, to informacje, że na pewno obchody polskie skupią się na uroczystościach przy pomniku Rzezi 1943 r. na skwerze Wołyńskim w Warszawie. Nie wiem jednak najważniejszego – jaki będzie

w tych uroczystościach udział strony ukraińskiej. Z bardzo oszczędnych wypowiedzi dyplomatów i urzędników kancelarii prezydenckiej można wywnioskować, że prowadzone są rozmowy na temat wizyty w Warszawie Wołodymyra Zełenskiego. Prezydent Ukrainy mógłby odwiedzić polską stolicę w drodze na szczyt wileński NATO, który zaczyna się właśnie 11 lipca. W kontekście jego przyjazdu do Polski mówi się o możliwości wizyty przywódcy ukraińskiego pod pomnikiem wołyńskim w Warszawie. W miejscu, które upamiętnił już kiedyś prezydent Petro Poroszenko, kłękając w tym miejscu w 2016 r. Niestety, gest ten nie utrwalił się zbyt mocno w polskiej świadomości zbiorowej.

Sposób, w jaki do rocznicy upiornego mordu przygotowali się polscy i ukraińscy biskupi, winien zawstydząć polityków z Kijowa i Warszawy

Niezależnie jednak od tych – na razie dość luźnych i niezobowiązujących – sygnałów na temat możliwego wspólnego uczczenia tragedii wołyńskiej przez prezydentów obu krajów trudno zrozumieć coś innego. Dlaczego sprawy tej Andrzej Duda i Wołodymyr Zełenski nie mogli ustalić na tyle wcześniej, by teraz już było jasne, jak wyglądać będą uroczystości w tym świętym dla Polaków dniu? W marcu i kwietniu br. wzajemne relacje zwarzyła wypowiedź szefa ukraińskiego IPN Antona Drobowycza, w której mówił on o kwestii stanu pomników ukraińskich na terenie Polski. Jak stwierdził Drobowycz, strona ukraińska wielokrotnie podnosiła kwestie rekultywacji ukraińskich miejsc pamięci zdewastowanych w latach 2014–2016. W szczególności mówimy o jednym z pomników na górze Monasterz w pobliżu wsi Werchrata. Odrorestaurowano rozbity młotkiem nagrobek, ale nie przywrócono listy nazwisk żołnierzy UPA, która znajdowała się na pomniku przed zniszczeniem.

Co gorsza, od odnowienia ukraińskich pomników w Polsce Drobowycz

1987 r., kiedy to rok przed obchodami tysiąclecia chrztu Rusi papież Polak zaprosił do Rzymu na wspólne rozmowy prymasa Polski kard. Józefa Glempa i zwierzchnika Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego na emigracji, kard. Myrośława Lubacziwskiego. Kontynuacją tego dzieła była wizyta Jana Pawła II na Ukrainie w czerwcu 2001 r., w trakcie której powtórzone zostało zobowiązanie obu narodów do wzajemnego pojednania.

Drugim motywem, który zapewne wywoła znacznie więcej kontrowersji, będzie nawiązanie do użytej w dialogu polsko-niemieckim formuły „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Ta formuła wywoła niezgodę dużej części rodzin wołyńskich. Uważają one, że nieuczciwie sugeruje ona symetrię wzajemnych win. Tymczasem potomkowie rodzin zamordowanych na Wołyniu i ostatni żyjący jej świadkowie, głównie ci Wołyniacy, którzy byli wówczas małymi dziećmi, stoją na stanowisku, że mordy ukraińskie na Polakach były ludobójstwem, a polskich

■ uzależnił ukraińskie zgody na ekshumacje polskie na Wołyniu. – Strona ukraińska stoi na stanowisku, że do czasu przywrócenia tego pomnika w Polsce nie można wyrazić zgody na nowe wykopaliska i ekshumacje Polaków pochowanych na Ukrainie, ponieważ ukraińskie groby w Polsce są nadal zagrożone – podkreślił szef ukraińskiego IPN. Polski IPN wydał w odpowiedzi specjalne oświadczenie, w którym przypomniał, że istnieją spore kontrowersje, czy pomnik w Monasterzu postawiony jest w miejscu pochówku wymienionych na tablicy bojowników UPA.

Zełenskim? Polscy dziennikarze znający ukraińskie realia wskazują, że ukraiński IPN to stosunkowo niewielka instytucja zatrudniająca ok. 70 pracowników, usytuowana w ukraińskim aparacie władzy jako jedna z placówek Ministerstwa Kultury. Czy jednak sama świadomość, że dla Polaków sprawa Wołynia jest niezwykle ważna, nie powinna prowadzić do dwóch różnych rozwiązań? Albo Drobowycz winien wypowiadać się w sposób ściśle skoordynowany, jeśli nie z premierem i prezydentem Zełenskim, to przynajmniej z ministrem kultury,

naukowca. Następca Wjatrowycza, Anton Drobowycz, nie jest nawet historykiem. Posiada wykształcenie filozoficzne, któremu, jak się teraz okazuje, towarzyszy temperament żołnierza frontowego.

Za każdym razem powraca wrażenie, że Ukraińcy nie mają jakiegokolwiek pomysłu na głębsze i kompleksowe choćby próbowanie nawiązania dialogu z Polską w tej sprawie. W tym kontekście musi nasuwać się pytanie: Czy prezydent Andrzej Duda w trakcie swoich częstych kontaktów z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim potrafił dać do zrozumienia swojemu ukraińskiemu odpowiednikowi, że sprawę Wołynia należy potraktować z najwyższą powagą? A może rozmowy takie się odbywały, ale prezydent Zełenski faktycznie zbywa perswazje swego polskiego odpowiednika na urzędzie głowy państwa?

Sygnałem, że prezydent Zełenski traktuje sprawę Wołynia jak bolący ząb, było jego przemówienie w trakcie wizyty na początku kwietnia br. Temat Wołynia nie został w nim nawet dotknięty. Sprawę komplikuje jeszcze dodatkowo to, że relacje polskiego IPN i ukraińskiego UIPN przypominają dialog głuchych. Nie można wszystkiego tłumaczyć specyficzną sytuacją Ukrainy, która skupia się na śmiertelnej walce z rosyjskim napastnikiem.

Jednocześnie strona polska nie do końca sobie zdaje sprawę, jak mocno Ukraińcy – przynajmniej ci na zachodzie – traktują pamięć o ofiarach polskich akcji odwetowych na Chełmszczyźnie i na kresach województwa lubelskiego i jak trudno Ukraińcom pozbyć się tradycji związanej ze Stepanem Bandera. W tym dialogu kontakty historyków z obu stron nijak nie mają się do postawy polityków i urzędów państwowych, szczególnie tych ukraińskich. Ukraińcy najchętniej każde pytanie o Wołyń unieważniałoby tezą o tym, że przypominanie pól konfliktu pamięci historycznej to działanie na rzecz Rosji. Pytanie też, w jakim stopniu Polacy są gotowi do dyskusji o akcjach odwetowych takich jak w Sahryniu 10 marca 1944 r., w których, według różnych ocen, zginęło od 200 do 800 ofiar ukraińskich. Na razie to Kościół katolicki po obu stronach granicy podjął ciężar dialogu i porozumienia w kwestii Wołynia. Zobaczmy, jak do tej inicjatywy podejść politycy z obu stron.

© All rights reserved

Ukraińcy najchętniej każde pytanie o Wołyń unieważniałoby tezą o tym, że przypominanie pól konfliktu pamięci historycznej to działanie na rzecz Rosji

Do sprawy nawiązano w czasie konferencji prasowej w Katolickiej Agencji Informacyjnej, dotyczącej wspólnych obchodów wołyńskich biskupów polskich i ukraińskich. Pytany o słowa Drobowycza prof. Jurij Szapował, członek rady ukraińskiego IPN, uchylił się od komentarzy, wskazując, że ukraiński IPN podlega ministrowi kultury. Sprawa jednak bulwersowała polskich dziennikarzy, którzy nie byli w stanie zrozumieć, jak w stosunkowo krótkim czasie przed okrągłą rocznicą tragedii wołyńskiej ukraiński szef IPN może wygłaszać opinie, o których wiadomo, że zelektryzują polską opinię publiczną.

Niezbyt przekonujące były też wyjaśnienia prof. Szapowała, że Drobowycz walczy jako żołnierz na froncie wojny z Rosją. Swojej wypowiedzi udzielił w trakcie krótkiej przepustki z frontu i nie sposób go było wypytać o szczegóły, ponieważ wrócił na odcinek walk, na którym służył. Wielu polskich dziennikarzy nie było w stanie zrozumieć, dlaczego osoba o tak ważnej roli dla dialogu historycznego polsko-ukraińskiego nie podała się do dymisji, jeśli poczuła, że jej obowiązkiem jest walka na froncie, tylko postanowiła łączyć rolę szefa instytutu historycznego z rolą bojownika frontowego.

Pytań jest zresztą więcej. W jakim stopniu wypowiedź ta była konsultowana z jego zwierzchnikami i prezydentem

albo też powinno się zadbać, aby Drobowycz unikał zabierania głosu i wszelkie wypowiedzi na temat stanu dialogu historycznego polsko-ukraińskiego były formułowane przez urzędników znacznie wyższego szczebla.

Tak się nie stało i wielu polskich polityków uznało, że wyręczono się Drobowyczem w celu wyjaśnienia zwłoki z pozwoleniami na akcje ekshumacyjne polskich ofiar rzezi na Wołyniu.

TRUDNY DO POJĘCIA PARALIŻ

Obserwuję niełatwy dialog polsko-ukraiński na temat Wołynia już od ponad 25 lat. Za każdym razem pojawia się ten sam motyw. Prezydenci ukraińscy, z których żaden, jak dotąd, nie wywodzi się z terenów dawnej Galicji i którzy w większości pochodzą ze środkowej lub wschodniej części Ukrainy, zachowują się w sprawie Wołynia tak, jakby byli sparaliżowani obawą, jak na ten temat zareaguje zachodnia część Ukrainy.

Pierwszym szefem ukraińskiego IPN został Wołodymyr Wjatrowycz. Postać o temperamencie dość zawadiackiego publicysty historycznego. Gdy Wjatrowycz zaczął karierę polityka i został przedstawicielem partii Petra Poroszenki w Radzie Najwyższej, wielu polskich partnerów ukraińskiego IPN miało nadzieję, że nowym szefem instytucji będzie ktoś o charyzmie spokojnego

Wśród książek, które mam na półkach, jest jedna wzbudzająca strach. Jak na ironię, taki jest też jej tytuł: „Strach”. Nie jest to jednak horror poczytnego amerykańskiego pisarza. To zbiór opowiadań kresowych Stanisława Srokowskiego, pisarza urodzonego w 1936 r. w Hnileczu na Wołyniu. W 1943 r. na Hnileczu napadli Ukraińcy inspirowani przez UPA. Mały Staś Srokowski był później świadkiem mroźnych krew w żyłach opowieści o tym, jaka śmierć spotykała w okolicy jego krewnych, znajomych jego rodziców czy po prostu – Polaków.

„Strach” (nie jest to jedyna książka Srokowskiego tą tematyką się zajmująca) czyta się z rosnącym przerażeniem, znacznie większym niż najgorszy krwawy horror, bo ze świadomością, że fantazji jest w tym niewiele albo i nie ma wcale.

„Krępy wyciągnął przed siebie ramię z długim, błyszczącym nożem, a pozostali chwycili kobietę za ręce i nogi, jakby od dawna wiedzieli, co mają robić. Jakby ćwiczili tę sytuację już wielokrotnie i znali ją na pamięć. Tylko sprawdzali teraz, czy nauczyli się tego dobrze, bez błędów i niepotrzebnych zgrzytów. Kobieta jęknęła. A chłopak wbił w jej brzuch ostrze noża [...]”.

– I ten chłopak, prawie dziecko, począł rozcinać kobiecie brzuch. Nie muszę wam opowiadać, co się z nią działo. Jakie cierpienia musiała znosić, jakie straszliwe męki. Wyła, jęczała i płakała. Ale nikt się tym nie przejmował. Chłopak rozciął jej brzuch, krew trysnęła, a wysoki warknął: – Wyciągaj [...]”.

– Cięli ją jak zwierzę – głucho mówiła ciotka. – Jakby zwierzęciem była, nie przymierzając owcą albo świnią, i to żywą... – urwała, szukając wzrokiem matki, ale matka siedziała z oczami wbitymi w swoje stopy.

– Wyrwij! – warknął mężczyzna. Ciotka ciągnęła opowieść: – Chłopak zanurzył w brzuchu kobiety ramię i wyciągnął dziecko, które krzyknęło, a on walnął nim o ziemię.

Mężczyzna zamachnął się siekierą, odcinając pępówinę, podał chłopcu kotka, a chłopak wsadził go w otwarty brzuch kobiety. [...] Zaszył brzuch grubymi nićmi, jakby i do tego był już dawno przygotowany, a gdy skończył, mężczyźni

z siekierami, widłami i nożami pokleпали go po plecach, burknęli, że wyrasta na gieroja, i ruszyli w stronę lasu, zostawiając jęczącą kobietę przed spalonym dworkiem”.

To fragment opowiadania „Kotek”. Ale Srokowski nie epatuje okrucieństwem dla jakiejś chorej satysfakcji. On po prostu opisuje, co słyszał jako dziecko. Jest też w jego książce miejsce na relację o porządnym, prawym Ukraińcu (opowiadanie „Chłopcy, nie róbcie nam wstydu”), którzy próbowali odwieść

Ukraińcy, mieści się w grupie tych najgorszych. I napisać trzeba tu właśnie: nie „ukraińscy nacjonaści” albo „członkowie UPA”, bo tragedią Wołynia było to, że mordowali zwykli ludzie – sąsiedzi, koledzy, nawet członkowie rodziny (dramatyczne opowiadanie „Zabić matkę”).

Co ważne również w kontekście spraw dzisiejszych, okrucieństwo nie było ani przypadkiem, ani też nie było spontaniczne. Ideolodzy OUN-UPA wyzwalali je w sfanatyzowanych ludziach celowo. Chodziło o wywołanie wśród

Wołyń: widmo hańby



Łukasz Warzecha

Najpewniej będziemy mieli do czynienia z próbą prześlizgnięcia się nad 80. rocznicą rzezi wołyńskiej. Tymczasem rząd powinien zacząć bardziej zdecydowanie działać w kwestii ekshumacji oraz godnego pochówku ofiar

swoich nie tylko od mordowania, lecz także w ogóle od jakiejkolwiek agresji wobec Polaków – i zapłacili za to najwyższą cenę, zabici podobnie jak zabijano Łachów.

ZWYKLI LUDZIE

11 lipca 1943 r. Ukraińcy napadli na 99 polskich miejscowości na Wołyniu, zabijając tysiące ludzi. Wielu w sposób tak skrajnie okrutny, że nie mieści się to w głowie, choć historia widziała przecież wiele okrucieństw i bestialstw. Jednak to, które zastosowali wobec Polaków

Polaków tak skrajnego przerażenia, żeby nigdy nie zdecydowali się ponownie osiedlać na ziemi uznawanej przez Ukraińców za ich własną.

Próba ubrania zbrodni wołyńskiej w jakieś eufemizmy – a tych było w ostatnim czasie mnóstwo: „trudne sprawy”, „kłopotliwe momenty wspólnej historii” i temu podobne – symbolizuje zresztą pełne hipokryzji podejście do innych podobnych wątków. Przecież Ukraińcy chętnie – choć czasem faktycznie z życiowego przymusu – ustawili się w czasie drugiej wojny światowej po

stronie Niemców. Mówią o tym choćby nieukryte na razie pod dyktando nowej poprawności politycznej relacje więźniów lubelskiego Majdanka, w którym ukraińscy strażnicy odznaczali się wyjątkowym okrucieństwem. Nie tylko oczywiście wobec Polaków, lecz także wobec Żydów. Pamiętać bowiem trzeba, że ofiarą ukraińskiego nacjonalizmu padali i przedstawiciele tej nacji.

28 lipca, 13 dni przed rocznicą „krwawej niedzieli”, Kancelaria Prezydenta pochwaliła się na Twitterze, że pan prezydent kolejny już raz pojawił się w Kijowie. „Rozmowy z Prezydentem Zełenskim są związane z uczczeniem ukraińskiego Dnia Konstytucji, a także konsultacjami dotyczącymi obecnej sytuacji na froncie, w tym groźby rosyjskiego zamachu na Zaporoską Elektrownię Atomową. Poruszony zostanie również temat przygotowań do lipcowego Szczytu NATO” – mogliśmy przeczytać. Ani słowa na temat zbliżającej się rocznicy. W prezydenckim kalendarzu także ani słowa. Jest za to zapowiedź pobytu w Wilnie na szczycie NATO (11–12 lipca), gdzie Andrzej Duda po raz kolejny zamierza być rzecznikiem sprawy ukraińskiej.

MANIPULACJE I UNIKI

Jak może zatem wyglądać 11 lipca, biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się dotychczas? Przypomnijmy krótko: poza jednym wystąpieniem ukraińskiego polityka – przewodniczącego Rady Najwyższej Romana Stefanczuka w polskim Sejmie – po 24 lutego słowo „Wołyń” nie padło ani razu z niczyich ust. Z docierających z rzadką informacją zza kulis można wnioskować, że Polska podejmowała jakieś próby negocjowania w sprawie ekshumacji ofiar zbrodni, ale niesukteczne. Być może coś jest szykowane na 11 lipca, jednak nic na to nie wskazuje. Najpewniej zatem będziemy mieli do czynienia z próbą prześlizgnięcia się nad rocznicą i przykrycia jej wiadomościami z Wilna z nadzieją, że sprawa przycichnie wobec jągotu kampanii wyborczej. Prorządowe media mają tu sojusznika w postaci mediów antyrządowych, także wściekle proukraińskich.

Zakładam, że strona ukraińska nie odezwie się w ogóle ani słowem. Polskim władzom trudno będzie uroczystości całkowicie zlekceważyć, więc zapewne



Prezydent Andrzej Duda i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski

FOT. WWW.PRESIDENT.GOV.UA

dotrą na nie jacyś drugorzędni przedstawiciele polskiej administracji. Ciekawe, jak zostaną przyjęci przez obecnych.

Możliwe, że dla rozbrojenia miny głos zabierze ponownie Jarosław Kaczyński. Jeśli tak, to będzie to prawdopodobnie wypowiedź w tonie podobnym do tego z wywiadu udzielonego ostatnio Radiu RMF FM. Prezes PiS powiedział: „Mówię jasno – kiedy przyjdzie ta rocznica, a to już bardzo niedługo, trzeba powiedzieć, że to było ludobójstwo wyjątkowo wręcz brutalne, okrutne, jeszcze gorsze niż to niemieckie. To było ludobójstwo i trzeba się z tym rozliczyć. Trzeba powiedzieć właściwe słowa i trzeba jednocześnie odnaleźć tam, gdzie to się da, miejsca pochówku, trzeba tych ludzi właściwie pochować, tak jak na to zasługują. Trzeba też o tym mówić.

– Byłby pan teraz, jako wicepremier, gotów pojechać do Kijowa, spotkać się z Wołodymyrem Zełenskim i powiedzieć mu o tym?

– Kiedyś powiedziałem to Poroszenko w gmachu Sejmu i to nawet w takich

formach może bardziej zdecydowanych. Ale w tej chwili nie sądzę, żebym tym pomógł temu, co jest w tej chwili także naszym głównym celem, czyli pokonanie Rosji. Oni uważają, że w tym momencie nie mogą. Nie podzielam tego zdania, ale to oni prowadzą wojnę, oni giną na frontach, oni są bombardowani, niszczeni na różne sposoby. Wobec nich też zaplanowano – bo przecież taki był plan – ludobójstwo. Tak to trzeba określić. W związku z tym musimy to brać pod uwagę, ale nie możemy o tym zapominać. Nie możemy się z tego wycofywać, bo żaden naród nie może zaakceptować ludobójstwa popełnionego na jego obywatelach i w ogóle nie może zaakceptować – jeżeli jest narodem i państwem cywilizowanym – żadnego ludobójstwa”.

Ta wypowiedź to skandaliczna manipulacja i unik zarazem. Manipulacja – bo mamy tutaj zrównanie czegoś, co miało być jedynie zaplanowane, ale nie zostało dokonane, z brutalną zbrodnią, której doświadczyli Polacy. I jest to, niestety, od 24 lutego standard. Swego czasu pisałem



z tego wyciągnąć wnioski, również co do atmosfery politycznej u naszego sąsiada. A z tych wniosków mogą z kolei płynąć konkretne przesłanki co do tego, jak powinniśmy zmodyfikować nasze relacje.

SZKODLIWY MIT

Co zatem robić i jak odnosić się do ludobójstwa na Wołyniu w ramach naszych relacji z Ukrainą? Czas po 24 lutego ubiegłego roku powinien być zweryfikować dwa założenia, które można było wcześniej przyjmować.

Pierwsze: że nie powinniśmy łączyć spraw historycznych z naszymi bieżącymi relacjami z Ukrainą broniącą się przed rosyjską napaścią. Było to szczególnie uzasadnione w pierwszych miesiącach wojny.

Drugie: że przyjęty po 2004 r. (po pomarańczowej rewolucji) jako baza do budowania ukraińskiej tożsamości mit OUN-UPA miał wydzźwięk przede wszystkim antyrosyjski, co wzmogło się jeszcze po 2014 r. Ten mit był od początku problemem we wzajemnych relacjach, ale rzeczywiście większość Ukraińców znała jedynie jego antyrosyjską stronę. W Polsce po 24 lutego pojawiły się oczekiwania, że będzie on coraz silniej zastępowany mitologią nowej wojny obronnej z Moskwą. Niestety, oba założenia się nie utrzymały.

Zacząć trzeba od drugiego z nich. Szkodliwy dla wzajemnych relacji mit UPA nie tylko nie zaczął być zastępowany przez nową opowieść, lecz także ściśle się z nią zrośł. Symbolem tej integracji jest coraz częściej pojawiający się w popkulturowym wydaniu wizerunek Stepana Bandery – niestety, również w Polsce. To powinno dać nam poważnie do myślenia. Nawet jeśli na razie wciąż bowiem jest prawdą, że większości zafascynowanych UPA Ukraińców chodzi tu głównie o wymiar antyrosyjski, to niestety jest to kult formacji oraz politycznej szkoły opartej na skrajnym nacjonalizmie, który miał wymiar tak samo antyrosyjski, jak antypolski. Zbrodnia zaś, której Ukraińcy się dopuścili, została popełniona na Polakach, nie na Rosjanach. Lekko myślnie jest zakładać, że w którymś momencie ten antypolski wymiar nie zacznie się szerzej przebiegać i rosnąć na już istniejącym i wzmocnionym przez wojnę z Rosją skrajnie nacjonalistycznym

podglebiu. Zmiatanie sprawy pod dywan niczego nie załatwi.

Dlatego pora zweryfikować pierwsze założenie i zacząć wpłatać sprawę Wołynia do bieżących relacji. Trzeba to robić, ważąc realne i wymierne racje, a zatem ostrożnie i unikając szkodliwego w stosunkach międzynarodowych maksymalizmu. Problem może polegać na tym, że Polska sama już się pozbawiła lewara w postaci jakichkolwiek znaczących zasobów, które mogłyby być w tych sprawach kartą przetargową.

O CO WALCZYĆ?

O co jednak konkretnie powinniśmy walczyć? Również tu trzeba być realistą: wielkie gesty w rodzaju przeprosin za zbrodnie własnego narodu wymagają dojrzenia do nich i nie będą niosły wielkiej wartości, jeśli zostaną wymuszone. Pozostaną bezwartościowe. Tak byłoby dzisiaj z przeprosinami ze strony Kijowa. Z czego jednak powinniśmy wyciągnąć wnioski? To, że Ukraina do takiego gestu nie dojrzała, musi nam dawać do myślenia i również kształtować naszą politykę wobec wschodniego partnera.

Są natomiast kwestie, w których państwo ma obowiązek działać w oderwaniu od wszelkich uwarunkowań bieżącej polityki: to powinności wobec własnych obywateli. Do tych powinności należy pochowanie zmarłych. Może panom Kaczyńskiemu i Morawieckiemu przydałaby się ponowna lektura „Antygony” Sofoklesa.

Dlatego polski rząd powinien – i mógłby, to jedynie kwestia woli politycznej i pewnego zakresu samodzielności – zacząć bardziej zdecydowanie działać w kwestii ekshumacji oraz godnego pochówku ofiar wołyńskiej rzezi, pogrzebanych w przygodnych mogiłach, w miejscach, gdzie nieraz nie ma dziś nic, bo wiele polskich miejscowości zniknęło z powierzchni ziemi. Zamiast sygnalizować nasze pokorne prośby za kulisami, pora zacząć o nich mówić głośno przy okazji każdego kontaktu ze stroną ukraińską i formułować je jak żądania, a nie adresy błagalne.

Jeśli w tej sprawie rządzący nie zrobią nic przy okazji nadchodzącej rocznicy, to będzie trzeba użyć słowa mocnego, ale jedyne go możliwego: hańba.

już w „Do Rzeczy” o tym, jak gigantyczna krzywdę wyrządzają polskiej narracji historycznej rządzący, relatywizując zbrodnie dokonane w przeszłości na Polakach i porównując np. zniszczenie ukraińskich miast do zrujnowania Warszawy podczas powstania warszawskiego i po nim. Unik – bo Jarosław Kaczyński niby używa mocnych słów (po raz pierwszy od dawna zresztą), ale jednocześnie stwierdza, że „to nie jest moment”. Trudno tu nie zgodzić się z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim, który wskazuje, że rządzący zawsze używają tego obłudnego argumentu i używać go będą. Moment zawsze będzie nieodpowiedni.

To zresztą słabe usprawiedliwienie. Ukraina poza obszarami frontu jako państwo działa – choć tylko dzięki zachodniej pomocy finansowej. Mogłaby bez trudu wydać zgodę nie tylko na ekshumacje w przyszłości, lecz także zorganizować nawet pobyt polskich archeologów i ponowne pochówki ofiar. Jeśli tej zgody nie ma, to powinniśmy



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

ZUZANNA DĄBROWSKA: Rozmawiamy w przededniu 80. rocznicy „krwawej niedzieli”, uznawanej za kulminację ludobójstwa wołyńskiego z 1943 r. Gdzie jesteśmy jako państwo, jeżeli chodzi o prawdę o zbrodni ukraińskich nacjonalistów dokonanej na Polakach?

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI: Niestety, w porównaniu z sytuacją, która miała miejsce jeszcze parę lat temu, wykonywane są kroki do tyłu. Doszło do tak wielu negatywnych zdarzeń, że już dziś można powiedzieć, iż jest to jeden z największych grzechów zaniechania III RP. Nierozliczenie ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego będzie bezustannie powodem konfliktu

ukraińskie groby w Polsce są nadal zagrożone”. Jak ksiądz odczytuje te słowa?

Ta wypowiedź to właśnie jeden z takich kroków do tyłu. Cofa wszelkie działania prowadzące do pojednania polsko-ukraińskiego. Przypomnę, że po roku 1991, kiedy Ukraina została uznana przez Polskę za niepodległe państwo, na terenach południowo-wschodnich (obecnie województwa lubelskie i podkarpackie) w sposób nielegalny Ukraińcy dokonali kilku upamiętnień Ukraińskiej Powstańczej Armii. Niestety, nasze władze pokazały ogromną słabość – zamiast już w samym zarodku zdusić próby

ofiar. Muszę powiedzieć, że szef ukraińskiego IPN stosuje szantaż. Dopiero gdy Polska zgodzi się na pomniki, otrzyma zgody na ekshumacje i pochówki.

Cieężko uwierzyć, że Ukraina utrudnia nam pochowanie naszych obywateli.

Fundamentem jest prawo międzynarodowe, które mówi wyraźnie, że każda ofiara, niezależnie z czyich rąk zginęła i w jaki sposób, ma prawo do godnego pochówku. Polska ten obowiązek realizuje. Są przecież u nas cmentarze żołnierzy niemieckich, żołnierzy Armii Czerwonej, żydowskie i są też cmentarze ukraińskie. Nie ma problemu z pochowaniem Ukraińców, którzy walczyli w szeregach UPA – mają prawo mieć grób, krzyż, ale nie pomnik ku czci zbrodniarzy. Tak jak nie ma u nas przecież monumentów gloryfikujących SS czy NKWD...



Z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim
rozmawia Zuzanna Dąbrowska

Prezydenci Duda i Zełenski grają na czas

między Polakami a Ukraińcami. Zaznaczam, że w mojej ocenie nie ma silnego konfliktu między narodami, ale jest konflikt polityczny, który przekłada się negatywnie na społeczeństwa.

Nie sposób nie odnieść się do wypowiedzi szefa ukraińskiego IPN Antona Drobowycza, który powiedział: „Strona ukraińska uważa, że dopóki ten pomnik [w Monasterzu – przyp. red.] nie zostanie odrestaurowany w Polsce, dopóty nie możemy wydać zgody na nowe wykopaliska i ekshumacje Polaków pochowanych w Ukrainie, ponieważ

gloryfikowania zbrodniarzy, udawały, że niczego nie widzą. Później pojawiły się kolejne upamiętnienia. Jeżeli chodzi o pomniki i pochówki ukraińskich żołnierzy, to trzeba dokonać wyraźnego rozróżnienia, tymczasem wypowiedź Drobowycza stawia znak równości między pomnikiem poświęconym ludobójcom a pochówkiem. To kolejny błąd Polski, że w ogóle dała się wciągnąć w narrację, iż najpierw to my mamy spełnić pewne warunki, a dopiero później Ukraina łaskawie pozwoli na pochówki polskich

Z czego wypływa to, że Ukraina od lat uniemożliwia Polakom godny pochówek ofiar Wołynia?

Trzeba pamiętać, że do dziś kraj ten funkcjonuje w mentalności postsowieckiej, mimo że jest niepodległy. To mentalność, w której nie szanuje się zmarłych. Ukraina nie odcięła się od tej pogardy. Co więcej, chce wejść do Unii Europejskiej, nie rozumiejąc, jak ważne dla kultury europejskiej jest upamiętnienie zmarłych. Do tego dochodzą stawianie równości między katem a ofiarą i niechęć do przyznania, że zbrodnie na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej były ludobójstwem. Po 30 latach Ukraina nie dojrzała wciąż do rozwiązywania tego typu problemów. Raz jeszcze zaznaczę, że dotyczy to polityków, nie zwykłych obywateli.

Wiceszef MSZ Paweł Jabłoński powiedział, że nie wyobraża sobie, aby Kijów nie załatwił kwestii ludobójstwa wołyńskiego przed akcesją do UE. Tak skomentował wypowiedź Drobowycza.

W mojej ocenie polskie MSZ to towarzystwo marzycieli i romantyków, którzy nie widzą realnych zagrożeń, nie widzą, że jest coraz gorzej. W 2016 r. była pełna zgoda polskiego parlamentu, by uznać zbrodnie ukraińskie z czasów drugiej wojny światowej za ludobójstwo. Nie było ani jednego głosu sprzeciwu. Partie polityczne doszły do punktu wspólnego – uznajemy ludobójstwo, oddajemy uchwałą cześć rodzinom pomordowanych, które od lat walczą o prawdę. Teraz jednak

niektórzy politycy się cofają. Jaka jest zatem rola dyplomacji? Działalność MSZ jest skrajnie niekonsekwentna. Sam wiceminister Jabłoński ma na koncie kilka sprzecznych wypowiedzi i chyba nie wie, co ma w kwestii pochowania ofiar UPA robić. Niestety, dziś warunki dyktuje Ukraina, a Polska jest jedynie obserwatorem i komentatorem.

Jak ksiądz patrzy na sprawę rzecznika MSZ Łukasza Jasiny, który poinformował, że „przebywa na bardzo długim urlopie”? Mówiąc wprost – został odsunięty po słowach o tym, że prezydent Wołodymyr Zełenski powinien przeprosić Polaków za ludobójstwo wołyńskie.

Od kiedy Prawo i Sprawiedliwość przejęło władzę, rotacja na stanowisku ministra spraw zagranicznych jest niesłychana. Praktycznie co dwa lata jest nowy szef resortu, który za każdym razem dobiera nowych współpracowników. W tym wszystkim nie ma ciągłości. Winę ponosi przede wszystkim premier. Trzeba pamiętać, że wcześniej pan Jasina stwierdził, iż „jesteśmy sługami narodu ukraińskiego”.

Nie dziwię się stronie ukraińskiej, że tak szarżuje na Polskę – wie, że w Warszawie nie będzie żadnej reakcji. To przykre, bo wiele w Polsce zmienia się na dobre. Poza polityką historyczną

Nie wyobrażam sobie, aby przedstawiciel francuskiej dyplomacji powiedział, że Francja jest sługą obcego państwa. I co się stało? To właśnie Jasina pierwszy wyleciał z MSZ, co pokazuje, że presja Ukrainy na ten resort jest mocna. Odsunięcie rzecznika można podsumować znanym powiedzeniem, że rewolucja zjada własne dzieci. Być może wkrótce pracę straci minister Zbigniew Rau, bo powie o jedno słowa za dużo; coś, co nie spodoba się w Kijowie. Nie dziwię się stronie ukraińskiej, że tak szarżuje na Polskę – wie, że w Warszawie nie będzie żadnej reakcji, ewentualnie reakcje romantyczne. To przykre, bo wiele w Polsce zmienia się na dobre. Poza polityką historyczną.

Polska odsuwa rzecznika MSZ za słowa o przeprosinach za Wołyń, a tymczasem Andrij Melnyk, który powiedział, że choć Ukraińcy zabijali Polaków, to „podobne masakry dokonywane były przez Polaków na Ukraincach”, awansuje z ambasadora na wiceministra spraw zagranicznych Ukrainy...

Na pochyłe drzewo każda koza wskoczy. Ukraina wykorzystuje słabość polskiej dyplomacji. Będzie decydowała, co wolno powiedzieć, a czego nie. Będzie narzucała narrację. Obawiam się, że inne kraje, widząc, co się dzieje, pójdą tą samą drogą. Drogą wymuszania na Polakach swoich żądań, związanych nie tylko z polityką historyczną. Lata polityki uległości Ukrainie sprawiły, że o żadnym partnerstwie nie ma mowy. Kijów jest „starszym bratem”, Polskę zepchnięto do roli kamerdynera – mamy dawać pieniądze, wysyłać broń, przyjmować uchodźców, ale w zamian nie ma nic.

Na wypowiedź Antona Drobowycza zareagował też polski Instytut Pamięci Narodowej. „Polskie władze zrealizowały swoje zobowiązania w zakresie odnowienia zdewastowanego upamiętnienia, czego nie chce zaakceptować strona ukraińska. Władze ukraińskie nie wyraziły jak dotąd zgody na działania polskich archeologów z Instytutu Pamięci Narodowej: zarówno na prace poszukiwawcze, jak i prace ekshumacyjne” – czytamy w komunikacie. Może chociaż to stanowisko jest ksiądz w stanie pochwalić?

To reakcja bardzo słaba. Spójrzmy na Izrael, jak gwałtownie reaguje na jakikolwiek przejaw antysemityzmu czy działań uderzających w pamięć ofiar Holocaustu. Polskie instytucje powinny uczyć się od Izraela, jak należy walczyć o prawdę. Po naszej stronie są niestety okropna słabość i niekonsekwencja. Dobrze, mamy komunikat IPN. Ale gdzie jest w tej całej sytuacji minister Rau?

Podczas kwietniowej wizyty w Warszawie Zełenski powiedział, że „każdy człowiek, który zginął [...], zasługuje na to, aby go odnaleźć i pochować; nie może być tutaj mowy o żadnych zakazach”. Skłamał?

Słowa rzucone na wiatr. Ciągłe zapominamy, że to aktor, świetny aktor. Jednocześnie to też człowiek bardzo sprytny. Jest prezydentem Ukrainy, więc realizuje ukraiński interes. A my przyjmujemy każde jego oświadczenie jako wielki przełom.

Do episkopatów Polski i Ukrainy rodziny wołyńskie wystosowały list, w którym wyraziły trzy postulaty: nazwanie ludobójstwa polskiej ludności na Wołyniu „po imieniu”, przeprowadzenie ekshumacji i godny pochówek ofiar oraz sprzeciw wobec gloryfikacji zbrodniarzy – ukraińskich nacjonalistów. Jest szansa na ich spełnienie?

Środowisko rodzin ofiar od 30 lat ma dokładnie te same postulaty. Po pierwsze, to prawda, która jest fundamentem wszystkiego. Po drugie, pochowanie pomordowanych, będące wartością w wielu religiach. Trzecia sprawa, czyli zaprzestanie gloryfikacji zbrodniarzy. Jak pokazuje wypowiedź Antona Drobowycza, to problem pałacy. Różni politycy obiecywali spełnienie tego wszystkiego. Najdziwniejsze jest to, że w latach 90. w miarę udawało się realizować ekshumacje – we wsiach Ostrowki i Wola Ostrowiecka na Wołyniu odnaleziono prawie tysiąc ofiar. Były też inne działania, np. otwarcie cmentarza Orłat Lwowskich. Udawało się to dzięki współpracy na linii Aleksander Kwaśniewski – Leonid Kuczma. Co ciekawe, to właśnie postkomuniści potrafili się dogadać.

Kiedy więc zaczęło się psuć?

Wszystko załamało się w 2004 r., po tzw. pierwszym Majdanie, gdy Polska zaczęła bezkrytycznie wspierać wszystkie zmiany na Ukrainie. Tymczasem liderzy pomarańczowej rewolucji – prezydent Wiktor Juszczenko i premier Julia Tymoszenko – zaczęli budować ukraińską świadomość narodową na kulcie zbrodniarzy. Prezydent Lech Kaczyński manifestował swoją wielką przyjaźń wobec Juszczeki, a to on w 2007 r. ogłosił Romana Szuchewycza, dowódcę UPA, bohaterem narodowym. W roku 2010 tak samo uhonorował Stepana Bandere. Na to reakcji nie było. Czyli już wtedy pokazano Ukrainie, że może robić, co chce, a Polska będzie cicho, bo najważniejsze jest wspieranie Kijowa. Same pochówki wstrzymano 10 lat temu, kiedy za prezydenta Petra Poroszenki, również przedstawianego jako wielki przyjaciel Polski, wprowadzono oficjalny zakaz pochówków i ekshumacji. Wołodymyr Zełenski ten zakaz podtrzymuje. A kolejny polski przywódca, Andrzej Duda, znowu pokazuje swoją wielką przyjaźń, nawet przyznał Zełenskiemu Order Orła Białego.

Ksiądz, co wielokrotnie powtarzał, ma wielki żal do prezydenta Dudy.

Nie tylko ja. Jeżeli do któregoś z polityków środowisko rodzin ofiar ludobójstwa ma największy żal, to właśnie do niego. To był człowiek, z którym wiązaliśmy ogromne nadzieje. W czasie kampanii przed wyborami w latach 2015 i 2020 wielokrotnie składał obietnice. Nie tylko, że nie zrobił nic, ale i rok temu publicznie pouczał rodziny kresowe, że mają ważyć słowa, że nie powinny się upominać o prawdę i pochówki. Dzisiaj nie chce się spotkać z rodzinami, nie chce objąć patronatem uroczystości rocznicowych. Od lewicy czy liberałów niewiele się spodziewano, ale Andrzej Duda zawiodł zaufanie całkowicie. Wkrótce rocznica. I gdzie jest prezydent? Nie ma go.

Wiadomo, że w dniach 11–12 lipca będzie na szczycie NATO w Wilnie.

Rozpytywałem się, czy ktokolwiek ze środowiska dostał z Kancelarii Prezydenta zaproszenie na uroczystości. Nikt nie dostał. Może chodzi o to, że prezydent zrobi sobie fotki przy tym czy innym pomniku, ale będzie się bał spotkać z rodzinami.

A jak będzie wyglądała 80. rocznica ludobójstwa?

W niedzielę 2 lipca, po raz 29., kresowianie pielgrzymują na Jasną Górę. Jestem tam co roku, odprawiam mszę i głoszę kazanie. 8 lipca w Warszawie odbywa się konferencja poświęcona ofiarom ludobójstwa w Muzeum Niepodległości. Dzień później, przed Grobem Nieznanego Żołnierza, rodziny ofiar same, bez polityków, modlą się i idą w marszu pamięci ulicami stolicy. Po wakacjach nastąpi odsłonięcie pomnika „Rzeź Wołyńska”, dłuta Andrzeja Pityńskiego, w Jarocinie na Podkarpaciu. Czy 11 lipca będzie coś „dużego”? Nie wiemy. Być może będzie uroczystość na niższym szczeblu, czyli organizowana przez IPN, być może władze państwowe coś przygotują. Wiemy jedno – prezydent nie chce objąć społecznych uroczystości patronatem. Ciągle lawiruje. To stała metoda KPRP. Jest jedna jaskółka nadziei, po stronie kościelnej. Dotychczas Kościół nie wyrażał potrzeby spotykania się z rodzinami ofiar ludobójstwa. Niedawno jednak przewodniczący KEP abp Stani-

Odejdzie pewne pokolenie, może wtedy usłyszymy deklarację polityków o dobrej woli, ale nie będzie już komu powiedzieć, gdzie są szczątki naszych rodaków

sław Gądecki wysłał zaproszenia. Siedem osób, wśród nich ja, pojechało do Poznania. Arcybiskup Gądecki cierpliwie, przez dwie i pół godziny, słuchał świadectw. W Warszawie odbyła się też konferencja organizowana przez KAI, podczas której odczytałem apel rodzin ofiar ludobójstwa do episkopatów Polski i Ukrainy. W liście tym rodziny ofiar zaznaczyły, że dopóki Ukraina nie pochowa pomordowanych i nie powie prawdy o ludobójstwie, dopóty formuła „przebaczamy i prosimy o przebaczenie” jest nie do przyjęcia. Jeżeli więc mam jakąś nadzieję, to pokładam ją tylko w oddolnej presji na władze, zwłaszcza że zbliżają się wybory.

Pytanie, czy nie zabraknie czasu...

Umierają świadkowie ludobójstwa. Za jakiś czas nie będzie osób, które będą mogły wskazać miejsca, gdzie leżą ofiary. Mówię z pełną odpowiedzialnością za słowa – prezydenci Duda i Zełenski grają na czas. Odejdzie pewne pokolenie, może wtedy usłyszymy deklarację polityków o dobrej woli, ale nie będzie już komu powiedzieć, gdzie są szczątki naszych rodaków.

Podczas naszej rozmowy cztery miesiące temu stwierdził ksiądz, że polskie władze zachowują się, jakby chciały wprowadzić kraj w trwającą na Ukrainie wojnę. Podtrzymuje ksiądz to stanowisko?

Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, co myślą decydenci. Chyba nawet sami politycy nie wiedzą, czego oczekują od Ukrainy i w którą stronę pójdzie wojna. Nie ma wątpliwości, że trzeba pomagać humanitarnie, sam to robię poprzez Fundację im. Brata Alberta. Trzeba pomagać uchodźcom, tym autentycznym. Nie młodym dezerterom, bananowej młodzieży, która przebywa w Polsce jak na wakacjach i jeszcze dostaje socjal. Dalsze zaangażowanie w wojnę jest bardzo

niebezpieczne. Mogę przywołać słowa jednego z polityków PiS, który powiedział mi, że na spotkaniach z wyborcami wybrzmiewają dwie obawy: że zawali się system finansowy i że przez bezmyślne zachowanie tego czy innego przedstawiciela władz Polska zostanie wciągnięta do wojny. Niestety, podejrzewam, że część obozu rządzącego liczy na wejście do wojny, bo to może przedłużyć ich karierę polityczną.

Jednym z ważniejszych tematów jest obecnie pomysł referendum w sprawie przyjmowania migrantów, jako odpowiedź na pomysły UE. Mowa o migrantach z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Jednakże nie mówi się o rosnącej grupie Ukraińców w Polsce. Są nam bliscy kulturowo, jednak chyba trzeba się liczyć, że pojawiają się żądania np. dotyczące praw wyborczych.

Polska na własne życzenie funduje sobie bardzo liczną mniejszość narodową. Językowo Ukraińcy są nam bliscy, ale w mojej ocenie mentalnie – nie. Są wychowani w innym systemie wartości, to takie pomieszanie komunizmu, nacjonalizmu i postawy roszczeniowej. Nie chodzi o setki tysięcy, ale miliony. Te miliony, widząc polski romantyzm, mogą chcieć coraz więcej dla siebie. Dostali PESEL, więc mogą domagać się właśnie praw wyborczych. Skrajnym absurdem są pomysły, aby budować specjalne osiedla dla przybyszów z Ukrainy. Przecież tak się tworzy getta. Inna kwestia, że brakuje mieszkań dla naszych obywateli. Dlaczego zatem budować osiedla ukraińskie?

W takim razie co powinniśmy zrobić?

Warto pamiętać, że Ukraina się wyludnia, więc trzeba powiedzieć tak – przyjmujemy prawdziwych uchodźców, na czas wojny, ale potem oni powinni wrócić do ojczyzny. Tam pracować i odbudowywać kraj. Jednocześnie jeśli budować domy dla uchodźców, to na Ukrainie, dla przesiedleńców wewnętrznych. To idea pomocy na miejscu, którą Polska w przeszłości przeciw realizowała. Teraz jednak rząd nie ma pomysłu, co zrobić. W końcu pewnego dnia obudzi się z problemem dobrze zorganizowanej mniejszości narodowej, takim samym, jaki dziś mają Niemcy czy Francuzi. Po prostu nie ma możliwości zasymilowania tak dużej liczby obcokrajowców.



Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli lider PiS sądzi, że dotychczasowa nieskuteczność jego kampanii to problem wyłącznie braku energii i słabej organizacji, a zmiana szefa sztabu wyborczego jest odpowiedzią wystarczającą, to się myli. Musi podjąć zasadniczą decyzję

Zdobyc trzecią kadencję samodzielnego rządu – to wyzwanie, któremu nikt jeszcze w Polsce nie sprostał. Teoretycznie w wypadku Prawa i Sprawiedliwości rzecz jest do wygrania. Według badań odsetek wyborców, którzy nie wykluczają, że ostatecznie oddadzą głos na PiS, to 42 proc. Jednak w tej chwili, trzy miesiące przed wyborami, tylko mniej więcej trzy czwarte z nich deklarują, że są już zdecydowane tak zagłosować. Co do pozostałych – dobra wiadomość dla rządzących jest taka, że wciąż nie przyciągnęła ich trwale żadna inna partia; zła, że wszystko, czym zamierzali ich skłonić do powrotu stratedzy kampanii Zjednoczonej Prawicy, na razie zupełnie nie działa.

Plan – jak można zrekonstruować z kolejnych kampanijnych zwrotów – zakładał skombinowanie kilku czynników. Po pierwsze, wielokrotnie sprawdzone rozdawanie pieniędzy, po drugie – przywrócenie ostrej polaryzacji i wyraźne wskazanie jako wroga Donalda Tuska, co zamieni wybory w powtórkę dwa razy już odbytego z sukcesem plebiscytu „Lepiej było przed 2015 czy po 2015?”, odsuwając poważniejsze dyskusje nad bilansem ośmiu ostatnich lat, oraz pozwoli zbudować poczucie zagrożenia ze strony „człowieka Berlina i Moskwy”. Z jednej strony władza, do której się już przyzwyczailiście, która dba o Polaków, zapewnia wzrost gospodarczy i dzieli się jego owocami ze społeczeństwem, w sojuszu z Ameryką rozbudowuje armię, zapewniając wam bezpieczeństwo; a z drugiej opozycja, która nic się nie zmieniła, niczego nie nauczyła, nie przyznała do żadnych



FOT. KRZYSZTOF KANEWSKI/REPORTER

W pułapce średniej kampanii

błędów, więc jeśli pozwolicie jej wrócić, to znowu będzie uległa wobec obcych oraz nieczuła na wasze potrzeby. Prosty przekaz, wydawało się, że musi zadziałać.

EFEKT UBOCZNY POLARYZACJI

Chyba aż za bardzo się tak wydawało, bo opisaną narrację próbowano opowiedzieć w sposób nazbyt rutynowy. „800+” zamiast „500+”, zbyt przewidywalna konwencja, by przezwanie jej „ulem” kogokolwiek zelektryzowało, i na tyle niezręcznie przeprowadzona akcja z komisją o zbyt trudnej do zapamiętania nazwie, że wprowadziła zapewniła ona, zgodnie z planem, przywództwo nad wrogim obozem Tuskowi, ale dała mu dużo więcej wiatru w żagle, niż się PiS spodziewał, ściągając na rządzących połamanki nie tylko ze strony Unii, lecz także – co dla nich naprawdę niewygodne – ambasad USA i mocno osłabiła powagę prezydenta. Jego sondaże zaufania wyraźnie po tej sprawie spadły, podczas gdy sondaże partyjne PiS – ani drgnęły. Drgnęły natomiast, do góry, sondaże Konfederacji, co pośrednio

było skutkiem wzmocnienia przez „lex Tusk” – jak się udało skutecznie nazwać PiS-owską komisję mediom PO – dominacji tej ostatniej nad lewicowo-liberalną opozycją.

Tego ubocznego efektu polaryzacji, na którą grały zgodnie i PiS, i PO, żadne z dominujących politycznych plemion nie przewidziało. Powszechnie sądzono, że Konfederacja, postrzegana jako „skrajnie prawicowa”, skazana jest na elektorat niszowy i wynik w granicach progu wyborczego. Obaj protagoniści sceny politycznej zamierzali ją przyklejać przeciwnikowi i dyskredytować go w ten sposób: PO wspierając PiS przysługując koalicję z „faszystami”, a PiS – łącząc ich z PO na gruncie „putinowskości”. Tymczasem okazało się, że Konfederacja coraz śmielej czerpie z zasobu wyborców „centrowych”, a w „społecznych” sondażach, którymi terroryzuje PSL, Hołownię i Lewicę coraz bardziej przegradzającą się w sektę jednej listy „Gazeta Wyborcza”, widać, że partia Mentzena i Bosaka może realnie myśleć nawet o 20 proc. poparcia.

To oczywiście problem przede wszystkim dla – jak się sama pompatycznie nazwała PO – „obozu demokratycznego”, bo to jego kosztem następuje ten wzrost. Jednak dla PiS to także zagrożenie. Przedstawianie Konfederacji jako naturalnego koalicjanta partii Kaczyńskiego to przecież tylko propagandowe zmyślenia mediów PO. W istocie PiS nie dopuszcza myśli o takiej koalicji, a gdyby nawet dopuszczał, Konfederacja nie zamierzałaby popełniać samobójstwa. Wariant dla niej optymalny – powyborcza „wielka koalicja” PiS i PO – jest co prawda tylko teoretyczną spekulacją, niewyobrażalną dopóty, dopóki partiom tym przewodzą Kaczyński i Tusk, ale życzyliwa neutralność przyszłego klubu parlamentarnego Konfederacji wobec mniejszościowego rządu Tuska czy Trzaskowskiego (jakby powtórka z manewru Waldemara Pawłaka wobec rządu Olszewskiego w latach 1991–1992) może dać jej polityczne zyski, podczas gdy analogiczne, milczące poparcie dla mniejszościowego rządu PiS byłoby bardzo trudne do wyjaśnienia wyborcom i być może nie zostałoby wybaczone. (O otwartej koalicji z PiS nie ma nawet co rozmawiać: nawet gdyby Kaczyński był gotów zgodzić się na niesamodzielne rządy, chętnych nie ma i nie będzie po wciąż pamiętanych doświadczeniach Samoobrony i LPR w latach 2005–2007).

To kwestie wymagające osobnego omówienia: dla kampanii PiS wystarczy stwierdzić, że mimo sukcesu „akcji polaryzacji” pojawia się konieczność uwzględnienia w kampanii Zjednoczonej Prawicy także drugiego, nieprzewidywanego frontu.

POMAGA ZAGRANICA

Jednak jest także pozytywny dla rządzących bodziec do przemyślenia na nowo i przekonstrowania kampanii: nawet najwięksi optymiści nie mogli liczyć na to, że w chwili, gdy kampania PiS ugrzęźnie w marazmie, pomoc przyjdzie ze strony urzędników Unii Europejskiej – z których wielu skądinąd zupełnie już przestało kryć, że świadomie działają tak, by zwiększyć wyborcze szanse Tuska i jego stronnictwa. Najpierw PiS dostał fantastyczny prezent w postaci rozporządzenia Rady Unii Europejskiej, ponownie narzucającego przymusową relokację migrantów, na sprzeciw wobec której raz już, w 2015 r., PiS wiele w oczach Polaków zyskał. Temat jest skraj-

nie niewygodny dla PO i właściwie pozostaje ona wobec sprawy bezradna – czego symbolem było wyjęcie kart do głosowania podczas procedowania w Sejmie uchwały przeciwko obowiązkowej relokacji (już po raz drugi; wcześniej ten kompromitujący unik wykonała PO, gdy głosowano uchwałę w obronie Jana Pawła II).

Można się domyślić, dlaczego w rozpaczliwej walce o budowę centralnie zarządzanego „państwa europejskiego” sięgnęli eurokraci po sprawę relokacji: pozwala im to rozbić rysujący się sojusz „populistów” polskich i węgierskich z jednej, a włoskich i – przy założeniu w niedługim czasie wyborczego zwycięstwa partii Vox – hiszpańskich z drugiej strony, bo kraje południa po prostu nie mogą jakiegokolwiek propozycji choćby symbolicznego ulżenia im w tej sprawie nie poprzeć. A o tym, że przy okazji niweczą swoje plany wobec Polski, najwyraźniej eurokraci nie pomyśleli w porę i rzucenie polskim przyjaciom rozpaczliwej narracji „ale Polska może prosić, żeby nie” niczego już nie mogło uratować. Na dodatek news o nowym unijnym zarządzeniu wpasował się w polskich głowach jak raz pomiędzy informację o imigrancie, który we Francji dźgał nożem małe dzieci w parku, a wstrząsające relacje o brutalnym mordzie nielegalnych imigrantów na 26-letniej Polce w Grecji.

W tej sytuacji włączenie do kampanii wątku obrony przed imigracją przez zapowiedź referendum (narzuca się połączenie go z wyborami do Sejmu) było ruchem oczywistym – a paniczna reakcja opozycji, która od „refugees welcome” przeskokczyła z dnia na dzień do oskarżeń, że „to PiS sprowadza do Polski setki tysięcy muzułmanów” (chodzi o statystyki wydawanych pozwoleń na pracę) czy też, że „Obajtek buduje muzułmańskie miasteczko”, dopełnia sprawy.

Rzecz nie tylko w emocjach bezpośrednio związanych z imigrantami i kosztami, które ponoszą dziś za beztroskie wypuszczenie ich przez całe lata kraje zachodnie. Relokacja czy też inny fantastyczny prezent dla PiS-owskiej kampanii, którym były butne słowa Manfreda Webera o „stawianiu zapory ogniowej przeciwko PiS”, wpisują się w cały ciąg zdarzeń zmieniających zdanie Polaków o Unii Europejskiej. Jeszcze kilka lat temu jednoznacznie uważana za szansę, źródło dobrobytu, róg

obfitości, za sprawą różnych „Zielonych Ładów”, „certyfikatów energetycznych” etc., już prawie dla połowy badanych niedawno przez CBOS jest bardziej zagrożeniem niż nadzieją. Dla PiS to z jednej strony dobra wiadomość, bo wywraça to wniwecz fundamentalną strategię PO, która polegała na prezentowaniu siebie jako siły proeuropejskiej, której powrót do władzy odblokuje KPO i inne dotacje. Jednak z drugiej strony to też sytuacja trudna. Bojąc się, że narracja PO okaże się równie nośna jak w latach wielkości Tuska (właśnie na europejskości i obietnicy miliardów z Brukseli zbudowanej) i że uda się Polaków nastraszyć polexitem, PiS przez wiele lat ustępował Unii na każdym kroku, oddawał wszystko i nawet posunął się do kuriozalnej uchwały władz partii, że „nigdy nie dopuści do wyjścia z Europy”. Wszystko to zostanie mu teraz przypomniane.

OCENA RYZYKA

Może więc jednak lepiej tematy „europejskie” zepchnąć w kampanii na dalszy plan, pozostając przy już ustalonych: „reset” Tuska z Putinem, odzyskanie pieniędzy z VAT, obietnice socjalne? Tylko że to może nie wystarczyć, by elektorat, który się od PiS odsunął, znów się przysunął. Z kolei nowe wątki – nie tylko ten europejski, lecz także np. zachowanie w czasie pandemii COVID-19 (wbrew stereotypowi uważam, że to one, a nie protesty aborcyjne po decyzji TK spowodowały trwające do dziś obniżenie popularności PiS) – wymagałyby przyznania się do błędów, które wcale nie musi być skwitowane wybaczeniem; może też być dla wyborców wskazaniem, by przerzucić poparcie na Konfederację.

Małe ryzyko, mały zysk, duże ryzyko, duży zysk – ta uniwersalna zasada rządzi także kampaniami politycznymi. Jeśli lider PiS sądzi, że dotychczasowa nieskuteczność jego kampanii to problem wyłącznie braku energii i słabej organizacji, a zmiana szefa sztabu wyborczego jest odpowiedzią wystarczającą, to się myli. Musi podjąć zasadniczą decyzję: trzymać się dotychczasowej linii i grać tylko o dowiedzenie do chwili głosowania obecnego wyniku, licząc na rozbić opozycji i na zawilochić systemu d'Hondta, czy też spróbować czegoś zupełnie nowego, co może pozwoli przebić pułap 40 proc., ale może też dać skutki nieprzewidziane.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Trudno opowiedzieć polski spór z UE (kolejny) o migrantów, bez sprawdzenia, o co naprawdę się toczy. Nie da się tego wyłowić z powierzchownych przekazów mediów i haseł polityków. Nie jest to jednak też specjalnie trudne – wystarczy przeczytać wniosek Rady Europejskiej z 13 czerwca, dotyczący rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady „w sprawie zarządzania azylem i migracją oraz zmieniającego dyrektywę Rady (WE) 2003/109 i proponowane rozporządzenie (UE) XXX/XXX [Fundusz Azylu i Migracji]”.

Otóż Rada Europejska i Parlament Europejski proponują sprawiedliwe i wspólne zajęcie się sprawami migrantów przez wszystkie kraje UE. W dokumencie przedstawiono cel: „zapewnienie skutecznego zarządzania przepływami migracyjnymi, sprawiedliwego traktowania obywateli państw trzecich i bezpaństwowców [...], a także zapobieganie migracji nieuregulowanej oraz wzmocnienie środków służących zwalczaniu [...] przemytu migrantów i handlu ludźmi”. Trudno się z takim celem nie zgodzić. Diabeł tkwi jednak w szczegółach.

Otóż w zakresie nowych regulacji trzeba będzie ujmować nie tylko tych, którzy docierają będą do granic UE, lecz także „osoby przesiedlone lub przyjęte, jak również [osoby, którym udzielono natychmiastowej ochrony]”. Cały system, w tym system relokowania, ma więc dotyczyć także osób, które do Unii dotarły i tu są. Dodajmy do tego nieco dalszy wywód: „Ze względu na dobrowolny charakter relokacji państwo członkowskie wnoszące wkład i państwo członkowskie będące beneficjentem powinny mieć możliwość wyrażenia swoich preferencji co do osób, które należy wziąć przy tym pod uwagę”.

Podsumujmy – kraj, który będzie znajdował się pod „presją migracyjną”, będzie mógł wybrać, jakich imigrantów chce od siebie relokować do innych. A ci w ramach solidarności muszą ich przyjąć albo płacić. – Relokacja w UE ma dotyczyć tych imigrantów, którzy nie chcą pracować w Niemczech – wypalił niedawno w Polskim Radiu poseł PiS Arkadiusz Mularczyk. – W Niemczech mamy nadmiar imigrantów, których nie zaabsorbował niemiecki rynek pracy, którzy nie chcą pracować, którzy stwarzają problem dla niemieckiego społeczeństwa, którzy się

Premier Mateusz Morawiecki przed posiedzeniem Rady Europy mówił, że lepszy plan dla UE to strzeżenie granic

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS



Bój o migrację



Łukasz Zboralski

Bruskela proponuje wzmocnienie granic przed nielegalną migracją, ale w tych samych zapisach zawarła przymus relokacji co najmniej 30 tys. osób rocznie wśród wszystkich krajów członkowskich. Polska mówi: weto. Migrantów chcemy bowiem dobierać sobie sami i robimy to w dużo większej skali

nie asymilują, którzy stwarzają problemy – rośnie przestępczość – tłumaczył. I być może całkiem niesłusznie oskarżył Niemcy o takie zakusy, jednak w świetle przedstawionych wyżej zapisów procedowanych na forum Rady Europejskiej trzeba przyznać, że teza Mularczyka będzie możliwa do zrealizowania.

30 TYS. – CZYLI ILE?

Ciekawych zapisów w tym dokumencie jest więcej. Na przykład „niewielkie” rozszerzenie definicji członka rodziny migranta. „Zakres definicji członka rodziny powinien odzwierciedlać rzeczywistość obecnych trendów migracyjnych, zgodnie z którymi osoby ubiegające się o ochronę międzynarodową często przybywają na terytorium państw członkowskich po długim okresie tranzytu. Definicja powinna więc uwzględniać rodziny stworzone poza państwem pochodzenia, ale przed przybyciem na terytorium państwa członkowskiego”.

Krótko mówiąc: migranci będą mogli ściągać więcej osób jako rodziny, dowodząc, że stali się rodziną podczas wcześniejszej tułaczki (dodajmy, że w dokumencie podkreśla się, że dotyczyć to ma – w zależności od kraju UE – związków małżeńskich, a także niemażeńskich).

Nowe rozporządzenie jasno określiło, że co roku relokowanych ma być minimum 30 tys. osób. Minimum. Jaki jest więc maksymalny limit? Nie wiadomo, nie określono go. Nie jest więc do końca prawdą, gdy pisze się, iż protestująca Polska ma przyjmować zaledwie 1860 osób rocznie (kwoty określono w zależności od PKB kraju i populacji). Nie wiadomo bowiem ostatecznie, ile mielibyśmy przecież przyjąć. Minimum prawie 2 tys., ale równie dobrze może się przecież okazać, że i 11 tys. – a tyle polski Urząd ds. Cudzoziemców wydał decyzji w sprawie ochrony międzynarodowej w 2022 r.

Nie są też prawdziwe zapewnienia niektórych mediów, że Polska i tak nie będzie musiała przyjąć migrantów, bo jest krajem znajdującym się „pod presją” migracyjną z Ukrainy. W dokumencie to będzie możliwość – a nie oblig. Prawdziwe zdanie brzmi więc: może nie będziemy musieli nikogo przyjąć z innych krajów UE, ale nie wiadomo, czy tak będzie.

No i na koniec – rozporządzenie zawiera oczywiście tworzenie tzw. zasobu

Nowy plan zakłada relokowanie także migrantów, którzy już są w państwach członkowskich

solidarnościowego, czyli pieniędzy na pomoc migrantom, którzy dotarli do któregoś z państw znajdującego się „pod presją migracyjną”. Nie jest to więc kara za nieprzyjęcie migrantów – jak przedstawiano to w Polsce – ale wspólny fundusz UE, który pomoże krajom utrzymującym migrantów. Przy czym obowiązek ten może być wyrażony w kwocie 20 tys. euro za migranta, ale może być też przekazywany w formie pomocy materialnej.

MORAWIECKI PROPONUJE INNY PLAN

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, trwał jeszcze dwudniowy szczyt Rady Europejskiej, na której rozpatrywano wnioski o nowy mechanizm relokacji. Wszystko wskazywało na to, że polski sprzeciw – a to jedyny kraj sprzeciwiający się zmianom – nie zatrzyma tej inicjatywy.

Mateusz Morawiecki przed rozpoczęciem się szczytem zapowiedział, że zaproponuje inny plan dla Europy. – Na posiedzeniu Rady Europejskiej zaproponuję plan bezpiecznych granic. Plan jest jasny: „nie” dla przymusowej relokacji imigrantów, „nie” dla naruszania prawa weta przez poszczególne państwa i „nie” dla pogwałcenia zasady wolności – powiedział. I zwrócił uwagę, że obecnie trwa „rosyjski atak na Europę”, w którym bierze udział Białoruś. To atak, w którym zorganizowane grupy migrantów atakują polską granicę. Jak ostatnio wylczyła Straż Graniczna, dziennie polską granicę próbuje forsować blisko 200 osób.

Morawiecki wyłuszczył, jaki jest polski plan: – Po pierwsze, musimy wspólnie zainwestować w strażenie wszelkich zewnętrznych granic. Potrzeba na to więcej pieniędzy z budżetu UE. Po drugie, należy zreformować Frontex tak, żeby skutecznie walczył z przemytnikami ludzi. Po trzecie, Komisja powinna przebudować budżet w taki sposób, żeby znalazło się więcej środków na rozwój

państw, które graniczą z Unią Europejską. Walczmy z przyczynami, a nie ze skutkami zjawisk, z którymi się dzisiaj mierzymy. Po czwarte, ograniczenie świadczeń socjalnych dla osób spoza Unii. I po piąte, koniec z tolerowaniem współpracy organizacji pozarządowych z przemytnikami ludzi.

MIGRACJA I TAK KONIECZNA

Jest w tej sprawie i inne tło, które również zaczyna być fałszywie przedstawiane w mediach. To sprawa migrantów, których Polska sama ściąga do pracy. Pomijając wielomilionową migrację prawdziwych uciekinierów przed wojną z Ukrainy, wciąż przyjmujemy nad Wisłą obcokrajowców, i to już z odległych kontynentów. Powód jest prosty: brakuje nam rąk do pracy, a migracja ze Wschodu zaczyna spowalniać.

Według danych przytoczonych przez „Rzeczpospolitą” w 2022 r. liczba oświadczeń dotyczących pracowników ze Wschodu znacznie spadła. A skoro Ukraińców już tak nie przybywało, to pracodawcy musieli szukać gdzie indziej. Najczęściej w Indiach – ich mieszkańcom wydano ponad 40 tys. zezwoleń na pracę w ubiegłym roku (trzykrotny wzrost w porównaniu z 2021 r.). Prawie pięciokrotnie więcej zezwoleń na pracę wydaliśmy mieszkańcom Turkmenistanu (12 tys.). Dwa razy więcej do pracy przyjęliśmy Uzbeków – ponad 33 tys., Filipińczyków – ponad 22 tys. i Nepalczyków – 20 tys.

Oczywiste jest, że nadal będziemy sprowadzać pracowników do Polski. I to latami. Demografia nie zostawia złudzeń – a właśnie w kwietniu 2022 r. odnotowaliśmy najniższy przyrost dzieci w historii (zaledwie 12 tys. urodzeń).

Jest jednak też manipulacją wytykanie rządowi, że z jednej strony broni się przed przymusową relokacją migrantów, a z drugiej pozwala zatrudniać nad Wisłą także ludzi z Azji, innych kręgów kulturowych. Różnica jest bowiem zasadnicza między ludźmi przyjeżdżającymi do pracy a ludźmi po prostu przyjeżdżającymi do Europy. Tę różnicę przez ostatnią dekadę dostrzegli już wszyscy. Nawet otwarci Szwedzi uznali, że muszą zaostrzyć politykę migracyjną – migrant będzie musiał np. zdać egzamin z języka szwedzkiego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Komisja Europejska, niestety razem z politykami Zjednoczonej Prawicy, od dwóch lat robi, co może, by złamać sumienia podkarpackich samorządowców. Ponieważ ci nie chcą uznać postulatów politycznego ruchu homoseksualnego za nowy fundament ładu społecznego swojego regionu. Niestety, wygląda, że rządzącej w Polsce centroprawicy takie działania przychodzą z pragmatyczną łatwością.

Przypomnijmy – na Podkarpaciu radni wojewódzcy w 2019 r. w uchwale sprzeciwili się ideologii gender. Ponieważ Unia zagroziła wstrzymaniem dopłat dla takich samorządów, we wrześniu 2021 r. ci sami samorządowcy podjęli uchwałę, która przekreślała ich wcześniejsze stanowisko. We wrześniowym dokumencie zatytułowanym „Podkarpacie jako region utrwalonej tolerancji” (PRUT) najbardziej tradycyjnie chrześcijański region naszego kraju przyjął, głosami swoich reprezentantów, ideologiczne stanowisko, w którym różnice pomiędzy chrześcijańskim i prawnonaturalnym łaadem a genderowymi nieporządkami społecznymi określono mianem „niewielkich”.

„Podkarpackie jest województwem, w którym znajduje się miejsce dla wszystkich, którzy w naszym regionie chcą wspólnie, w zgodzie egzystować. Niewielkie różnice światopoglądowe nie powinny powodować wielkich podziałów i rozbijać naszej solidarności. Pamiętajmy o słowach Wielkiego Polaka Ojca Świętego Jana Pawła II, który mówił: Solidarność to jeden i drugi, nigdy jeden przeciw drugiemu” – czytamy w treści stanowiska.

Kto wpadł na pomysł, by w takiej sprawie posłużyć się autorytetem Jana Pawła II wbrew wszystkiemu, co papież ten rzeczywiście głosił? Jak wynika z ustaleń „Do Rzeczy”, prawdziwym autorem tego dokumentu mógł być minister rozwoju i technologii Waldemar Buda. Nasi rozmówcy twierdzą, że zależało mu na tym, by w Brukseli pochwalić się jakimś „osiągnięciem” w sytuacji, gdy pojawiła się groźba zawieszenia wypłaty środków z funduszy spójnościowych dla samorządów. Buda miał wyrzucić presję na wywodzący się z PiS zarząd województwa, by to nowe stanowisko szybko przegłosować. Według naszych informatorów wręczył tekst szkodliwej uchwały marszałkowi województwa podkarpackiego z ramienia PiS Władysławowi



Podkarpacie nie chce gender



Tomasz Rowiński

W województwie podkarpackim trwa prawdziwa batalia przeciwko ideologicznej kolonizacji. Jej wynik może mieć znaczenie dla całej Polski

sławowi Ortyłowi, by ten skierował ją do natychmiastowego głosowania.

To, co wiadomo na pewno, to to, że mieszkańcom Podkarpacia takie przywoływanie słów Jana Pawła II się nie spodobało. I trwa właśnie akcja zbierania podpisów pod obywatelskim projektem uchwały uchylającej stanowisko sejmiku województwa z września 2021 r.

WAŻNY KONTEKST

Dlaczego ci sami radni wojewódzcy, który w maju 2019 r. głosowali za stanowiskiem „wyrażającym sprzeciw wobec promocji i afirmacji ideologii tak zwanych ruchów LGBT (z ang. Lesbian, Gay, Bisexual, Transgender)”, dwa lata później nie tylko cofnęli swoje poparcie dla deklarowanego wcześniej „przywiązania do tych zasad, które budują siłę podkarpackich i polskich rodzin”, „które mają swoje źródło w wartościach chrześcijańskich i naszej polskiej tradycji”, lecz także bezrefleksyjnie opowiedzieli się za

zaszytymi w nową uchwałę antydyskryminacyjnymi formułami unijnymi?

Formuły te wyjęte z kontekstu mogą nawet wydawać się stosunkowo niewinne, ponieważ mówią o „odrzuconiu nienawiści i dyskryminacji ze względu na płeć, wiek, rasę, niepełnosprawność, pochodzenie etniczne, religię, światopogląd lub orientację seksualną”. Jednak to tylko pozór. Ważny jest kontekst.

Po pierwsze, wcześniejsza, prawno-naturalna deklaracja, mówiąca np. o szkodliwości ideologii politycznego ruchu homoseksualnego w procesie wychowania i edukacji dzieci i młodzieży, wcale nie nosiła znamion dyskryminacyjnej, a jedynie jej to niesłusznie zarzucano. Jednak radni – za pomocą nowej uchwały – postanowili tłumaczyć się przed unijnymi komisarzami ze słów i z postaw, których nigdy nie reprezentowali. Faktycznie, na pewno wbrew intencjom, przyznali publicznie rację tym, którzy im dyskryminację i nienawiść zarzucali.

Po drugie, jawne się stało – w praktyce, nie tylko teoretycznie – że wewnętrznym mechanizmem tzw. zapisów antydyskryminacyjnych unijnego prawa jest wrogość wobec traktowania rodziny ludzkiej jako rzeczywistości naturalnej i jednocześnie wyjątkowej dla porządku ludzkiego życia. To znaczy, że dla Brukseli prawna odrębność naturalnej rodziny, a także podkreślanie jej niezastępowalnej roli są dyskryminacją i nienawiścią.

PODSTĘP WOBEC RADNYCH?

Wiele niestety wskazuje na to, że podkarpackie struktury PiS w sprawie PRUT posłużyły się wobec swoich radnych podstępem. Polegał on na sugerowaniu swoim działaczom, że nowe stanowisko zostało zaakceptowane przez Kościół. W oświadczeniu Jacka Kotuli, radnego Sejmiku Województwa Podkarpackiego, a jednocześnie członka Komisji Ochrony Zdrowia, Polityki Prorodzinnej i Społecznej (które zostało opublikowane po tym, jak otrzymał on odpowiedź na swoją interpelację z dnia 2 marca 2022 r. dotyczącą „zdarzeń rozpoczętych wydaniem przez prezydenta Trzaskowskiego tzw. karty LGBT”), mechanizm tego podstępu został ujawniony.

„Stanisław Kruczek [członek zarządu województwa – przyp. T.R.] twierdzi, iż dokonano w tej sprawie ustnych ustaleń. Sugeruje to, iż doszło do potwierdzenia moralnej prawidłowości działań zarządu w świetle nauczania Kościoła, ale zarząd województwa z biskupami ustalił, iż pozostanie to poufne” – napisał Kotula. „Uważam to za kłamstwo i manipulację obliczoną na to, iż biskupi nie będą chcieli potwierdzić ani zaprzeczyć tej wersji, i licząc na to zarząd województwa zdecydował się desperacko iść w zaparte” – dodawał.

Głos jednak zabrał ks. Nikodem Rybczyk, diecezjalny duszpasterz rodzin diecezji rzeszowskiej, który wysłał do reprezentujących PiS radnych Sejmiku Województwa Podkarpackiego datowany na 11 października 2021 r. list w sprawie nowego, genderowego stanowiska. Podważył tym samym narrację zarządu województwa mówiącą o porozumieniu pomiędzy sejmikiem a Kościołem.

„Jako Duszpasterstwo Rodzin Diecezji Rzeszowskiej wyrażamy niezrozumienie dla podjętej przez Państwa Radnych

decyzji w ostatnich dniach i co się z tym wiąże, daleko idący niepokój dotyczący czytelności i wyrazistego stawiania przez Państwa Radnych w obronie chrześcijańskich wartości, przede wszystkim zaś chrześcijańskiego rozumienia małżeństwa i rodziny” – napisał ks. Rybczyk. „Niezrozumiałym jest dla nas stwierdzenie zawarte w przyjętym przez Sejmik Województwa Podkarpackiego stanowisku, że »niewielkie różnice światopoglądowe nie powinny powodować wielkich podziałów i rozbić naszej solidarności«. Wydaje się, że w myśl tych słów odmienność poglądów na małżeństwo i rodzinę ukazywanych przez Katechizm Kościoła Katolickiego i ideologię tak zwanych ruchów LGBT jest nieznacząca lub znikoma, co w oczywisty sposób jest nieprawdą, gdyż różnią się one w sposób fundamentalny” – konkludował duszpasterz rodzin diecezji rzeszowskiej.

Stanowisko Kościoła w tej sprawie było i jest tak ważne, ponieważ uchwała z 2019 r., afirmująca rodzinę i krytykująca genderyzm, powstała jako gest solidarności wobec stanowiska Konferencji Episkopatu Polski zawierającego apel o wycofanie z karty LGBT ustanowionej w Warszawie przez prezydenta miasta Rafała Trzaskowskiego „budzących wątpliwości etyczne i prawne rozważań”. Skoro Kościół nigdy się ze swojego stanowiska nie wycofał, to dlaczego miałby zgodzić się na zginię pragmatyzm polityków PiS?

Dla Brukseli prawna odrębność naturalnej rodziny, a także podkreślanie jej niezastępowalnej roli są dyskryminacją i nienawiścią

Angażujące się w sprawę projektu uchylenia stanowiska PRUT, stowarzyszenie Europa Tradycja ocenia całą sytuację bardzo stanowczo. „Zarząd województwa nigdy nie krył, iż uchwałę PRUT forsowano pod naciskiem rządu (ministra Budy) i Komisji Europejskiej. Argumentem miało być, że jej przyjęcie pozwoli na otrzymanie środków finansowych. Jest to więc ordynarne sprzedawanie pryncypiów moralnych za pieniądze. Przypisywanie najważniejszym

duchownym w regionie popierania takiego działania należy uznać za szczególnie niegodziwe, moralnie naganne” – czytamy w stanowisku z 22 maja 2022 r.

AKCJA Z PODPISAMI

Tymczasem PiS próbuje na Podkarpaciu przykryć własne kompromitujące działania. Jednak nie przez odwracanie szkód, które wywołał PRUT, ale przez uruchomienie akcji zbierania podpisów pod obywatelskim projektem ustawy „Chrońmy dzieci, wspierajmy rodziców”. Celem projektu jest „zmiana przepisów prawa oświatowego w tym kierunku, aby rada rodziców oraz rada szkoły miały większy wpływ na dopuszczenie do realizacji działań o charakterze wychowawczym w stosunku do stowarzyszeń oraz innych organizacji” – mówiła na początku maja 2023 r. wojewoda podkarpacka Ewa Leniart. Problem jednak polega na tym, że upodmiotowienie rodziców – nawet gdyby ta wizerunkowa dla PiS ustawa weszła w życie – nie naprawi sytuacji powstałej przez zaimplementowanie, jako fundamentu życia społecznego Podkarpacia, ideologii gender.

Tego rodzaju skuteczną zmianę mogłoby przynieść przegłosowanie przez radnych sejmiku anulowania stanowiska PRUT. Projekt takiej uchwały jest już gotowy i czeka na społeczne poparcie. Uzasadnienie dołączone do tej ustawy w pełni wyjaśnia sytuację, w której znalazło się Podkarpacie. Czytamy w nim: „Obecnie nie sposób mieć nawet wątpliwości, że uchwała PRUT wpisuje się w ciąg zdarzeń mających ostatecznie na celu wprowadzenie do polskiego systemu prawnego rozwiązań polegających na zmianie rozumienia małżeństwa w ten sposób, by co najmniej analogicznie traktowane były związki tej samej płci. W ostatnim czasie te wydarzenia to przede wszystkim orzeczenia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka – ws. Fedotova z 17 stycznia 2023 roku 40792/10 i in. oraz ws. Buhuceanu z 23 maja 2023 roku 2008/19 i in.”.

Sprawa nie jest zatem wcale lokalna, a rząd, który deklaruje przywiązanie do prawnonaturalnego ładu społecznego, wydaje się stawać po stronie jego niszczytelni. Coraz mniej można mieć nadziei, że i w tym obszarze działań doczekamy się od rządzącej centroprawicy „dobrej zmiany”. Coraz mniej.



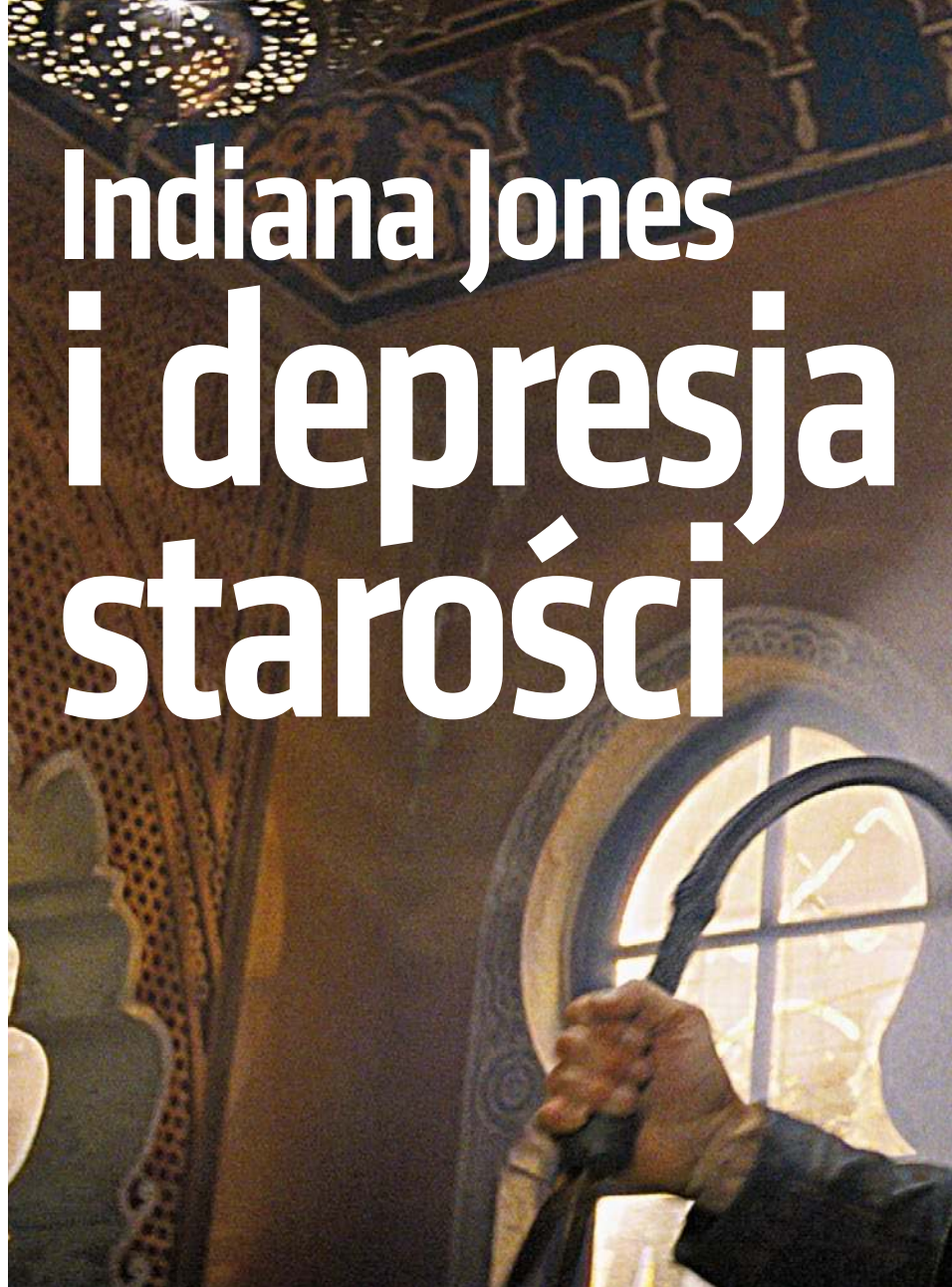
Piotr Gociek

Piąty film o przygodach archeologa z biczem to smutne pożegnanie. Film tyleż efektowny, co niepotrzebny

Aby odpowiednie dać rzeczy słowo, zacznijmy od urealnienia zapowiedzi znanej z materiałów promocyjnych filmu „Indiana Jones i artefakt przeznaczenia”. Na portalach filmowych rutynowo przeklejone streszczenie: „1969. Apogeum wyścigu kosmicznego między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. Jones jest zdeterminowany, aby wyjawić nikczemną działalność nazistowskich naukowców licznie stojących za programami kosmicznymi”. Pozwólcie, że kilka rzeczy zmienię, by być w zgodzie z zawartością filmu Jamesa Mangolda: „1969. Irytujący staruch, który nienawidzi Beatlesów i cierpi w powodu rozwodu, próbuje okiełznać rozpacz po śmierci jedynego syna. W marzeniu o porzuceniu świata, który tak bardzo go rozczarował, przeskodzi mu pojawienie się przemądrzałej zawodowej złodziejki”. Coś mi mówi, że gdybym z powyższym pomysłem pojawił się u dowolnego producenta świata, moje szanse na nakręcenie nowego filmu o przygodach Indiany Jonesa byłyby znikome. Cóż, wierzcie lub nie, ale właśnie streściłem „Artefakt przeznaczenia”.

CZŁOWIEK LEGENDA

Piąty i ostatni (jak zapowiada Disney) film o przygodach słynnego archeologa z biczem przynosi wiele atrakcji. Oczywiście największą jest sam Indiana Jones, czyli Harrison Ford, człowiek legenda w obu wersjach. Oprócz wersji starczej dostajemy także odmłodzonego Indianę, bo technologia dziś może zrobić wszystko, a postępy, które czynią spece od efektów, są wciąż oszałamiające. Jeszcze niedawno narzekaliśmy na wrażenie obcości, gdy Martin Scorsese odmłodził komputerowo Roberta De Niro w „Irlandczyku”, dziś mogę powiedzieć, że odmłodzony Harrison Ford wygląda jak prawdziwy. Co oczywiście powinno nas



Indiana Jones i depresja starości

także trochę martwić, bo zapowiada nadejście ery, w której filmy będą mogły obejść się bez aktorów, bo wygenerowane w trzewiach serwerów Hollywood będą mogły wypłuć z siebie dowolną wersję Humphreya Bogarta czy Leonarda DiCaprio.

Kto może być przeciwnikiem Indy'ego? Naziści. Zaznaczamy kratkę. Co powinno być stawką? Bezcenny artefakt archeologiczny. Zaznaczamy. Kto musi pomóc Indianie w chwili największej potrzeby? Jego egipski przyjaciel Sallah (John Rhys-Davies). Zaznaczamy. Gdzie rozegrać otwierającą film sekwencję akcji? Najlepiej w pędzącym pociągu. Gotowe. Jak zwrócić uwagę w sali pełnej

zbirów? Strzelić z bicia. Gotowe. Co byłoby zabawne przy okazji? Gdyby Indiana miał tylko bicz, a wszyscy inni pistolety. OK. I tak dalej, i tym podobne.

Jednak bądźmy też uczciwi: Czyż nie tego oczekujemy po naszych ulubionych ciągach dalszych? Żeby było tak samo, ale inaczej? Prawda, dlatego nie wypada się oburzać na cokolwiek mechaniczne przygotowywanie listy spraw do załatwienia w scenariuszu i na planie filmu. Ważniejsze jest pytanie: Dokąd to wszystko prowadzi? Otóż donikąd. Poczucie to ogarnia nas jednak dopiero w trakcie seansu, bo długa akcyjna sekwencja z przeszłości na początku filmu to kawałek przygody w starym dobrym stylu. Jest rok 1944,



Harrison Ford znów jako Indiana Jones

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Indiana Jones chce odzyskać cudowny biblijny artefakt: włócznię, którą przebił bok Chrystusa. Okazuje się jednak, że w pociągu zrabowanych przez Niemców skarbów jest coś cenniejszego: artefakt stworzony przez Archimedes (a włócznia okazuje się ordynarną podróbką). Po latach – akcja rozgrywa się w roku 1969, Amerykanie właśnie lądują na Księżycu – następuje nieoczekiwany ciąg dalszy. Naziści udający dobrych Amerykanów (i pracujący dla rządu USA) potrzebują artefaktu, żeby zmienić przeszłość, a panna Helena Shaw chce go odzyskać, żeby zarobić.

Helena Shaw jest w tej opowieści postacią najważniejszą i niespecjalnie

sympatyczną. To córka chrzestna Indiany Jonesa grana przez Phoebe Waller-Bridge (znaną z komediowego serialu „Fleabag”). Seria stworzona przez Spielberga i Lucasa cztery dekady temu pada w tym momencie ofiarą współczesnej obsesji pokazywania w kinie silnych kobiet. Ale zaraz, zaraz, co tu trzeba wymyślać? Czy Marion Ravenwood (Karen Allen) nie była w „Poszukiwaczach zaginionej arki” silną kobietą? Piękna, zaradna, twarda, a zarazem zabawna i urocza – nic dziwnego, że zakochał się w niej taki twardziel jak Indiana Jones. Tymczasem Helena Shaw jest irytującą, przemądrzałą podróbką Bonda w spódnicy (no dobrze:

Wszystkie elementy składające się na sukces serii teoretycznie są na swoim miejscu

w spodniach), a jej pion moralny pozostawia wiele do życzenia.

Najsłynniejszy archeolog świata zostaje w cieniu tej denerwującej paniusi. Ale może to i dobrze? W chwilach, gdy z tego cienia wychodzi, okazuje się nie mniej denerwującym staruszką, który w duecie dwóch zgryźliwych tetryków byłby tym bardziej zgryźliwy i na dodatek głęboko nieszczęśliwy, bo trapiiony traumami. Jego ukochana Marion, z którą miał syna (pamiętamy Muttę z filmu „Królestwo Kryształowej Czaszki”), na dzień dobry chce się z nim rozwieść. Potem dowiadujemy się jeszcze, że Mutt zaciągnął się do wojska i zginął w Wietnamie. Przecieramy więc oczy ze zdumienia: O co tu, do jasnej cholery, chodzi? Cóż to za dziwaczna psychodrama w samym środku naszej ukochanej serii niezwykle przygód?

Wszystkie elementy składające się na sukces serii teoretycznie są na swoim miejscu. Wspomaga je premierowa i znakomita muzyka weterana Johna Williamsa, to bez wątpienia najjaśniejszy punkt całej produkcji. Film Jamesa Mangolda okazuje się jednak opowieścią, która nie ma duszy, odrzuca emocje, które decydowały o sukcesie oryginalnej trylogii. Indiana Jones jest straszonym dziadkiem, któremu najbardziej służyłoby jakieś efektowne samobójstwo. Towarzyska jego przygód okazuje się płytką materialistką, która działa wbrew temu wszystkiemu, o co walczył całe życie Indiana (w imię archeologii, wbrew zyskom; w imię zasad, wbrew złoćm). Gdybyśmy przenieśli postać Heleny Shaw do pierwszego filmu serii, musiałaby służyć za czarny charakter.

ZABRAKŁO ODWAGI?

Jednocześnie seria przygód Indiany Jonesa bardzo źle znosi próby lekkiego nawet przededefiniowania gatunku rozrywkowego, do którego należy. Arka Przymierza w jedyne i Święty Graal w trójce.



Harrison Ford oraz Phoebe Waller-Bridge, która wcieliła się w Helenę Shaw

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ **Artefakty biblijne.** W filmie numer dwa magiczne kamienie ukryte w sercu Indii. Przygodowa pulp fiction z elementami czegoś, co Amerykanie nazywają „supernatural”. I to działa. Spójrzmy, co wydarzyło się w „Królestwie Kryształowej Czaszki” – nagle Indiana znalazł się w środku intrygi science fiction, poważnej, bo mamy prawdziwych kosmitów, i zarazem niepoważnej, bo wszystko to wygląda jak popłuczyny po dziełkach Ericha von Dänikena. Czy chcielibyśmy oglądać Jamesa Bonda szukającego gwoździ z krzyża, na którym umarł Chrystus? Oczywiście, że nie. Tak samo nie chcemy widzieć Indiany Jonesa w kosmologii – to po prostu nie jest ten rodzaj historii. Twórcy „Artefaktu przeznaczenia” niby unikają pułapki, bo przedmiot napędzający akcję to archeologiczny antyczny skarb, ale pod koniec filmu znowu myślą gatunki, bo każą Indianie naprawdę wyruszyć w podróż w czasie. Ktoś tu nie odrobił lekcji. Na nieszczęście nasze, widzów, i własne, bo wiele wskazuje na to, że film Mangolda nie zarobi wiele. Krótko mówiąc: nie na to się, panowie, umawialiśmy.

Być może zabrakło Mangoldowi (i czterem scenarzystom) odwagi: trzeba było zrobić to, co w ostatnich dokrętkach do „Gwiezdných wojen”, czyli ubić ukochanego bohatera, pozwolić mu w jakiś efektowny sposób zakończyć swoją odyseję. Nie miałbym nic przeciwko heroicznemu pożegnaniu Indy’ego, który ocala świat przed Niemcami. Tymczasem



Decydenci Disneya deklarują, że czas pożegnać się z franczyzą definitywnie. Szkoda, że w tak kiepski sposób FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w „Artefakcie przeznaczenia” odkrywamy, że de facto efektem jego misji jest... ocalenie Hitlera, bo wstrętny nazista, którego gra Mads Mikkelsen, chce Adolfa zabić, żeby zastąpić go skuteczniejszym ludobójcą. Tak, wszystko to naprawdę ma bardzo mało sensu. Tak, słowem, które najczęściej pojawia się w moich notatkach na temat tego filmu, jest słowo „irytujące”. Han Solo wyzionął ducha, ale Indiana Jones nie mógł tego zrobić, bo rozochoceni dobrą fizyczną formą Harrisona Forda i oślepieni spodziewanymi zyskami decydenci Disneya obiecywali jeszcze niedawno także szósty film serii – i oczywiście serial dla Disney+. Dziś deklarują, że czas pożegnać się z franczyzą definitywnie. Szkoda, że w tak kiepski sposób.

Ta efektowna katastrofa wpisuje się w długi ciąg odcinania kuponów od dawnych sukcesów, wyciskania resztek

z wytłoczn, które stało się znakiem rozpoznawczym rozrywki XXI stulecia. Nikt nie jest bezpieczny: uniwersum „Gwiezdných wojen” rozrosło się do niebywałych rozmiarów; to, co zdawało się odświeżającym powrotem do korzeni (serial „Mandalorian”), zamieniło się w inflacyjną ofensywę kolejnych nieistotnych produkcji. Wskrzeszony „Matrix” nie okazał się ulubionym ciągiem dalszym, lecz powtórką pierwszego filmu, nawet powrót Mary Poppins do kin, choć imponujący realizacyjnie, wzbudzał pytanie: „Tak, ale po co?”. Jedne franczyzy jadą siłą rozpędu („Mission Impossible”), inne przechodzą kryzys tożsamości (seria o Bondzie), jeszcze inne powstały już w czasach najprostszych kalkulacji i ta prostota, by nie powiedzieć prostactwo, nadal je napędza („Fast & Furious”). Konkurujące ze sobą kinowe uniwersa komiksowe (MCU i DC) małpują się nawzajem i rozpełniają po streamingu. Patrząc na najnowsze „Indianę Jonesa”, nie mam wątpliwości – tak jak dziś mówimy z nostalgią o złotej erze Hollywood, zerkając ku latom 40. i 50. XX w., tak fenomen Kina Nowej Przygody, czyli rozrywka ery Spielberga i Lucasa z lat 70. i 80. minionego stulecia, okazuje się z perspektywy lat kolejną utraconą już krainą Shangri-La.

A z drugiej strony toczy się niepowstrzymany walec unieważniania i dekonstrukcji. Jeśli czegoś nie da się powtórzyć, to trzeba to przenicować. Jeśli nie da się wykorzystać raz jeszcze – to trzeba to zniszczyć. Odwrócić znaczenia, wyrwać korzenie: nowa „Mała syrenka”, nowy „Piotruś Pan”, nowy „Pinokio”, które z oryginałem nie mają nic wspólnego, oferują za to ładunek politycznej poprawności i przesłanie woke culture. W tym świecie polityka uników, czyli zwrot ku recyklingowi nieprzesadnie upolitycznionemu, okazuje się szczytem heroizmu. Nowych pomysłów już nie trzeba, bezpieczniej nakręcić remake nieudanego ciągu dalszego zapomnianej kasowej katastrofy, której jedyną zaletą jest to, że tytuł już komuś oblił się o uszy. Na takim tle „Indiana Jones i artefakt przeznaczenia” wciąż lśni niczym złoty bożek wyniesiony przez Indy’ego z peruwiańskiej świątyni na początku „Poszukiwaczy zaginionej Arki”. Jednak gdy przyjrzymy się bliżej, widzimy już tylko tombak.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Program autorski dziennikarza śledczego Piotra Nisztor.
W każdym odcinku redaktor rozmawia z zaproszonymi gośćmi – ekspertami ze świata polityki, obronności, sportu czy publicystyki. Dementuje fakenewsy, tropi nieścisłości. To, co dla większości jest „ściśle tajne” – w „Rozmowie ściśle jawnej” zostaje odtajnione.



rozmowa ściśle jawna

piątek
19:25

zaprasza **Piotr Nisztor**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Dola idola



★★★★★
REŻ. SAM
LEVINSON
„IDOL”
(„THE IDOL”)
USA 2023

wyst. Lily-Rose
Depp, Abel Tesfaye,
Suzanna Son

Po pokazie pierwszych dwóch odcinków „Idola” w Cannes wśród krytyków zawrzało. Zarzuty: przedmiotowe traktowanie kobiet, zaplanowany skandal, soft porno, hipokryzja. Pół godziny oglądania nowego serialu Sama Levinsona i nie mam wątpliwości: uderzył tam, gdzie boleło, a hipokryzją wykazali się krytycy. Owszem, twórcy „Idola” z lubością pokazują ładne atrakcyjne ciała i bijące z oczu pożądanie, ale czynią to, by wyszydzić współczesny show-biznes. Humor jest czarny, decydenci bezlitośni, duchowe spustoszenie głębokie. A jednak pamiętając kulisy życia gwiazd lepionych przez branżę (jak choćby Britney Spears), nie wątpię, że to, co Levinson pokazuje w krzywym zwierciadle, jest

w rzeczywistości jeszcze bardziej przerażające i odrażające.

Jocelyn, śliczna, pracowita i zapewne utalentowana (olśniewająca Lily Rose-Depp, córka Vanessy Paradis i Johnnynego Deppa), jest już gwiazdą, ale wiele przed nią, w tym gigantyczna trasa koncertowa. Piszę „zapewne utalentowana”, bo nie wiemy, czy to urodzona gwiazda czy dziewczyna o umiarkowanym talencie, ale wykreowana na seksymbol. To ostatnie jest kluczowe, bo Jocelyn to dziecko epoki, w której drogą do sprzedaży nowego idola jest wizerunek ociekający seksem. Oczywiście potrzebne są też katorżnicza praca (świetne sceny pracy nad teledyskiem) oraz świadomość celu, który chce się osiągnąć. No i twarda psycha. Dla bohaterki

„Idola” wszystko to okaże się próbą o charakterze niszczącym. Po głębokim załamaniu nerwowym Jocelyn próbuje poskładać na nowo swoje życie (i karierę), a u jej boku pojawia się tajemniczy guru.

Czy Levinson przekracza granice? Moim zdaniem umiejętnie na nich balansuje, a ewentualne przegięcia jestem mu w stanie wybaczyć, bo bije celnie i mocno. Po kim? Po tych, dla których życiowe dramaty to jedynie „problemy wizerunkowe”, po tych, którzy wmawiają swoim podopiecznym, że poniżenie i ekshibicjonizm to sposób na wyrażenie własnego „ja” i że tego właśnie sami pragniemy. Pogarda, cynizm, bezduszość i żądza pieniądza; świat show-biznesu okazuje się mniej sympatyczny od świata handlarzy narkotyków – oni przynajmniej nie wmawiają ci, że to, co cię zabija, jest dla ciebie dobre. „Idol” wart jest uwagi, a szkodzą mu nie sięganie po szok, lecz chwile, gdy narracja traci tempo. ©©



NOWE SERIALE: „CZARNE LUSTRO”

Antologia fantastycznych opowieści „Czarne lustro” zmienia charakter; w szóstym sezonie tylko dwa epizody to historie związane ze skutkami rozwoju techniki, reszta to albo thriller true crime, albo horror. Z jakością bywa różnie. Odcinek pierwszy („Joan Is Awful” z Salmą Hayek) jest znakomitą

kpiną z nowych trendów łączenia rozrywki i AI, odcinek ostatni („Demon 79”) to zaskakujący pastisz apokaliptycznych wizji. Reszta do zapomnienia, zwłaszcza za długi „Beyond the Sea”. ©©

Piotr Gociek

• sezon 6 „Czarne lustro” („Black Mirror”), Wielka Brytania 2023

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 2 „The Bear”, USA 2023



• sezon 2 „Swagger”, USA 2023



• sezon 4 „Jack Ryan”, USA 2023



Anioł z Kairu

KINO

Gdzie kończy się religia, a zaczyna polityka? Muzułmanie tego jeszcze nie wiedzą. Gdy w Al-Azhar, konserwatywnej egipskiej uczelni, zwanej „światłem świata islamskiego”, zwalnia się dożywotnie stanowisko imama dyrektora, rząd koniecznie chce je obsadzić kimś zaufanym. Studencka czapeczka z kutasikiem nadal jest przedmiotem dumy, lecz wirus nowoczesności przeniknął już wszędzie. Nawet ortodoks nie może obyć się bez telefonu komórkowego i przysmaków z amerykańskiego fast foodu. Oprócz profesorów wiernych metodom scholastycznym są i tacy, którzy cytują Marksa (a tak naprawdę Kanta). Jedni studenci doskonałą się w recytacji Koranu,

innych kręcą zakazana literatura lub wypadają do miasta na dyskotekę i cynamonowe latte. Adam, syn rybaka, zmuszony do współpracy przez egipską bezpiekę, jest pionkiem w grze, która zdecyduje o przyszłości



★★★★★
REŻ. TARIK SALEH
„CHŁOPIEC
Z NIEBIOS”
SZWECJA/
FINLANDIA/
FRANCJA/DANIA
2022

wyst. Tawfeek
Barhom, Fares
Fares, Makram
Khouri

uniwersytetu, a może i kraju. Metamorfozy TW „Anioła” są zbyt gwałtowne, lecz dreszczowiec osadzony w bliskowschodnich okolicznościach przyrody to zjawisko tak rzadkie, że zasługuje na uwagę i taryfę ulgową. Jak na ironię, „Chłopca z niebios” stworzył okcydentalista, zafascynowany „Imieniem róży”. Na miejscu Saleha zaniechałbym na jakiś czas wizyt w ojczyźnie, bo nawet jeśli faraon jest wyrozumiały, to jego słudzy już niekoniecznie.

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE

GRA TYGODNIA: „STREET FIGHTER 6”

To, co w bijatykach najważniejsze, czyli system walki, jest tu rozwiązane po mistrzowsku. „SF6” jest zarówno grą esportową, jak i imprezówką, w której nie pogubi się totalny nowicjusz. Dostajemy przy tym sporo trybów, z fabularnym World Tour, w którym

tworzymy własną postać, czy sieciowym Battle Hubem, w którym stworzoną przez siebie postacią walczymy z innymi graczami, wchodzimy z nimi w interakcje, oglądamy walki innych czy podchodząc do automatów, mierzymy się w klasykach Capcomu.

FOT. MATERIAŁY PRACOWNE



Są i tradycyjne tryby. Otwarta na nowych, szanująca weteranów bardzo dobra bijatyka. © © **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** *Bijatyka*
• **Platforma:** *XSX, PS5, PS4, PC*
• **Producent; wydawca PL:** *Capcom, Cenega*

OSTATNI SKOK

KINO



★★★★★
REŻ. LOUIS GARREL
„WINNY CZY
NIEWINNY”
(„L'INNOCENT”)
FRANCJA 2022

wyst. Louis Garrel, Roschdy Zem,
Anouk Grinberg

Kobieta nie pierwszej młodości zakochuje się w recydywście i wychodzi za niego, nie czekając, aż luby wyjdzie z więzienia. Abel jest przekonany, że matce znowu odbiło. Podejrzewając, że Michel wcale nie zerwał ze złodziejskim fachem, śledzi go (w stylu wskazującym, że przeczytał zbyt wiele XIX-wiecznych powieści detektywistycznych). Garrell junior z kolei przedwcześnie uwierzył w swój reżyserski talent. Kryminalna intryga snuje się w leniwym tempie. Brakuje równowagi między pierwszą, zdecydowaną komediową częścią oraz sensacyjno-melodramatyczną końcówką. Tym niemniej film ma kilka plusów. Akcja nie rozgrywa się w Paryżu, tylko w Lyonie. Zawodowi aktorzy udający aktorów amatorów są autentycznie zabawni, francuska policja zaś wszystko widzi, wszystko wie i zawsze interweniuje w odpowiednim momencie. Porządni obywatele mogą spać spokojnie – pod warunkiem że są w stu procentach uczciwi.

KOLABORACJA.PL

35mm
online



★★★★★
REŻ. JERZY SZTWIERTNIA
„OSZOŁOMIENIE”
POLSKA 1988

wyst. Maria Pakulnis, Władysław Kowalski,
Krzysztof Kolberger

80 lat temu egzekutorzy z AK przypadkowo (?) zastrzelili Kazimierza Junoszę-Stępowskiego. Bohater „Oszołomienia” nazywa się inaczej, ale jest klonem najpopularniejszego aktora czasów sanacji. Stępowski, zagrawszy prof. Wilczurę i księcia Michorowskiego, mógł z optymizmem patrzeć w przyszłość. Niestety, małżonka pokochała kokainę i nic – nawet wojna i okupacja – nie mogło postrzymać jej „ucieczek do raju”. Ambicje reżysera sięgały dalej niż opowiadanie historii fatalnego zauroczenia, ale wiarygodność buduje się, zwracając uwagę na szczegóły. Tymczasem na ekranie polscy patrioci wznoszą toast „za Rosję” i kolportują informację, że Bodo został rozstrzelany przez Niemców. Maria Pakulnis to dobra aktorka, potrafiłaby zagrać postać trochę bardziej sympatyczną. Ponurą aurę filmu rozjaśniają epizody dwóch Januszków: Józefowicz tańczy i strzela, a Panasewicz udaje, że śpiewa.

Wiesław Chełmniak

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Wąsy Piłsudskiego

Dziesięć lat temu prof. Waldemar Łazuga wydał książkę „Kalkulować... Polacy na szczytach c.k. monarchii”.

Historia w niej opowiedziana kończyła się na roku 1918. „Uwikłani w przeszłość” to, w jakiejś mierze, jej ciąg dalszy. Ma tych samych bohaterów i relacjonuje, co z nimi się działo dalej, już w niepodległej Polsce. Czy z racji zajmowanych wysokich stanowisk w, jakbyśmy dziś powiedzieli, szeroko pojętym aparacie zaborczej władzy, karier, które porobili w państwie Habsburgów, uznani zostali za kosmopolitycznych konformistów czy wręcz kolaborantów? A może doceniono ich talenty polityczne, dyplomatyczne, ekonomiczne, należycie wykorzystując je w II Rzeczypospolitej? Waldemar Łazuga, przedstawiając dzieje Michała Bobrzyńskiego, Ludwika Ćwiklińskiego, Leona Bilińskiego i wielu innych prominentnych postaci, stawia też pytania bardziej ogólne: Co się stało z całym bagażem c.k. monarchii, dla wielu – jak miało się okazać – jakże kłopotliwym; „Jaki wpływ miała przeszłość na pokolenie, które życie spędziło w »szczęśliwej« epoce, ale pod berłem trzech czarnych orłów? Czy Polacy stali się ludźmi »bez właściwości«, jak w powieści Musila, i czy po 1918 r. musieli siebie na nowo wymyślać? A także – i to jeszcze ważniejsze – czy wymyślać siebie w ogóle chcieli?”. Jeśli do rangi tych kwestii dołożymy walory stylu autora, potrafiącego o wydarzeniach sprzed 100 lat pisać tak, jakby działy się one wczoraj, możemy być pewni, że obcowanie z imponującą, także rozmiarami, książką prof. Łazugi okaże się dla czytelnika pasjonującą przygodą intelektualną.

Autor pełną garścią czerpie wiadomości nie tylko z archiwów, lecz także z pamiętników, listów, ze wspomnień, z relacji ustnych, uzyskanych przede wszystkim z kręgów rodzinnych opisywanych postaci, a także z literatury pięknej, nierzadko znajdującej dla złożonych, skomplikowanych zjawisk zwięzłe, celne metafory. Tak właśnie urodzony w Brodach Joseph Roth ujął galicyjski kult Franciszka Józefa, w noweli „Popiersie cesarza” opisując, jak niektórzy chłopcy byli przekonani, że to „stary cesarz wprowadził nowe mundury i wyzwolił Polskę i rezyduje teraz w Warszawie”.

No tak. A kto wyzwolił Polskę? Wiadomo, że Piłsudski, dla którego też znalazło się miejsce w omawianej tu książce. Bo i on był „uwikłany w przeszłość” i jemu wypominano „austriackość”, dzięki której zyskał przychylną krakowskich konserwatystów, ale ciężać zaczęła samemu Piłsudskiemu: „Czego – pytano – w Austrii szukał? Komu służył? Od kogo brał pieniądze i jak wyglądały jego stosunki z rządzącymi krajem konserwatystami, szczególnie z namiestnikiem Michałem Bobrzyńskim?”. Nawiasem mówiąc, obaj zmarli w tym samym, 1935 r., a zaprezentowane przez Waldemara Łazugę ich życiorysy równoległe stanowią chyba najciekawszą część pracy.

Autor nie stroni od anegdoty, umiejętnie wykorzystując różnorakie źródła. I tak w 1916 r. Piłsudski, odpowiadając na zasadniczej wagi pytanie, czy Legiony są dla Naczelnego Komitetu Narodowego czy może na odwrót, „akcenty rozkłada tak, aby każdy mógł wybrać swoją wersję i żeby sprawa na dualizmie

nie ucierpiała. Sprzeczności nie widzi. W jednej z popularnych leguńskich piosenek (»A nasza artyleria w Przegorzałach stoi i pisze do cara, że się go nie boi«) trawestuje się po prostu teksty piosenek śpiewanych przez krakowskie c.k. pułki piechoty. Melodia była ta sama. W dualizmie była jakaś siła”.

„Poza tym – czytamy dalej – Brygadierowi wszystko uchodziło. Na niewinne pytanie zadane w towarzystwie przez jedną z dam: »I co będzie, panie brygadierze, z naszą kochaną Polską po wojnie?«, nagle wybucha: »I co właściwie ma być, proszę pani, z Polską, z tym narodem, który nigdy nie jest zdolny do żadnego czynu, który jest hańbą Europy i trzydziestomilionową plamą na ludzkości?«. Po czym – ku zaskoczeniu świadka tej rozmowy – szybko się udobruchał, przyjemnie ożywił i – jak pisał Stefan Badeni – »w słodkiej czereśniówce chętnie umoczył wąsa«”.

W tym samym 1916 r., w trakcie spotkania Bobrzyńskiego z Piłsudskim, ten pierwszy powie: „Panie Brygadierze, niech się pan tak nie spieszy, pana czas jeszcze nadejdzie”. Nie pomylił się, nie trzeba było nawet czekać zbyt długo. Natomiast czas byłego Namiestnika Galicji, a potem austriackiego ministra się kończył. Choć, o czym już dziś pamiętają tylko historycy, w 1926 r. zgłosił gotowość kandydowania na urząd prezydenta. A zapropowowali mu to... wielkopolscy endecy. Naturalnie, był to pomysł z kosmosu rodem i do kompromitacji nie doszło. Prawie 70 lat później były PRL-owski minister podobnie wystartował w wyborach prezydenckich. I wygrał. Oto miara postępu. ©©



★★★★★
**WALDEMAR
 ŁAZUGA**
**„UWIKŁANI
 W PRZESZŁOŚĆ.
 »PROSKRYBOWANI«
 I »DYLETANCI«”**
 ZYSK I S-KA,
 POZNAŃ 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Czego zapragniesz

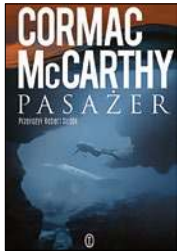
Zegnamy Cormaca McCarthy'ego. Ostatni wielki amerykański pisarz XX w. zmarł 13 czerwca. Kilku tygodni brakło, by doczekać 90. urodzin. Może już komentować swoje pisanie z innej niż dotąd perspektywy. A ta wesoła nie była: „Wierzę w rzeczywistość świata. Im twardsze i ostrzejsze krawędzie, tym mocniej wierzysz. Świat jest tutaj. Nie tam gdzie indziej. Nie wierzę w podróż. Wierzę, że umarli leżą w ziemi” – czytamy w finale powieści „Pasażer”.

„Pasażer” i „Stella Maris” to powiązane ze sobą książki ukazujące się jednocześnie jako pisarskie pożegnanie Cormaca. Daj Boże każdemu zegnać się w takim stylu. McCarthy nie bez powodu wymieniany jest jednym tchem z Faulknerem czy Pynchonem. Potęgi pióra nie utracił do końca. A jednak „Pasażer” nie dostarcza takiej satysfakcji czytelnikowi, jak „Droga” czy „Krwawy południk”. Zaczyna się jak thriller szpiegowski, kończy nutą apokaliptyczną, gdzieś pomiędzy tymi punktami ze dwa razy zmienia kierunek. Za to po przeczytaniu fragmentów o zabójstwie Kennedy'ego niejednemu badacz literatury

będzie miał frajdę z pisania rozprawki pt. „Denver 1963 – teorie spiskowe u Ellroya, DeLillo i McCarthy'ego”.

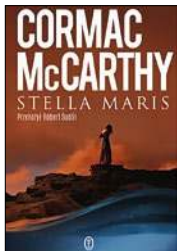
Lepszym pożegnaniem zdaje mi się „Stella Maris”, książka o połowę krótsza i bardziej przypominająca teatralny dramat, choć napisana w formie powieści. Trochę minode ryjnie brzmi zdanie pisarza wykorzystywane w kampanii promocyjnej: „Od pięćdziesięciu lat planowałem powieść

o kobiecie. Nigdy nie będę wystarczająco kompetentny, by ją napisać, ale w pewnym momencie trzeba spróbować”. Nie trzeba się krygować, książka jest świetna. Alicia Western, kobieta genialna, to kolejny piękny umysł pękający w zderzeniu z okrucieństwem świata, jej historia będzie więc opowieścią z wnętrza zakładu psychiatrycznego. To także siostra bohatera powieści „Pasażer” i oboje zniszczeni zostaną przez niemożliwą i zakazaną miłość. Jeden z pożegnalnych dialogów: „Rozmawiamy o śmierci? Nie. Tylko o problemie, jak dostać się do świata, którego najbardziej zapragnęliśmy”. Tego nie potrafi nawet Cormac McCarthy. Cześć jego pamięci! ©©



★★★★★

CORMAC MCCARTHY
„PASAZER”
WYDAWNICTWO LITERACKIE 2023



★★★★★

CORMAC MCCARTHY
„STELLA MARIS”
WYDAWNICTWO LITERACKIE 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Historia nowoczesności jako historia bombardowań. Bardziej kulturowa niż militarna, od marzeń o wojnie powietrznej, przez obie wojny światowe, do lęków przed atomową zagładą – w realu i w literaturze.



SVEN LINDQVIST
„JUŻ NIE ŻYJESZ”
W.A.B.



Ukraiński pisarz Ostap Slywinski zebrał krótkie opowieści uchodźców na lwowskim dworcu. Ułożył z nich kalejdoskop rosyjskiej agresji. Całość ilustracjami opatrzyła Anastazja Awramczuk.

AUTORZY RÓŻNI
„SŁOWNIK WOJNY”
WYDAWNICTWO POGRANICZE

Nowy tom wierszy autorki „Opowieści podręcznej”. Przekład Jerzego Jarniewicza. Wbrew tytułowi warto wspomnieć, że pisarka zaczynała karierę od poezji, a prozą zainteresowała się dość późno.



MARGARET ATWOOD
„WIERZĄCE PRZYCHODZĄ PÓŹNO”
ŚWIAT KSIĄŻKI

Autor znany z militarnych historii alternatywnych i thrillerów tym razem próbuje sił w science fiction: co przytrafiło się sponsorowanej przez giganta mediów społecznościowych wyprawie na odległą planetę. ©©

recenzuje Piotr Gociek



MARCIN CISZEŃSKI
„FANTOM”
SKARPA WARSZAWSKA

KOMIKS TYGODNIA:

„RANY WYLOTOWE”

Debiutancką powieścią graficzną „Rany wylotowe” izraelska artystka Rutu Modan od razu zapewniła sobie miejsce w panteonie twórców wybitnych komiksów. Realistyczna, gorzka opowieść o rodzinnych tajemnicach, potrzebie prawdy i tęsknocie za miłością. Koby, taksówkarz z Tel Awiwu, słyszy z ust kochanki zaginionego



RUTU MODAN
„RANY WYLOTOWE”
KULTURA GNIEWU 2023

ojca, że najprawdopodobniej zginął on w zamachu bombowym. Czy naprawdę? Razem podejmują śledztwo. ©©



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Malarz historii

Co państwo powiedzą na mały eksperyment? Zamknijmy oczy i spróbujmy przywołać pod powieki obraz bitwy pod Grunwaldem. Albo dramatyczny protest Tadeusza Reytana na Sejmie Rozbiorowym. Wyobraźmy sobie Kościuszkę pod Racławicami. Albo Stańczyka. Ilu z nas zobaczy wtedy te wydarzenia tak, jak wyobrażał je sobie

i przedstawił na swoich obrazach Jan Matejko?

Historia opowiadana jest Polakom od wczesnego dzieciństwa także przez obrazy Jana Matejki. Bitwa pod Grunwaldem to w ogóle najmocniej wpisany we wspólną świadomość polski obraz. Matejkowska opowieść o Polsce towarzyszy kolejnym pokoleniom. Wystawa „Matejko. Malarz i historia” przypomina tę opowieść, prezentuje „zarówno wspomniane obrazy wielkiego cyklu historycznego, jak i dziesiątki prac mniejszych formatem, ale doniosłych treścią [...]”, a także szkice i rekwizyty wykorzystywane w procesie twórczym – w sumie ponad trzysta dzieł [...]”. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Krakowie, gmach główny
KIEDY? do 7 stycznia 2024 r.



FOT. ANNA OLCHAWSKA



FOT. LICZEBNIA MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

PIĘKNO SPOD TATR

W zalewie tandety, chińskich podróbek, krupówkowych „pamiątek” łatwo zgubić prawdziwego ducha zakopiańskiego rzemiosła artystycznego. Przedmiotów pięknych, porządnie wykonanych, modelowo łączących sztukę z użytecznością. Wystawa w całości poświęcona zakopiańskiemu rzemiosłu artystycznemu od drugiej połowy XIX w. aż do roku 1939 przypomina także nazwą, że „Made in Zakopane” to marka solidna (choć wymyślona na potrzeby wystawy). ©©

GDZIE? Zakopane, Muzeum Tatrzańskie (gmach główny)
KIEDY? do 1 października

NA SŁUCH

Vintage rock



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

Finalna część trylogii, w której Josh Homme egzorcyzmuje swe wewnętrzne demony wywołane przez traumatyczne przeżycia. „In Times New Roman...” ukazał się po sześciu latach od premiery „Villains”. Album można uznać za powrót do klasycznego brzmienia QOTSA. Homme nagrał go z muzykami, którzy poza perkusistą Jonem Theodore’em od 16 lat współtworzą jego grupę. I właśnie to „staromodne” granie stanowi o sile tego świetnego albumu. Sękaty, tłusty gitarowy riffy wznoszą zespół nad horyzonty, by następnie strącić go do morskich głębin. Pochmurne harmonie wokalne, sfuzzowane dźwięki, psychodeliczne eskapady... „In Times New Roman...” to dosko-

nały hardrockowy album, który mimo vintage’owych konotacji jest jak najbardziej współczesnym produktem. Spektakularna gra Theodore’a wraz z brutalnym basem Michaela Shumana tworzą mroczną panoramę, na której tle rozgrywa się oszałamiający bój gitar Homme’a, Troya Van Leeuwena i Deana Fertita.

Płyta kończy się w spektakularny sposób dziewięciominutowym „Straight Jacket Fitting”, w którym Josh Homme w brutalny sposób rozprawia się z ostatnimi demonami. Po zwycięskim boju, w siódmej minucie, zza zgliszczy wyłania się akustyczna gitara, która w iście zeppelinowskim stylu przeprowadza nas do krainy wyciszenia i harmonii. ©©

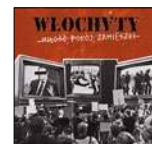


★★★★★
QUEENS OF THE STONE AGE
„IN TIMES NEW ROMAN...”
MATADOR



★★★★★
SWANS
„THE BEGGAR”
MUTE

Michael Gira wyrusza ponownie do mrocznych krain podświadomości. Rozbudowane utwory o gotyckich brzmieniach prowadzą do 44-minutowego kolażu „The Beggar Lover (Three)”, opartego na dysonansowych dźwiękach, rytualnych rytmach i hipnotyzujących śpiewach.



★★★★★
WŁOCHATY
„MIŁOŚĆ, POKÓJ, ZAMIESZKI”
MYSTIC

Anarchopunkowy Włochaty ze Szczecina istnieje 36 lat i wciąż tkwi w jarościńskiej rzeczywistości. Płyta zaczyna się od stadionowych zaśpiewów, a potem jest ostro i buńczucznie. „Rodzimy się bez niczego / Umieramy z niczym / A między narodzinami i śmiercią zabijamy się do wszystkiego.”



Krzysztof Masłoi

43:7

z Niemcami, dobrze to brzmi? Jeszcze

jak! W takim stosunku wygrali nasze dziewczyny z rywalkami zza Odry i Nysy, które to rzeki wyznaczały niegdyś granicę pokoju. Żeby nam się w głowach nie przewracało, nasi chłopcy ulegli Niemcom 0:47.

A zdarzyło się to na igrzyskach europejskich zorganizowanych rzekomo w Krakowie i Małopolsce, a naprawdę wszędzie, gdzie się dało, bo trudno za Małopolskę uznać np. Wrocław. Potyczki polsko-niemieckie rozgrywane były jednak, jak Bóg przykazał, pod Wawelem, w dyscyplinie nieco mniej popularnej od piłki nożnej, a mianowicie w siedmioosobowym rugby. Sport ten wydaje się przyszłościowy i z całą pewnością możemy odnosić w nim w przyszłości sukcesy, naturalnie wyłącznie w żeńskiej jego odmianie. Generalnie facetów mamy bowiem w kraju jakby – jak to ujęła jedna z bohaterek filmowej trylogii Jacka Bromskiego „U Pana Boga...” – dupowatych. Co wzmiankowane igrzyska, skądinąd absolutnie kuriozalne, dobitnie wykazały. A zdaje się, że i wcześniej nasi futbolowi wybrańcy bogów w wiekopomnym boju z Mołdawią dali ciała.

No dobrze. A co w Warszawie? W zeszły weekend w stolicy wiło się wianki, mieliśmy bowiem Noc Kupały. A jak Noc Kupały, to – wiadomo – skoki przez ogień, wróżby, palenie ziół. Czyste pogaństwo, bo tego, że to noc świętojańska, organizatorzy z wiadomych względów nie eksponowali. Za to pobudowali słowiańskie cha-



ty, gdzie jadło serwowali panie z kół gospodyń wiejskich, wcale niewypożyczone z telewizji publicznej, jak podejrzewano. Prezydent Warszawy zapowiedział też całą masę innych atrakcji. I te, rzeczywiście, miały miejsce, a z największym uznaniem mieszkańcy Warszawy przyjęli zapewne zamknięcie Wisłostrady od godz. 17.30 do godz. 4.

Głównym wydarzeniem wieczoru czy raczej najkrótszej w roku nocy był koncert „Kora. Przyszedł na świat po to”. Otwierając go, Rafał Trzaskowski powiedział, że jest wzruszony, bo wychował się na muzyce Maanamu. Wzruszeniom uległ też Musiałowski Maciej, który interpretując „Krakowski spleen”, dał się ponieść emocjom tak bardzo, że część widzów uznała jego wykonanie za profanację twórczości Kory. Spora w stwierdzeniu tym przesada, bo w końcu „Night Patrol” to jeszcze nie sacrum, niemniej wydaje mi się, że od śpiewającego aktora okazał wypadek Szymon Hołownia, bo ten to się dopiero wzrusza.

Do słów „Krakowskiego spleenu” nawiązał następnie Organek Tomasz, apelując do widowni (i telewizyjnej, bo wydarzenie transmitowała telewizja TVN): „Nie dajcie sobie mówić, z kim macie miesz-

kać, jak żyć i w co wierzyć. Też czekam na wiatr, co rozgoni ciemne skłębione zastony”. Święte słowa, również marzy mi się wiatr, który w nagłą cholerę pośle chmurzyska unoszące się na pięknym polskim niebie, z tym że chodzi nam, zdaje się, o zupełnie różne chmury. Osobiście cumulusów nie trawię, mgieł też nie lubię, a jakoś mgliście zabrzmiały mi wywody artysty Organka o tym, z kim należy mieszkać i w co wierzyć.

W każdym razie na Podzamczu działa się a działa. Muzyka Maanamu podbudowana orkiestrowo brzmiała jakby nie tak, ale w końcu aranżacje mogą być rozmaite, może tylko lepiej byłoby, gdyby dźwięk nie szwankował. Tak czy inaczej Krzysztof Zalewski ogólnie się podobał, inni piewcy jakby mniej, a koneserzy utrzymywali, że najzgrabniej z piosenkami Kory (w tym wypadku z „Cykadami na Cykladach”) poradziła sobie Natasza Urbańska. Tyle że nie w warszawskim parku Fontann, a w amfiteatrze opolskim.

Wianki do wody w stolicy wrzucano, i owszem. Prawie tak ochoczo jak za komuny, kiedy to tłumy nad Wisłą bywały jeszcze większe, bo na imprezie nie brakowało piwa i kiełbasy, a szczęśliwcom

udawało się nabyć nawet którzy z deficytowych artykułów spożywczych i przemysłowych rzucanych, dosłownie, z ciężarówek. Kapele też grały, a jakże: bigbitowe, ludowe i wojskowe. Te ostatnie z zapalem wykonywały tego dnia wyjątkowo aktualną pieśń, dziś uchodzącą za biesiadną: „Wiła wianki i wrzucała je do falującej wody, wiła wianki i wrzucała je do wody”. Jak to szło dalej? „A gdy ona nad Wisłą te wianki wiła, przyszedł do niej żołnierz młody”... No i „nie minęło już więcej niż dziewięć miesięcy, siedzi ona nad Wisłą, płacze”. A teraz nowoczesne dziewczę już nie szlocha, pozostawiając ronienie łez przegranym samcom. Ona pali zioło i słucha Kory, to znaczy Ralpa Kaminskiego.

Jednostki bardziej tradycyjne już nie tylko słuchały, lecz także śpiewały razem z wykonawcami w Białymstoku na „Disco pod gwiazdami”, co pokazał Polsat. Było jak zawsze, to znaczy wszystko dało się wytrzymać poza Thoma-sem Andersem, który z Polski wyjeżdża coraz rzadziej. A tak się człowiek cieszył, gdy w latach 80. niemiecki zespół Modern Talking zawiesił działalność, tymczasem na stare lata taki szpas. I dlatego chwała naszym rugbyistom. ©©

Filmik przedstawiający akcję policji w Nashville miał na YouTube po kilku godzinach ponad 4 mln odsłon. Nic dziwnego. Mimo że funkcjonariusze ostrzegali, że są tam drastyczne zdjęcia, ludzie chcieli widzieć. Od dawna żadna inna zbrodnia nie wstrząsnęła tak bardzo Amerykanami. Przypomnę, że do tragedii doszło na terenie prywatnej szkoły chrześcijańskiej w stanie Tennessee. Pod koniec marca do gmachu placówki wtargnęła jej była uczennica, 28-letnia Audrey Hale, i otworzyła ogień do bezbronných dzieci oraz personelu. Hale była uzbrojona w dwa karabiny szturmowe i pistolet.

Życie straciło troje dziewięcioletnich uczniów oraz troje dorosłych członków personelu. Udostępnione przez policję filmiki, nagrywane z umieszczonych na mundurach i broni kamer, pokazywały krok po kroku interwencję i jej ostateczny wynik – krótką strzelaninę zakończoną śmiercią sprawczyni. Jednak nie sama w sobie tragedia wywołała takie poruszenie opinii publicznej. Ważniejsze były dodatkowe okoliczności. Dzięki nim pierwszy raz chyba wolno postawić tezę, że istnieje związek między agresją, również tą zbrodniczą, a ideologią LGBTQIA+. Celowo wymieniałem wszystkie literki skrótu, bo wszystkie razem są tu ważne. Otóż winna masakry kobieta odrzucała swoją płęć biologiczną i identyfikowała się od miesięcy jako „mężczyzna”.

Co więcej, szybko okazało się, że to niejedyny przypadek transwestyty posługującego się przemocą. Działają tu prawo serii: nawet jeśli pojedynczy przypadek można uznać za skutek choroby psychicznej, to ich nagromadzenie domaga się stosownej przyczyny. Tą zaś może być, to najbardziej prawdopodobna odpowiedź, szerzenie się w Stanach genderyzmu. Tak, słowo „szerzyć się” pasuje jak ulał. Tempo, w jakim ideologia ta dokonuje podboju amerykańskich instytucji, przypomina nieco pożar na prerii. Albo, jeśli ktoś woli szukać innej metafory, epidemii grypy. Infekcja przenosi się z uniwersytetów na banki, z banków i uniwersytetów do mediów i szpitali, aż wreszcie dociera i uderza w klasę polityczną.

Nic nie pokazuje tego równie dobrze jak zachowania samego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Joe Bidena, który



Audrey Hale, która dokonała masakry w szkole chrześcijańskiej w Nashville, odrzucała swoją płęć biologiczną i identyfikowała się od miesięcy jako „mężczyzna” FOT. SHUTTERSTOCK/REX FEATURES/EAST NEWS

Tragiczna widzialność choroby

„Na końcu, jeśli w ogóle można tu mówić o końcu, kiedy już zostaną zrównane wszystkie orientacje i kiedy już zniknie płęć, i kiedy już każdy będzie trochę binarny, a trochę niebinarny, ma też zniknąć człowiek. Ostatnim etapem będzie doprowadzenie do pełnego zezwierzecenia człowieka, do animalizacji” – pisze w swojej najnowszej książce „Imperium Sodomy i jego sojusznicy” Paweł Lisicki. Poniżej jej fragment

z promowania tęczowego szaleństwa uczynił wręcz główny sztandar i znak rozpoznawczy całej swojej polityki – uwaga, nie tylko wewnętrznej. Nie wolno się ludzić: to, co wprowadza on systematycznie w Stanach Zjednoczonych, ma objąć cały świat. Imperium Sodomy ma uniwersalne, wszechświatowe ambicje i nie zamierza poprzestać na panowaniu w jednym, konkretnym zakątku Ziemi,

choćby całkiem sporym. Nie przesadzam – powiedział to wyraźnie jeden z najważniejszych polityków administracji demokratycznej, rzecznik Rady Bezpieczeństwa Narodowego, John Kirby: „Walka o prawa osób LGBT jest podstawową częścią naszej polityki zagranicznej i tak pozostanie”. A więc nikt nie może mieć żadnych złudzeń: tak długo, jak Ameryką będą rządzić ludzie pokroju

Bidena, imperium Sodomy będzie się rozszerzać. Niezależnie od wszystkiego, nawet od kolejnych ofiar i cierpień. Kilka dni po masakrze w Nashville Biały Dom oficjalnie ogłosił ustanowienie nowego „święta” – Dzień Widoczności Osób Transpłciowych.

W wydanej z tej okazji proklamacji Biden podkreślił znaczenie osób LGBT w amerykańskim społeczeństwie. Jak powiedział, tacy ludzie „kształtują duszę Ameryki”. Łatwo dostrzec tu ton niemal mistycznego uniesienia: nie chodzi już o prawa i przywileje, ale o „kształt amerykańskiej duszy”. Biden: „Dziś pokazujemy milionom transpłciowych i niebinarnych Amerykanów, że ich widzimy. Wszyscy oni powinni być traktowani z godnością i szacunkiem. Ich odwaga dała się wielu innym, ale nikt nie powinien wymagać odwagi do bycia sobą. Każdy Amerykanin zasługuje na tę wolność”. Wolność? Orwellowska zamiana znaczenia słów. Każdy sam kreuje i robi siebie, kim chce być. Jednak wolność bez granic nie jest wolnością, ale niewolą. Jest rozpadem, chaosem, brakiem formy. Wolność wypływa z natury. Jeśli nie istnieje ludzka natura – ani

biologiczna, ani duchowa – to zamiast wolnego człowieka powstaje niewolnik. Człowiek byłby nieufornowaną masą materii, z której każdy może sobie wytworzyć, co mu się żywnie podoba. Ściślej mówiąc: z tej nieufornowanej masy tworzą swoje produkty zręczni manipulatorzy. Dla tych, którzy tej wspaniałej wizji „duszy” przyjąć nie chcą, w projekcie imperium Sodomy miejsca nie ma. Z tego powodu amerykański przywódca zaatakował, jakżeby inaczej, tych, którzy próbują się tęczącej tyranii przeciwstawić. Niektóre stany chcą powstrzymać epidemię genderyzmu i wprowadziły przepisy zakazujące okaleczania narządów płciowych dzieci i podawania im hormonów zmieniających płeć. Odpowiedź Bidena: „Fala dyskryminujących praw stanowych jest wymierzona w młodzież transpłciową, przeraża rodziny i krzywdzi dzieci, które nikogo nie krzywdzą”. To całkowita negacja rzeczywistości – tym, co wzmacnia agresję i niszczy niczym rak klasyczna

„American way of life”, jest właśnie wokeizm, tęcząca ideologia. Stąd coraz więcej przypadków przemocy.

NIEBINARNI STRZELCY

Widzą to niektórzy Amerykanie. Jak napisał komentator organizacji studenckiej „Turning Point USA” Benny Johnson: „Strzelec z Colorado Springs identyfikował się jako niebinarny. Strzelec z Denver identyfikował się jako trans. Strzelec z Aberdeen utożsamiał się jako trans. Strzelec z Nashville identyfikował się jako trans. Jedno jest pewne: wspólny ruch transseksualny radykalizuje swoich aktywistów, czyniąc ich terrorystami”. Czy to przesada? Nie sądzę. Samo nagromadzenie tych zdarzeń nie może być dziełem przypadku. Między aktywnizmem transseksualnym a przemocą istnieje związek przyczynowo-skutkowy. Oczywiście nie każdy transseksualista jest niebezpieczny, ale prawdopodobieństwo, że takie osoby są skłonne do agresji, jest wysokie. Efektem genderyzmu jest tworzenie ludzi wewnętrznie rozbitych, rozdartych, niepewnych siebie, zagubionych i sfrustrowanych. Pod pozorem docierania do prawdziwego

„ja” ograbia się ich z przeszłości, z poczucia siły, z charakteru. Znikają mężczyźni i kobiety, pojawiają się niebinarne „coś”, nieokreślone „my, oni, one”.

Jak można się było spodziewać, twierdzenie to odrzucają media liberalne i lewicowe. Wiedług nich źródłem przemocy nie są choroba i kłopoty z tożsamością płciową, ale nietolerancyjne, wrogie, ciasne i zamknięte społeczeństwo. Zgodnie z tą teorią, promowaną przez genderystów, jeśli dochodzi do aktów przemocy, to winne jest otoczenie.

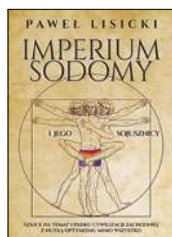
Po pierwsze, w Ameryce ludzie mają zbyt łatwy dostęp do broni. A po drugie, co jest rzekomo prawdziwym źródłem kryzysu, społeczeństwo tłamsi wszystkich tych, którzy mają kłopoty z własną tożsamością. Tych, którzy w ciele męskim noszą duszę kobietą lub na odwrót, jak było w tym konkretnym przypadku, w kobiecym męską lub jeszcze jakoś inaczej. Nic zatem dziwnego, że nieszczęśliwe jednostki, rzucone w binarny świat, nasycony męskością i kobiecością, otoczone zewsząd i przygna-

tane wręcz tradycyjną kulturą, językiem, symbolami muszą się buntować, co czasem prowadzi do tragedii. Wniosek: należy tak przebudować społeczeństwo, żeby nikt nie czuł się ograniczony, spętany, uciskany.

Pierwszą i główną przeszkodą na drodze do pełnej rewolucji jest chrześcijaństwo. Wydaje się, że podobnie interpretował postępowanie Hale komendant miejscowej policji z Nashville. W wywiadzie dla NBC stwierdził, że do strzelaniny mogło dojść w związku z „urazą”, jaką sprawczyni żywiła „z powodu konieczności chodzenia do tej szkoły” w przeszłości. Zapewne. Żeby to zrozumieć, trzeba na chwilę wczuć się w myślenie Hale, a także wszystkich innych radykałów wokół niej. Punkt pierwszy: płeć jest płynna i nieokreślona. Punkt drugi: podział na mężczyzn i kobiety to efekt konstrukcji i presji społecznej. Punkt trzeci: szczególne stężenie niesprawiedliwości występuje w szkołach chrześcijańskich, gdzie dzieci terroryzuje się naukami o tym, że Bóg stworzył mężczyznę i kobietę. Punkt czwarty: odkrywając, że sprawy się mają inaczej, Hale (i podobni jej radykałowie) chcą się zemścić za odebraną im wolność, za te wszystkie stracone lata, kiedy to nazywano ich tym, kim nie są, i traktowano ich nieodpowiednio do wewnętrznego poczucia. Przebudziwszy się ze snu, ocknąwszy się z zatopienia w kobiecości, Hale postanowiła się odegrać na systemie – na strasliwym, binarnym systemie, który ją więził przez lata. Nagle okazuje się, że problemem nie było jej własne rozbicie, ale straszne społeczeństwo, które ją tłamsiło, ograniczało, przytłaczało. Zrozumiałe? Owszem. Chore i szalone? Jak najbardziej. To klasyczny przykład rzutowania własnych słabości na zewnątrz. Tyle że to charakterystyczny dla genderystów sposób rozumowania. Polega on, najkrócej rzecz ujmując, na uczynieniu z choroby i perwersji własnej normy i miary dla oceny świata. To, co powinno się leczyć, a mianowicie zaburzenia tożsamości płciowej, staje się czymś afirmowanym i akceptowanym.

GRA W ZABÓJSTWA KSIĘŻY

Dlatego nie zdziwiła mnie szczególnie informacja, że dwa miesiące przed fatalną w skutkach strzelaniną z Nashville pojawiła się w tym stanie gra wideo, przedstawiająca transpłciowego bohatera, który zabija krytyków LGBT, w tym księży.



PAWEŁ LISICKI
„IMPERIUM
SODOMY I JEGO
SOJUSZNICY”
FRONDA 2023

■ Sprawę opisał portal *breitbart.com*. W grze komputerowej można się wcielić w bohatera uciekającego z „faszystowskiego obozu koncentracyjnego dla osób transpłciowych”, który na drodze do wolności musi zabijać krytyków LGBT, w tym księży i pastorów. Gra ma za zadanie „wyzwolenie stłumionej furii na tyranów krytykujących płęć” przy użyciu „arsenału śmiercionośnej broni”. Wypisz wymaluj to właśnie zrobiła Hale. Wpadła do szkoły, w której się wychowała i która narzuciła jej „obce i faszystowskie przekonanie o binarności”, i wymierzyła sprawiedliwość. Warto też zwrócić uwagę na nazwę gry „Terfenstein 3D”. Pojawia się w niej kolejne słowo z żargonu LGBT, a mianowicie określenie TERF. Cóż to takiego?

ze zdumienia i myśli, że każe im się poznawać opisy majaków pacjentów szpitala psychiatrycznego. Ależ nie: to wszystko jest na poważnie. Więcej: właśnie ta chora wizja coraz częściej wypiera normalność.

HOMOSEKSUALNY PROLETARIAT

Łatwo zauważyć, że mamy tu do czynienia z kolejnym wcieleniem sięgającej końca XVIII w. i rozwiniętej na początku wieku XIX idei rewolucyjnej. Karol Marks był pierwszym zapewne myślicielem, który zrozumiał, że do obalenia świata – do przeprowadzenia radykalnej krytyki wszystkiego, co istnieje – trzeba wybrać odpowiednio upośledzoną grupę, którą będzie można zorganizować wokół jednego, najważniejszego uczucia: nienawiści

Dziś, kiedy to ruch homoseksualny podbił praktycznie Zachód, rewolucja potrzebuje nowych buntowników.

W tej roli właśnie występują transwestyci

Termin oznacza „zwoleńniczkę radykalnego feminizmu, która uważa, że tożsamość płciowa kobiety transpłciowej nie jest autentyczna i która jest wrogo nastawiona do osób transpłciowych i zróżnicowanych płciowo”. Cóż to za szaleństwo? – ktoś pyta. Jak większość potworów ideologicznych ruchu gender dawno już termin ten nie jest oznaką szaleństwa. Pomyślmy: „tożsamość płciowa kobiety transpłciowej” to definicja sama w sobie absurdalna. Można tego nie dostrzec tylko w jeden sposób: negując obiektywny, biologiczny i niepodważalny charakter płci.

W opisie gry można przeczytać: „Gra przedstawia motywy LGBTQAI+, transpłciowe i feministyczne, i pokazuje, jak wyglądałby powojenny apokaliptyczny świat, gdyby zwyciężyli faszyci płciowi. W tym dystopijnym świecie faszyci zabijają i wsadzają do więzień wszystkie osoby transpłciowe i queer, poddając je surowej terapii leczniczej, uwięzieniu i śmierci. Wcielasz się w uciekiniera z obozu i dokonujesz zemsty. Ta gra ujawnia bardzo realną transfobiczną przemoc, z którą spotyka się wiele osób transpłciowych za samo istnienie”. Proszę to czytać uważnie i ze zrozumieniem. Wiem, że wielu polskich czytelników przeciera oczy

do zastanego porządku. W połowie XIX w. taką rolę nosiciela wrogości wobec tego, co jest, mógł przyjąć proletariatus – idealne narzędzie, by dokonać wielkiego zniszczenia. W połowie wieku XX na tę samą myśl – rewolucję najlepiej przeprowadzają ci, którzy są wykluczeni, upośledzeni i uciskani – wpadli aktywiści homoseksualni. To wtedy właśnie homoseksualiści i lesbijki zaczęli wypierać i zastępować robotników jako potencjalne narzędzie do dokonania wielkiego przewrotu. Ba, z pewnego punktu widzenia nadawali się do swojej roli lepiej niż dawny proletariatus: robotnik, który się bogacił, nie chciał się buntować. Homoseksualista, jeśli został odpowiednio politycznie uświadomiony, stawał się buntownikiem z natury. W samym sobie nosił przewrót. Nie był już starym, dawnym homoseksualistą, cierpiącym z powodu nienaturalnego pożądania. Nie był już grzesznikiem pragnącym uzdrowienia. Nie był, jak to zawsze bywało, przykładem zepsucia obyczajów, tolerowanym, choć nieco lekceważonym „pederastą”.

Przeciwnie, właśnie owa nienaturalność, właśnie zakodowane w nim jałowe, przewrotne, czyste pożądanie czyniło go w oczach rewolucjonistów tak bardzo cennym i wartościowym instrumentem walki.

Pojedynczy homoseksualista był co najwyżej człowiekiem godnym współczucia; gdy jednak udało się ich zebrać we wspólnotę i wzbudzić w nich świadomość obcości i wrogości, stali się poręcznym narzędziem walki politycznej. Od tej pory, a więc od połowy lat 50., homoseksualizm stał się częścią rewolucji. Dawni poniżeni stali się wesołkami, gejami.

Dziś, kiedy to ruch homoseksualny podbił praktycznie Zachód, rewolucja potrzebuje nowych buntowników. W tej roli właśnie występują transwestyci. Żeby zniszczyć stare społeczeństwo, nie wystarczy już wszem wobec głosić pochwałę gejów i zachwycać się siostrzeństwem. To wciąż za mało. Trzeba iść krok dalej i zdestruować już nie tylko, co jest osiągnięciem homoseksualistów i lesbijek, pojęcie małżeństwa i wartość płodności, ale trzeba sięgnąć jeszcze głębiej, co zresztą i tak jest jedynie rozwiązaniem tymczasowym. Bo na końcu, jeśli w ogóle można tu mówić o końcu, kiedy już zostaną zrównane wszystkie orientacje i kiedy już zniknie płęć, i kiedy już każdy będzie trochę binarny, a trochę niebinarny, ma też zniknąć człowiek. Ostatnim etapem będzie doprowadzenie do pełnego zezwierzecenia człowieka, do animalizacji, do stanu, w którym nic już nie różnicuje, nic już nie osądza, nic już nie wyróżnia, bo władza sądenia, wyrokowania i orzekania się rozpłynie. Prawdziwy człowiek to człowiek sprowadzony do tego, co w nim pierwotne, zwierzęce, do czystego i radosnego stanu pożądania i zaspokojenia, uwolniony od wszelkiej świadomości i racjonalności.

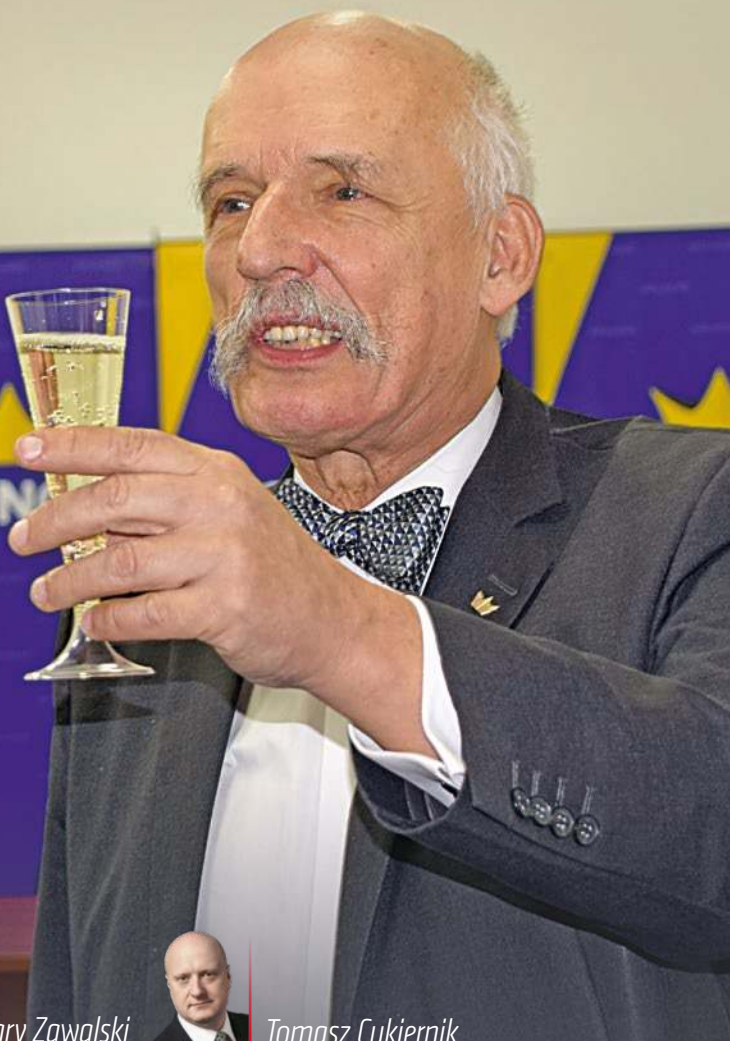
To swego rodzaju konsekwentne wprowadzenie w życie wniosków, do których dotarli przed laty Zygmunt Freud czy Karol Marks. Ten pierwszy wykazał – przynajmniej w swoim mniemaniu – że człowiek w istocie jest kłębkim zwierzęcych pożądań, swego rodzaju podświadomością, nieokiełznaną i nieodróżnioną energią seksualną; ten drugi wskazał mechanizmy społeczne, przy pomocy których można zastany świat zniszczyć. Piękne połączenie, którego dokonali w latach 30. XX w. członkowie szkoły frankfurckiej.

Paweł Lisicki

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

jest to fragment książki „Imperium Sodomy i jego sojusznicy”, która właśnie ukazuje się nakładem wydawnictwa Fronda.

Korwin na wygnaniu



Cezary Zawalski



Tomasz Cukiernik

Jak wyglądały zmagania Janusza Korwin-Mikkego z Unią Europejską? Tego dotyczy fragment biografii Janusza Korwin-Mikkego zatytułowanej „Korwin. Ojciec polskich wolnościowców”

Janusz Korwin-Mikke wszedł do Parlamentu Europejskiego z hasłem „zniszczenia Unii za jej własne pieniądze”. Niektórzy wypominali jednak europosłowi, że „bierze pieniądze z Unii, a później na nią szczeka”. Jednak jako eurodeputowany niezrzeszony nie miał zbyt dużego wpływu na prace Parlamentu Europejskiego. Jego działalność ograniczała się więc do uczestnictwa w posiedzeniach Komisji Spraw Zagranicznych i przemówień na sesjach plenarnych. Korwin-Mikke w czasie swoich wystąpień w europarlamencie nie ukrywał wrogości wobec Unii Europejskiej. Niemal każde z nich kończył słowami: „A poza tym sądzę, że Unia Europejska powinna zostać zniszczona”. Była to parafraza słów Katona Starszego, który każde swoje przemówienie w Senacie kończył zdaniem: „A poza tym sądzę, że Kartaginę należy zniszczyć”.

Prezes KNP po raz pierwszy zabrał głos podczas obrad PE w Strasburgu 2 lipca 2014 r. Jego wystąpienie dotyczyło globalnego ocieplenia. Stwierdził, że jeżeli takie zjawisko istnieje, to nie jest spowodowane działalnością człowieka. Sugerował też powołanie urzędu prokuratora UE. Tenże prokurator powinien znaleźć – zdaniem Korwin-Mikkego – pseudouczone, którzy w złej wierze wspierali pogląd o roli człowieka w powstaniu globalnego ocieplenia, osądzić ich i wsadzić do więzienia. Przemówienie to nie spotkało się z polemiką i minęło bez większego echa.

KARANIE ZA SŁOWA

Kolejne wystąpienia Janusza Korwin-Mikkego na forum europarlamentu wywoływały znaczne poruszenie. Ich konsekwencją były kary finansowe i inne sankcje nakładane na europośła przez prezydium PE. Pierwszy taki przypadek miał miejsce 16 lipca 2014 r. podczas debaty poświęconej bezrobociu młodzieży w Europie. Korwin-Mikke powiedział wówczas: „John F. Kennedy, kiedy wprowadził w życie pierwszą ustawę o płacy minimalnej, powiedział szczerze: służy ona ochronie przemysłu Północy przeciwko konkurencji taniej siły roboczej Południa. Z tego powodu 4 mln ludzi straciło pracę. Cóż, to były 4 mln czarnuchów. Ale dziś mamy 20 mln Europejczyków, którzy są Murzynami Europy, 20 mln młodych ludzi jest Murzynami z Europy, tak! Są

FOT. TOMASZ CUKIERNIK

■ traktowani jak Murzyni. Musimy zniszczyć płacę minimalną i musimy zniszczyć władzę związków zawodowych! Bo związki zawodowe są instrumentami...". W tym momencie prowadzący obrady socjalista z Włoch Gianni Pittella wyłączył mikrofon. Dalej sprawą zajął się przewodniczący Parlamentu Europejskiego Martin Schulz, który ocenił, że Korwin-Mikke użył w trakcie debaty rasistowskich określeń, za co nie przeprosił. Uznał to za poważne naruszenie reguł, na których opiera się funkcjonowanie europarlamentu. Poinformował też, że polski europoseł zostanie pozbawiony diet za 10 dni (dzienna dieta to 304 euro).

Janusz Korwin-Mikke ocenił, że kara nałożona na niego przez Schulza jest „wyrazem zemsty socjalisty na antysocjaliście”: „Przodkowie pana Schulza obrabowali mojego ojca na wiele większe sumy niż pan Schulz mnie. Socjaliści w Polsce grabią ludzi codziennie na znacznie większe sumy, więc traktuję to z filozoficznym spokojem. Koszty walki politycznej”. Ponadto powiedział, że cała sprawa to nieporozumienie językowe, ponieważ w swojej przemowie nie użył angielskiego słowa „niggers”, które uznawane jest za uwłaczające, tylko „negroes” (Murzyni). W czasie rozmowy z przewodniczącym PE powoływał się na dzieła Marka Twaina, który stosował określenie „negro”, czy twórczość Johna Lennona, autora piosenki „Woman is the Nigger of the World”. „Nie będę używał poprawnej nowomowy i będę nazywał Murzyna Murzynem” – powiedział.

Kolejna wypowiedź, którą Korwin-Mikke wywołał kontrowersje na forum europarlamentu, miała związek z głosowaniem w sprawie stworzenia jednego biletu na terenie całej Unii Europejskiej, niezależnie od środka transportu. Odnosił się negatywnie do tego pomysłu i zabierając głos podczas dyskusji w PE, powiedział: „Wciąż mówimy o różnorodności i o tym, że nasz parlament broni różnorodności. Ale zawsze podczas głosowania wybieracie ujednolicenie wszystkiego. Nie jesteście za różnorodnością, tylko za ujednoliceniem! Tym razem to »ein Reich, ein Volk, ein ticket«!”. Po tych słowach Korwin-Mikke wykonał gest ręką określając jako hajlowanie.

W jednej z kolejnych debat w PE europoseł z dezaprobatą odniósł się do

polityki rządów europejskich wypłacających zasiłki imigrantom. Powiedział, że „gdyby Europa zlikwidowała zasiłki, zniknąłby problem imigrantów. Teraz Europę zalewa ludzki śmieć, któremu nie chce się pracować”. Janusz Korwin-Mikke zauważył, że wśród imigrantów są osoby, które chcą pracować, ale Europa takich nie chce. Przyjmuje tych, którzy chcą żyć z zasiłków. Powołał się przy tym na przykład Stanów Zjednoczonych, które stworzyły potęgę, przyjmując imigrantów, ale nie dawały im zasiłków: „My niszczymy Europę, to jest polityka upadku Europy”.

Za wzniesienie ręki w hitlerowskim geście i wypowiedź na temat kryzysu imigracyjnego przewodniczący Schulz wykluczył polskiego eurodeputowanego na 10 dni z prac PE i utratę 10 diet. Do tematyki dotyczącej rozwiązania problemu imigracyjnego doszło ponownie na forum europarlamentu kilka miesięcy później. I tym razem Korwin-Mikke wypowiedział słowa, które nie spodobały się Schulzowi. W swoim wystąpieniu stwierdził, iż „dyplomata kongijski powiedział, że Europę zalewa afrykańskie szambo. Możemy być dumni, że naszym obowiązkiem jest nauczenie tych ludzi rozumu”. Wypowiedział też słowa: „Wypowiedz ta miała kosztować polskiego europośła 3 tys. euro i zakaz wypowiadania się podczas sesji PE przez pięć dni”.

SZOKUJĄCE POGLĄDY

Największy rezonans wywołały jednak słowa, które padły z ust prezesa partii KORWiN 1 marca 2017 r. w trakcie debaty na temat różnic w wynagrodzeniach między kobietami i mężczyznami. Powiedział on wtedy m.in.: „Czy wiecie, które miejsca zajęła kobieta w olimpiadzie z fizyki teoretycznej w Polsce? [...] Pierwsze miejsce, które zajęła kobieta: osiemsetne. Czy wiecie, ile kobiet jest w pierwszej setce szachistów? Powiem wam: żadna. Oczywiście, że kobiety muszą zarabiać mniej niż mężczyźni, bo są słabsze, mniejsze i mniej inteligentne. Dlatego kobiety muszą zarabiać mniej. To wszystko”. Na Facebooku rozwinął swoją myśl. Według Korwin-Mikkego inteligencja to co innego niż mądrość. I nie należy tych pojęć mylić: „W prawie każdej parze mężczyzna jest wyższy, silniejszy i inteligentniejszy. Świadczy to o mądrości kobiet. A mądra kobieta znakomicie potrafi kierować swoim mężczyzną – nawet

Za swoje wystąpienia w Parlamencie Europejskim Janusz Korwin-Mikke był karany finansowo FOT. EUROPEAN UNION



jeśli jest on bardzo inteligentny – tak, że on (ani nikt) tego nie zauważa. Oboje na tym dobrze wychodzą”. Swoje zdanie uzasadnił przykładem drużyn koszykarek, siatkarek, szachistek, w których trenerami są mężczyźni. Dlaczego? „Bo kobiety chcą, by trenował je ktoś lepszy w tym sporcie od nich. To znów świadczy o ich mądrości”. Janusz Korwin-Mikke tłumaczył też, że to inteligencja „skutkuje np. większą innowacyjnością mężczyzn”. Dodał, że „kobiety nie wynalazły praktycznie NIC – nawet mopa wynalazł mężczyzna (Murzyn akurat); nawet tampax (o.b.) wynalazł mężczyzna!!! Kobieta była tylko Kopernik, ale to wyjątek. Mądrość kobiet polega na tym, by pozwolić mężczyznom konstruować to, co lubią – a potem z tego korzystać”. „A tak w ogóle – pisał dalej – to kobieta jest istotą pośrednią między mężczyzną a dzieckiem. Dlatego kochamy nasze kobiety i nasze dzieci, opiekujemy się nimi, pozwalamy im na znacznie więcej, niż wolno nam – bo są one sensem naszego istnienia”.

Tym razem karę na Korwin-Mikkego nałożył następny po Schulzu przewodniczący Parlamentu Europejskiego Antonio Tajani. Oprócz utraty 30 dziennych diet prezes partii KORWiN został zawieszony na 10 dni w działalności poselskiej oraz otrzymał zakaz reprezentowania Parlamentu Europejskiego w delegacjach



międzyparlamentarnych. W związku z licznymi kontrowersjami, które wynikły z wypowiedzi o kobietach, Korwin-Mikke objaśnił na Facebooku ich sens: „Nigdy nie powiedziałem, że kobiety powinny zarabiać mniej niż mężczyźni! Część osób źle zrozumiała moją wypowiedź. Powiedziałem, że jeżeli ktoś jest mniej inteligentny, to musi zarabiać mniej, to nie znaczy, że ktoś mu każe zarabiać mniej, w tym sensie, że nie może być tak, żeby kobieta zarabiała więcej niż mężczyzna, co jest oczywiście nieprawdą. Każda normalna kobieta i każdy normalny mężczyzna zarabiają tyle, ile dyktuje rynek pracy – co na ogół zależy od kwalifikacji, a nie od płci”.

W związku z Dniem Kobiet Janusz Korwin-Mikke, którego szokujące dla wielu poglądy na temat płci pięknej stały się głośne na całym świecie, został zaproszony do brytyjskiej telewizji ITV. Wystąpił tam w programie „Good Morning Britain”. Prowadzący audycję Piers Morgan szybko stracił kontrolę nad sobą i zaczął bombardować swojego gościa inwektywami. Co ciekawe, Korwin-Mikke był opanowany i w sposób merytoryczny odpowiadał na zadane pytania. Kiedy polski europoseł próbował objaśniać swoje tezy na temat zarobków kobiet, Morgan nazwał go „obrzydlivą szowinistyczną świnią”. Powiedział też: „Jak możesz mówić, że kobiety są mniej inteligentne

niż mężczyźni, skoro sam brzmisz tak niewiarygodnie głupio?”. Sprowokowany tymi słowami Korwin-Mikke odpowiedział: „Jeśli mówisz, że to, co udowodnili naukowcy, jest głupie, to tylko pokazuje, że jesteś idiotą, który nie wierzy w naukę”. Kiedy Morgan ponownie zaczął oskarżać swojego interlokutora o to, że ten sprzeciwia się przyznaniu kobietom wyższych zarobków, polityk ripostował, że jedynie przedstawia obiektywną rzeczywistość, iż kobiety zarabiają mniej od mężczyzn. Wtedy prezenter użył argumentum ad personam, próbując w nieudanych małżeństwach swojego gościa dopatrzeć się przyczyn jego stosunku do kobiet. Zdaniem dziennikarza Wirtualnej Polski Janusz Korwin-Mikke wyszedł z konfrontacji z Piersem Morganem zwycięsko. Redaktor brytyjskiej ITV skoncentrował się bowiem w swojej wypowiedzi na znieważeniu rozmówcy, a nie na podważeniu sensowności jego poglądów.

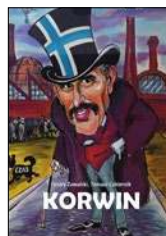
POWRÓT DO DOMU

1 marca 2018 r. Janusz Korwin-Mikke złożył mandat europosła. O zamiarze tym poinformował na konferencji prasowej w Katowicach ponad miesiąc wcześniej. Decyzję

uzasadnił tym, że w Brukseli marnował bardzo dużo czasu. Zabierały go podróże lotnicze i różne formalności: „W Brukseli i Strasburgu czuję się na wygnaniu, jak kiedyś czuł się Mickiewicz. Postanowiłem wrócić do Polski, bo człowiek, który jest w Brukseli, nie jest w Polsce szanowany, zresztą słusznie; nikt się z kimś takim nie liczy – znacznie ważniejsi są ludzie, którzy działają w kraju”. Zadeklarował ponadto, że chciałby włączyć się w kampanię samorządową. Miał to oznaczać, że być może po raz trzeci wystartuje w wyborach na prezydenta Warszawy. Miejsce Korwin-Mikkego w europarlamencie zajął Dobromir Sośnierz, kolejny kandydat ówczesnego KNP, który w okręgu śląskim otrzymał największą liczbę głosów po prezesie.

Przed rozstaniem z europarlamentem Janusz Korwin-Mikke zaskarżył dwie decyzje przewodniczącego i prezydium PE dotyczące kar nałożonych na niego za wypowiedzi o migracji oraz nierówności w zarobkach kobiet i mężczyzn. Sąd Unii Europejskiej w Luksemburgu orzekł nieważność obu postanowień organów zwierzchnich PE. Uznał też, że wolność słowa ma fundamentalne znaczenie dla działalności parlamentu w demokratycznym społeczeństwie i należy jej przyznać zwiększoną ochronę. Zasada wolności słowa – według uzasadnienia – musi jednak ustąpić w przypadku nadrzędnych interesów, którymi są: ochrona porządku działalności parlamentarnej i praw innych parlamentarzystów. Możliwość nakładania kar istnieje więc tylko wówczas, gdy wypowiedzi eurodeputowanych godzą w skuteczne funkcjonowanie europarlamentu lub stanowią zagrożenie dla

społeczeństwa. Dotyczy to takich sytuacji jak nawoływanie do przemocy lub nienawiści rasowej. Sąd stwierdził, że „niezależnie od szczególnie szokującego charakteru wypowiedzi Janusza Korwin-Mikkego, w braku zakłócenia obrad lub prac parlamentu, odpowiednie przepisy regulaminu Parlamentu nie pozwalają na ukaranie europosła z powodu wypowiedzi sformułowanych w kontekście jego funkcji parlamentarnych”. Sąd nakazał też zwrócenie politykowi odebranych przez PE diet.



CEZARY ZAWALSKI, TOMASZ CUKIERNIK
„KORWIN. OJCIEC POLSKICH WOLNOŚCIOWCÓW”
B&T PRESS 2023



dr Michał Chaberek O.P.

Jeżeli zgodzimy się z Johnem Templetonem, że zjawiska nadprzyrodzone można wyjaśnić metodami nauk przyrodniczych, to tak naprawdę nie istnieje coś takiego jak duch; raczej duch jest jedynie inną formą oddziaływania materii

Sir John Marks Templeton (1912–2008), chłopak z niewielkiego miasteczka w Tennessee, sukces finansowy i światowy rozgłos osiągnął dzięki udanym inwestycjom w spółki, które otarły się o bankructwo w okresie wielkiej recesji. Dzisiaj jego imię kojarzone jest z dziełami o charakterze filantropijnym, przede wszystkim doroczną Nagrodą Templetona oraz fundacją jego imienia, która finansuje setki projektów w dziedzinie dialogu nauki i wiary na całym świecie. Konferencje i wydarzenia sponsorowane przez Fundację Templetona zazwyczaj otacza aura prestiżu i uznania „środowiska naukowego”.

Oficjalnie celem tych wydarzeń jest refleksja nad pytaniami dotyczącymi natury rzeczywistości, ewolucji świata, znaczenia miłości i rozumienia najgłębszych zagadnień, przed którymi stoi ludzkość. Jednak mało kto zdaje sobie sprawę, że za tymi dość enigmatycznie sformułowanymi celami stoi znacznie bardziej określona wizja religii, Boga, Kościoła i świata wyrażona przez samego założyciela. Otóż John Templeton, gdy dzięki swojemu bogactwu stał się już wpływową osobą, zaczął przejawiać wielkie zainteresowanie i troskę o religię oraz stan duchowy ludzkości. Aby zrozumieć, na czym właściwie polega działalność wielu instytucji, które powołał do istnienia, trzeba zajrzeć do jego własnych przemyśleń.

„POKORNE PODEJŚCIE”

Templeton promuje to, co nazywa „pokornym podejściem”, czyli wychodzi od przekonania, że nikt nie posiada pełni prawdy i każdy powinien nieustan-

Teologia Johna Templetona



John Templeton FOT. INDEPENDENT INSTITUTE

nie wsłuchiwać się w głos innych. Jak wiele innych idei Templetona, tak i ta, na pierwszy rzut oka, nie budzi zastrzeżeń – owszem, chrześcijanin zgodzi się, że tylko Bóg zna pełnię prawdy. Jednak szkopuł tkwi w szczegółach – dla amerykańskiego filantropa pokorne podejście zakłada, że nasza wiedza nieustannie rośnie, a ewoluująca teologia nie ogranicza się do jakiegoś jednego narodu czy strefy kulturowej. W różnych kulturach rozwinęły się różne koncepcje Boga, a ten, kto jest prawdziwie pokorny, powinien być tak otwarty, że zaprasza i przyjmuje poglądy religijne z każdego miejsca we wszechświecie zamieszkanego przez inteligentne istoty. Poszukiwacze podążający za pokornym podejściem nigdy nie są tak ksenofobiczni, żeby odrzucać idee innych narodów, religii lub epok. Ponieważ pokorne podejście do teologii trwa ciągle i nieustannie ewoluuje, nie może stać się przestarzałe. Nikt nie powinien mówić, że Boga można osiągnąć tylko na jednej drodze i dlatego osoba pokorna jest gotowa przyznać i przyjąć różne manifestacje Boga.

Zdaniem filantropa pokorze przeciwstawia się największy nasz wróg – egotyzm, który sprawia, że ludzie myślą o sobie jako o kimś wyjątkowym w kosmosie, a poszczególni wyznawcy religii uważają swoją wiarę za lepszą. Każda tendencja do zdławienia religijnych geniuszy poprzez przyjęcie zbyt szczegółowych praw religijnych lub niezmiennych doktryn, liturgii lub struktur jest wynikiem braku pokory. Zdaniem Templetona naukowcy pokonali egotyzm, ponieważ nauczyli się testować nowe hipotezy, podważać dawne założenia i konkurować między sobą na polu zawodowym. Inaczej ma się rzecz z teologami, którzy zamknięci w zaścianionych przekonaniach nie rozumieją, że duchowa przyszłość ludzkości powinna różnić się od wszystkiego, co do tej pory znaliśmy. Twierdzenie, że Bóg nie może objawić siebie ponownie w decydujący sposób, ponieważ uczynił to już raz dawno temu, zdaniem Templetona jest świętokradztwem.

Zatem to, co Templeton nazywa „pokornym podejściem”, jest w rzeczywistości „dyktaturą relatywizmu” i odebraniem wyznawcom prawa do uznania wyłącznej prawdziwości swojej własnej religii. W istocie „pokorne podejście” jest przejawem niezwyklej pychy, w której człowiek

odrzuca autorytet Boga i zastępuje go autorytetem ludzkich opinii.

NOWA RELIGIA PRZYSZŁOŚCI

W 1981 r. Templeton wyraził nadzieję, że postęp w duchowości i religii będzie tak szybki, jak zdumiewające osiągnięcia w fizyce, astronomii i genetyce, a liderzy różnych denominacji kościelnych pozyskają fundusze na promocję badań. Efektem tych badań ma być stworzenie nowego rodzaju religii, właściwie ponad-religii, to znaczy systemu wierzeń opartego na uniwersalnych prawdach, które w sposób naturalny i bez kontrowersji może przyjąć większość ludzi. System wierzeń ma być nieustannie aktualizowany w wyniku nowych odkryć w nauce. Z kolei moralność tej nowej „uniwersalnej religii” ma się opierać na tym, co nazywa „prawami życia”, które stanowią mieszankę mądrości ludowej różnych kultur, psychologii i powszechnie przyjmowanych zasad.

Nowa religia ma się opierać na nowej teologii, wolnej od konfliktów, teologii dla tych, którzy nie mają wiary. Filantrop wyraża nadzieję, że możemy zbudować dział wiedzy o Bogu, który nie będzie opierać się na starożytnych objawieniach i pismach. Nowa teologia może rozwinąć się z nauk przyrodniczych – niezależnie od starożytnych pism i niezależnie od starożytnej eklezjologii. Temu mają służyć programy na uniwersytetach poświęcone dialogowi wiary i nauki. Wśród wprost wyrażonych celów organizacji przez siebie założonych Templeton wymienia promowanie rozwoju teologii, która nie jest kontrowersyjna i nie jest ograniczona do żadnego obszaru i żadnego starożytnego pisma; teologii, którą będzie szanował nawet najbardziej sceptyczny naukowiec. Stworzenie niekontrowersyjnej i niekonfesyjnej teologii zdaniem Templetona sprawi, że duchowość stanie się powszechnie akceptowalna i szanowana.

MONIZM MATERIALISTYCZNY

W ujęciu amerykańskiego filantropa inwestora teologia zatrzymała się w ciemnych wiekach, jeśli chodzi o badanie „praw ducha”, natomiast nauki przyrodnicze poszły do przodu w badaniu zjawisk naturalnych. Obecnie teologowie muszą nadrobić te zaległości. „Prawa ducha” to nie to samo, co „prawa religijne”. „Prawa ducha” to uniwersalne zasady świata nie-

widzialnego, które można poznać i testować poprzez obszerne badanie ludzkich zachowań i innych danych. Templeton wyraża przekonanie, że nadszedł już czas, aby skoncentrować nasze zasoby na takim rodzaju poszukiwaniach, który umożliwi nam zrozumienie wzorców i praw rządzących wzrostem duchowym i rozwojem. Niestety, jego zdaniem, liderzy kościelni często nie zdają sobie jeszcze sprawy z potrzeby sponsorowania szeroko zakrojonych, otwartych umysłowo badań w sferze praw ducha.

Jeżeli jednak zgodzimy się z Johnem Templetonem, że zjawiska nadprzyrodzone można wyjaśnić metodami nauk przyrodniczych, to tak naprawdę nie istnieje coś takiego jak duch; raczej duch jest jedynie inną formą oddziaływania materii. W ten sposób Templeton opowiada się za monizmem, czyli przekonaniem, że duch i materia stanowią jedność, a ponieważ uznaje on materię za rzeczywistą, to jest to monizm materialistyczny. Potwierdza on takie stanowisko zarówno swoimi poglądami na umysłowość człowieka, która w jego ujęciu jest jedynie efektem ewolucji i działania mózgu, jak i wizją boga, który jest w każdym człowieku, objawia się w kosmosie, materii i ludzkiej świadomości.

TOTALNY EWOLUCJONIZM

Zasadniczym celem organizacji założonych przez Templetona jest promocja tego, co nazywa się „teistycznym ewolucjonizmem”, czyli poglądem, jakoby Bóg stworzył świat, posługując się procesem ewolucji. Proces ten jest nieustanny i dlatego świat jest nieustannie stwarzany, gdyż nieustannie ewoluje. Templeton niejednokrotnie powołuje się na francuskiego jezuitę, Teilharda de Chardina, którego nazywa „paleontologiem i mistykiem”. Uważa, że idea ewolucji ma tak wielkie znaczenie, ponieważ wskazuje na fundamentalną i dynamiczną jedność lub wyłączność świata. Nasz światopogląd, niegdyś statyczny, teraz stał się całkowicie dynamiczny.

Wielkim pionierem tej zmiany światopoglądowej był Darwin, którego znaczenie wykracza ponad jego ściśle naukowe teorie. Darwin raz na zawsze wprowadził ideę ewolucji na mapę intelektualną, a jego książka „O pochodzeniu gatunków” na zawsze pozostanie jednym z wielkich

punktów zwrotnych w historii myśli, kosmologii i eschatologii. Filantrop uważa, że naukowcy, teologowie i świeccy muszą przyjąć ewolucję jako światopogląd, paradygmat w postrzeganiu całej rzeczywistości. Jednak ewolucja nie musi się kończyć wraz z człowiekiem na Ziemi, lecz raczej zaczyna się tutaj. Myślenie, że człowiek na tej planecie stanowi kres ewolucji, byłoby egoistyczne i antropocentryczne.

Efektom kosmicznego procesu ewolucji jest nowy świat – pierwszy świat ewoluował na zasadzie ustalonych praw przyrody, ale obecnie stało się coś niepojętego – nastąpiła samoewolucja, to znaczy rozpoczęła się ewolucja intencjonalna. Ziemia jest przepełniona stworzeniami nowego rodzaju – logiką, miłością, matematyką, kultem, sensem, wynalazkami i mnogością innych wytworów nigdy wcześniej niewidzianych na ziemi. Po czterech miliardach lat ziemskiej ewolucji urodził się nowy świat – świat umysłu. Templeton uważa, że skoro ewolucja wytworzyła podmioty intencjonalne i zdolne do myślenia, to teraz one zaczynają kierować procesami ewolucyjnymi. Należy więc z otwartym umysłem, bez przywiązania do dawnych uprzedzeń, postawić pytania takie, jak np.: Czy poprzez manipulacje genetyczne na ludziach nie powinniśmy wytworzyć lepszego człowieka? Czy poprzez antykoncepcję możemy uchronić świat przed (domniemaną) katastrofą demograficzną?

DARWINIZM RELIGIJNY

Templeton może wzbudzić do siebie sympatię wierzących, gdy broni nauczania religii w szkołach i utrzymania wydziałów teologii na uniwersytetach. Filantrop wielokrotnie orzeka, że nie powinniśmy zakazywać kultu religijnego. Jednak i tutaj pod maską „obrony religii” kryje się zupełnie coś innego. Zdaniem Templetona powinniśmy mieć różne formy kultu w szkołach i pozwolić naszym dzieciom, aby badały i doświadczały wszystkich. Te, które są najbardziej znaczące, będą najczęściej uczęszczane. Te, które uczniowie uznają za bezwartościowe, w końcu zostaną zakończone.

Gdybyśmy tak uczynili, uważa Templeton, mielibyśmy zdrową i żywą rywalizację pomiędzy różnymi denominacjami i intensywną dyskusję na temat Ducha. Na tym właśnie polega pokorne podejście: otwarty umysł, wola przyznania, że



Od lewej: John Templeton, kard. Roger Etchegaray z Francji, kard. Edward I. Cassidy z Australii i dr William R. „Bill” Bright, laureat Nagrody Templetona

FOT. PLINIO LEPRIO/AP/EAST NEWS

mogą istnieć alternatywne prawdy, tak samo wartościowe jak nasza, oraz moc do współzawodnictwa z innymi – do poszukiwania, odkrywania i tworzenia społeczeństw i religii przyszłości.

Zatem celem nauczania religii nie jest przedstawienie prawdy o Bogu, lecz doprowadzenie do sytuacji, w której na drodze darwinistycznej walki o przetrwanie mniej przystosowane lub mniej atrakcyjne wyznania po prostu zanikną. Oczywiście samo rozumienie religii u Templetona różni się od tego, co uznają wyznawcy tradycyjnych religii – religia nie jest dla niego objawiona z zewnątrz, nie ma nadprzyrodzonych podstaw. Jest raczej projekcją pragnień i oczekiwań ludzi, którzy sami tworzą sobie credo, aby zaspokoić swoje potrzeby duchowe.

WILKI W OWCEJ SKÓRZE

John Templeton, podobnie jak George Soros czy Klaus Schwab, wcale nie ukrywa swoich zgubnych dla chrześcijaństwa poglądów; przeciwnie – precyzyjnie, kawa na ławę, wyłożył je w swoich książkach. Jego teologię można zamknąć w trzech pojęciach: relatywizm religijny, materialistyczny monizm i totalny ewolucjonizm. Co więcej, filantrop nie ukrywa, że organizacje przez niego zakładane, przyznawane nagrody i sponsorowane programy mają na celu realizację idei nowej, uniwersalnej religii, która wyprze tradycyjne wyznania. Niestety, większość działań organizacji Templetona ukrywa się pod mgliście sformułowanymi celami i atrakcyjnymi tytułami. Można więc zapytać, czy działalność tych organizacji nie jest próbą zniszczenia chrześcijaństwa poprzez roszadzenie go od środka, poprzez promocję idei pozornie chrześcijańskich, a tak naprawdę mających więcej wspólnego z mieszkanką gnozy, New Age i materializmu.

Wiele światła na sens działalności sir Johna Templetona rzuciła mi niegdyś lektura pewnego listu napisanego przez Karola Darwina do swojego syna. Otóż George Darwin (syn Karola) napisał niegdyś esej, który był dość nachalnym paszkwilem na chrześcijańskie idee modlitwy, nieba i piekła. Zanim wysłał go do publikacji, postanowił jednak zapytać swojego ojca o opinię. W odpowiedzi Karol Darwin prosił go, aby wstrzymał się z publikacją, ponieważ, jego zdaniem, „bezpośrednie ataki na chrześcijaństwo, nawet jeżeli pisane są ze wspianą siłą i animuszem Voltaire’a, przynoszą niewielki trwały efekt; prawdziwe dobro (sic!) zdaje się wynikać jedynie z powolnych i cichych bocznych ataków”.

Wydaje się, że rada Karola Darwina na temat tego, jak skutecznie walczyć z chrześcijaństwem, z powodzeniem bywa stosowana przez potężne światowe organizacje. Ich celem nie jest atak wprost, lecz pod pozorem prowadzenia dialogu nauki i wiary, wejście w strukturę Kościoła, domieszkanie do nauki katolickiej nieco fałszu i ostatecznie rozmycie całej doktryny najpierw poprzez domieszkę błędu, a następnie zastąpienie wiary katolickiej jakąś inną teologią będącą ludzkim wynalazkiem. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że pasterze, którzy mają chronić owce, rozpoznają zagrożenie i zneutralizują wilki, aby nie wyrządziły już więcej szkody.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Michał Chaberek O.P. jest teologiem fundamentalnym, współpracownikiem Discovery Institute i pracownikiem Fundacji En Arche. Zajmuje się dialogiem wiary i nauki oraz katolicką teologią stworzenia. Jest autorem m.in. „Kościoła a ewolucja”, „Stworzenie czy ewolucja? Dylemat katolika” oraz „Święty Tomasz z Akwinu a ewolucja”. Jego strona to: www.mchaberek.com.

RYSZARD GROMADZKI: Czy historie, które opisuje pani w swojej książce, dają podstawę do tego, żeby stworzyć generalny obraz postaw Polaków wobec Holokaustu? Jako naród współczuliśmy Żydom, byliśmy obojętni na ich tragedię czy też – jak głosi narracja wszechobecna na Zachodzie – Polacy kooperowali z Niemcami przy zagładzie Żydów? Czy budowanie uogólnień w tej sprawie ma w ogóle sens? Bo mówimy o ogromnej mozaice odrębnych, zniuansowanych historii.

BARBARA STANISŁAWCZYK: Trzeba rozróżnić dwie płaszczyzny. Pierwsza to ta, na której działa się historia, na drugiej rozgrywa się dyskurs historyczny wraz z interpretacją tejże historii. Zaczę od tej drugiej i od interpretacji, którą pan przytoczył, obciążającej Polaków winami wobec Żydów. Wpisuje się ona w nurt tzw. nowej szkoły badań nad Holokaustem, która w oderwaniu od faktów historycznych, wbrew prawdziwej postawie większości Polaków podczas drugiej wojny światowej, próbuje uczynić ich współodpowiedzialnymi za Holokaust. To jest gra czysto polityczna. Gra historią, a także gra ludzkimi losami, ludzkimi tragediami. Moja książka dotyczy prawdziwego życia, prawdziwej historii. Napiisałam o Polakach, którzy ratowali Żydów, o ludziach, którzy pokonali największy strach. Ryzykowali swoje życie i życie najbliższych, w tym własnych dzieci, nie pytając ich przecież o zdanie. Pisząc o bohaterach, nie stawiam jednak pomników. Pokazuję całą komplikację wojennych realiów i ludzkich wyborów, postaw, zachowań, okoliczności.

Moje badania dotyczące tego tematu nie ograniczają się tylko do materiałów, które zostały zawarte w książce. Jej pierwsze wydanie pt. „Czterdzieści twardych” miało miejsce w 1997 r. Od tego czasu zgłębiłam problem, szukając jednocześnie przyczyn fałszywego dyskursu, co w niedługim czasie zaowocuje książką.

Z moich badań wynika, że większość Polaków była nastawiona do Żydów życzliwie, kierowała się wobec nich moralnością chrześcijańską, współczuciem. Skala pomocy była dużo większa, niż to zostało odnotowane w historiografii. W swojej książce opisuję historie również „dziewicze”, nigdy dotąd

nieodkryte. Takich jest bardzo dużo. Wciąż zgłaszają się do mnie potomkowie rodzin, które ukrywały Żydów, które w różny sposób pomagały, ponosząc za to wielką cenę, także tę ostateczną. Wielu Polaków nie pomagało, bo nie mogło pomóc z różnych względów. Czynniki strachu i odpowiedzialności za rodzinę i sąsiadów był jednym z nich. Ale

Obuchów i Kowalskich. Ta historia skończyła się tragicznie, spalaniem żywcem tych rodzin. Żydzi ukrywani przez rodzinę Obuchów chodzili razem z ich synem na zwykłe kradzieże, o czym opowiadali mi mieszkańcy wsi. Podkradali jajka, śmietanę czy inne rzeczy, co powodowało złość mieszkańców. Skończyło się wielką



Z Barbarą Stanisławczyk, pisarką i reportażystką, autorką książki „Poza strachem” – o tym, jak Polacy ratowali Żydów podczas drugiej wojny światowej rozmawia Ryszard Gromadzki

Asymetria wdzięczności

przecież nie tylko ten. Był też czynnik materialny. Jeśli np. weźmiemy pod uwagę polską wieś, to należy uwzględnić poziom jej ubóstwa, który uniemożliwiał pomoc. Wiejskie zagrody w większości składały się z małej chałupy, często nie było nawet stodoły, tylko sterta słomy, i mała obórka, w której czasami nocowali członkowie rodziny, bo chałupy były przepełnione. To były realia przedwojennej i wojennej polskiej wsi.

W miastach wyglądało to bardzo różnie, ale przecież i tam było dużo biedy. Nie było łatwo ukryć – a tym bardziej wyżywić – dodatkowe osoby. A przecież nie wszyscy Żydzi, którzy zwracali się do Polaków o pomoc, dysponowali gotówką czy innymi dobrami, które mogli spieniężyć i zdobyć środki na utrzymanie. Często były przypadki, kiedy to Polacy musieli utrzymywać swoją wielodzietną rodzinę i jeszcze Żydów. Skutkowało to takimi przypadkami jak ten z rodzinami

tragedią, bo w końcu Niemcy się dowiedzieli, że we wsi ukrywani są Żydzi, i spalili ich razem z polskimi rodzinami. Odpowiadając wprost na pana pytanie, jeśli miałabym pokusić się o jakąś generalizację, to powiedziałabym, że podstawowym czynnikiem, który decydował o niesieniu Żydom pomocy, była moralność chrześcijańska.

Czy sytuacje całkowitej zależności ukrywanych Żydów od ukrywających ich Polaków nie były wielkim wyzwaniem dla dobra dyktowanego chrześcijańską moralnością? Czy nie budziło to pokusy nadużycia tej szczególnej relacji?

Tak rzeczywiście bywało. Zarówno w sposób celowy, jak i w sposób do końca nieuświadomiony. Trzeba pamiętać o tym, o czym piszę we wstępie do książki, że ukrywani i ukrywający to „syjamscy bracia”, zrośnięci groźbą śmierci – w sensie dosłownym. Często wspólnie ginęli. Często w okrutny sposób. Codziennosc ludzi ukrywanych

i ukrywających sprawiała, że czasem nie wytrzymywali napięcia. Zdarzały się nadużycia, również seksualne. Zdarzało się wymuszanie pieniędzy.

Z kolei ukrywani nie wytrzymywali w ciasnych zwykle kryjówkach, bez światła. Chcieli spotkać bliskich, rozeznaczyć sytuację, poszukać lepszego schronienia. Wydobyć ukryte gdzieś pieniądze czy złoto, by mieć z czego żyć albo je lepiej ulokować na później. Zdarzało się, że ściągali w ten sposób Niemców na siebie i na Polaków, którzy ich przechowywali.

Opisuję taką historię: Wacław, młody Żyd, nocą wykradał się ze stodoły, w której się ukrywał, i szedł do pobliskiego miasteczka. Po co? Tylko on wiedział. Złapany przez Niemców twierdził, że mieszka w lesie, ale zima była zbyt mroźna, by Niemcy mu uwierzyli. Wtedy wskazał stodołę, w której się ukrywał. I choć zapewniał, że gospodarz, Jan Stępniewski, nic o tym nie wiedział, to zginęli obaj. A rodzina razem z domostwem zaczęła popadać w ruinę, tak że nawet pszczoły opuściły ule. Bo, jak mówi Henryk Stępniewski, syn zamordowanego: „Pszczółki uciekają od śmierci”.

Ukrywani Żydzi potrafili być wdzięczni ukrywającym ich Polakom? Czy jak Kosiński w „Malowanym ptaku” później celowo ich zohydzał, odpłacając za dobro czarną niewdzięcznością?

Pisząc książkę, rozmawiając z jej bohaterami, zadałam sobie i im pytanie: Jakże uczucia rodzi skrajna wzajemna zależność? Czy wybawiony kocha swego wybawcę czy też nienawidzi go jako świadka swych największych upokorzeń? Czy dramat przeżytej rzeczywistości nie prowadzi do utożsamienia świadka ze sprawcą?

Historie, które opisuję, nie urywają się wraz z zakończeniem wojny. Powojenne życie pisało dalsze scenariusze i układało nowe relacje ratujący – ratowany, a ja za nimi podążyla. Było różnie, tak jak i różnie bywało z wdzięcznością. Opisuję historię Marii Błyszczuk i dr. Emila Rosenzweiga, która zakończyła się wielką miłością i szczęśliwym małżeństwem. Opisuję też skrajnie odmienną, kiedy uratowana sprzeciwia się przyznaniu wybaczonego Medalu Sprawiedliwych wśród



BARBARA
STANISŁAWCZYK
„POZA
STRACHEM”
FRONDA 2023



FOT. JACEK KOWSKI/REPORTER

Narodów Świata. To historia dwóch sióstr, Reny i Janki, które matka prosto z getta zaprowadziła do swej znajomej Marii Wojtyszyn, mówiąc: „Zrób z nimi, co chcesz, ja nie mogę patrzeć na ich śmierć”. Młodsza, Janka, została u Wojtyszynów, Rena została umieszczona u ich kuzynów – Jakubowskich. Przeżyły obydwie, a potem zaczęły się dramaty, bo Janeczka wrosła w polską rodzinę i była przysposobiana do komunii i adopcji, a Rena, wspierana przez gminę żydowską, chciała odzyskać siostrę. Zabrać ją do Izraela, gdzie sama się udawała. Były porwanie, łzy, rozpacz, ponieważ dziewczynka nie pamiętała swojej żydowskiej rodziny, kochała Wojtyszynów, to z nimi chciała zostać. Kiedy więc zostali oni zmuszeni do oddania dziecka, miała do nich żal, a potem przez całe swoje krótkie w sumie życie pisała czułe listy. Rena zaś po latach, kiedy nie było już Janki, sprzeciwiła się przyznaniu Wojtyszynom Medalu Sprawiedliwych.

Najwięcej było zapomnienia, zerwanych relacji. Po wojnie uratowani Żydzi starali się ułożyć własne życie, nadrobić stracone lata, odbudować rodziny czy zbudować je na nowo. A nade wszystko zapomnieć o traumatycznych przeżyciach. Inni, dla odmiany, pamiętali swych wybawców przez pryzmat mniej lub bardziej uzasadnionych żalów, nieporozumień, niespełnionych życzeń. Większość, pogrążona w codzienności, zapomniała o swoich wybawcach. Na codzienność nakładała się wielka polityka, zerwane relacje dyplomatyczne między krajami.

A potem nadeszły lata 80. i 90. i pojawiła się nachalna narracja o winach Polaków. Tak więc kiedy rozmawiałam z moimi bohaterami, najczęściej wyrażali żal, że ci, którym pomagali, nie dają świadectwa; że milczą. Niektórzy więc sami dawali świadectwo swoich czynów i występowali o przyznanie Medalu Sprawiedliwych. Inni w ogóle o medalu nie wiedzieli, a nawet gdy tak było, to jak

Gdy mówimy o żydowskim narodzie, trzeba się zgodzić z twierdzeniem o wyjątkowości jego cierpienia i metodycznej eksterminacji. Gdy jednak opisujemy konkretnego człowieka, ten, który ratował, nie bał się śmierci mniej niż ten, który był ratowany

Henryk Stępniewski, który stracił ojca, a niedługo i matkę, bo szybko popadła w chorobę i umarła, mówili: „Jak to tak, samemu po medal, to niehonorowo”.

Chęć wyparcia koszmaru sprawiała, że wyparty z pamięci musiał być też wybawca, świadek tego koszmaru...

IPN zrobił ostatnio film „Matusia”. Jedna z bohaterek tego filmu, uratowana przez zakon, mówi: „Pozwólcie nam zapomnieć”. Natychmiast nasunęła mi się myśl: I wzajemnie. Apel jest zrozumiały, ale powinien być skierowany przede wszystkim do tych, którzy próbują tworzyć nową historię, w której Polacy mają zająć miejsce sprawców. Do tych, którzy nie tyle rozgrzebują rany, ile je zadają. Moi rozmówcy w chwili ratowania kierowali się odruchem własnego serca i chrześcijańskim sumieniem, nie oczekiwali wdzięczności. Ale kiedy po latach słyszą oskarżenia wobec Polaków – nie wobec pojedynczego człowieka, ale wobec polskiego narodu – mają żal, że ci, którzy dzięki nim przetrwali, nie odezwali się głośno i oficjalnie na temat Holokaustu. – I to jest ten ból. I to jest brak zadośćuczynienia za nasz czyn, za poświęcenie – mówi Henryk Grabowski, który potrafił przejść pieszo z Warszawy do Grodna, wykonując zadania żydowskiej konspiracji przed powstaniem w getcie. – Nie medali nam trzeba, nie pieniędzy, ale sprawiedliwej oceny sytuacji wojennej. Przecież Żydzi Żydów mordowali, palili w obozach, na rozkaz Niemca rodzina się między sobą mordowała, porzucali własne dzieci,

byle dać sobie nadzieję przeżycia. A od Polaków żąda się tylko heroizmu – przypomina Grabowski.

Gdy mówimy o żydowskim narodzie, trzeba się zgodzić z twierdzeniem o wyjątkowości jego cierpienia i metodycznej, niemal przemysłowej jego eksterminacji. Gdy jednak opisujemy konkretnego człowieka, ten, który ratował, nie bał się śmierci mniej niż ten, który był ratowany. W chwili śmierci cierpieli tak samo. Zawsze jest to przeżycie indywidualne. I tu możemy mówić o symetrii – symetrii lęku i symetrii cierpienia.

Użyła pani określenia „symetria lęku”. Czy w sprawach, o których mówimy, występuje „symetria wdzięczności” czy jej nie ma?

Dla wielu Polaków wojna nie zakończyła się wraz z formalnym jej zakończeniem. Zmienił się tylko okupant i bywało, że Polacy i Żydzi zamieniali się rolami. To Polacy stawali się ofiarami, potrzebującymi pomocy od swych dawnych podopiecznych. Jedni ją otrzymywali, inni niekoniecznie. Niezależnie jednak od tego, jak było, trudno mówić o „symetrii wdzięczności”, ponieważ skala i ryzyko niesienie pomocy w czasie wojny i po jej zakończeniu były jednak zupełnie różne. Żydzi pomagający Polakom nie ryzykowali niczym albo niewiele ryzykowali. Polacy za pomoc płacili krwią.

Jedno mogę powiedzieć na usprawiedliwienie tych, którzy zostali uratowani, a milczą. Oni także poddawani są presji politycznej i narracji nowej szkoły badań nad Holokaustem. Mówimy o ofiarach tej samej wielkiej polityki i narzuconej narracji. Oczywiście możemy mieć pretensje, że ci ludzie nie stawiają czoła tej fałszywej narracji, że nie walczą o prawdę. Jednak na ile mogą sobie na tę walkę pozwolić czy tego chcą – nie wiem.

W latach 80. i 90. pojawiła się nachalna narracja o winach Polaków. Kiedy rozmawiałam z moimi bohaterami, najczęściej wyrażali żal, że ci, którym pomagali, nie dają świadectwa; że milczą

Dziwny przypadek generała Korniłowa



Dariusz Wieronieczny

Niewiele jest w rosyjskiej historii wydarzeń równie brzemiennych w skutki jak „sprawa Korniłowa”. Znakomity amerykański historyk, Richard Pipes, nazwał ją „jednym z najdziwniejszych epizodów rewolucji rosyjskiej”

Ławr Gieorgijewicz Korniłow urodził się w roku 1870 w małym miasteczku położonym u stóp góry Altaj, w dzisiejszym Kazachstanie. Jego ojciec był chłopem, służącym jako chorąży i tłumacz w pułku kozaków syberyjskich. Matka była Kałmuczką, to po niej chłopiec odziedziczył miał wyraznie azjatyckie rysy twarzy. Niektóre źródła przypisują jej także przodków kozackich lub polskich. Ważne jest jednak, że pochodzenie Korniłowa było zdecydowanie plebejskie, co sam zainteresowany chętnie podkreślał. Odróżniało go to od większości rosyjskich generałów i najważniejszych polityków (Lenin, Kiereński), których ojcowie należeli do najwyższej warstwy szlachty urzędniczej. Lata młodości spędził przyszły generał pośród Kazachów, Turkmenów i Kirgizów, poznając ich obyczaje i języki. Sympatię dla narodów Azji Środkowej zachował Korniłow do końca życia.

Po ukończeniu szkoły kadetów w Omsku i szkoły artylerii w Petersburgu Korniłow uczestniczył w kilku wyprawach wywiadowczo-eksploracyjnych do Turkestanu, Afganistanu i Persji. Nauczył się przy okazji licznych języków – opanował angielski, francuski, niemiecki, a do tego chiński, farski, kazachski, mongolski, kałmucki i urdu. Otaczał się strażą złożoną z ubranych w szkarłatne mundury i okazałe papachy z owczej skóry Turkmenów, tytułujących swojego dowódcę „Ułū Bojar” (wielki bojar). Uzbrojeni w zakrzywione wschodnie szable musieli oni robić piorunujące wrażenie.

W roku 1895 Ławr Korniłow zdał egzaminy do prestiżowej akademii sztabu generalnego. Skończył ją ze srebrnym medalem. Podróżował po Afganistanie i Persji, przebywał też incognito w Indiach, odwiedził m.in. Delhi, Agrę i Bombaj.

W BOJU

W roku 1905 wziął udział w wojnie rosyjsko-japońskiej. Dostał wtedy, za osobistą odwagę, pierwszy Krzyż św. Jerzego. Później mianowano Korniłowa rosyjskim przedstawicielem wojskowym w Chinach. Poznał przyszłego przywódcę Kuomintangu – Czang Kaj-szeka. Zaprzyjaźnił się też ze „zwiedzającym” Daleki Wschód innym oficerem rosyjskim – przyszłym prezydentem Finlandii Gustawem Mannerheimem.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej Korniłow dowodził już dywizją piechoty w armii gen. Brusilowa. W kwietniu 1915 r. jego „żelazna” dywizja została w Karpatach otoczona, generał osobiście prowadził żołnierzy do walki wręcz. Ranny w rękę i nogę dostał się do niewoli. Dowódcy wysoko ocenili postawę dywizji, która uporczywą obroną ocalała 3. Armii Rosyjską od pogromu. Korniłow nagrodzony został kolejnym Krzyżem św. Jerzego.

Wojenne losy generała toczą się niczym fabułą przygodowego komiksu. Przy pomocy spotkanego w obozie jenieckim Czecha Korniłow ucieka z niewoli i dociera do Rumunii. W przebraniu pasterza przekroczył linię frontu. Gazety w całej Rosji publikowały jego portrety, sam car nagrodił go kolejnym Orderem św. Jerzego.

Jedną z ostatnich decyzji podjętych przez Mikołaja II przed rewolucją lutową było mianowanie Korniłowa dowódcą garnizonu pietrogradzkiego. Wobec internowanego cara nasz bohater zachowywał się surowo, lecz godnie. Z przekonań politycznych Korniłow był zapewne szczerym republikaninem. Jak pisze Richard Pipes, „powiadano o nim, że jest przekonany »postępowych«, i nie ma powodu powątpiewać, że gardził reżimem carskim. Korniłow został szczerze obdarzony praktyczną inteligencją i zdrowym rozsądkiem, choć, podobnie jak inni oficerowie jego pokroju, lekceważył politykę i polityków”.

Zapłacił za to lekceważenie już w kwietniu 1917 r. Uważając partię Lenina za opłacanych przez Niemcy zdrajców, wydał lojalnym jeszcze jednostkom rozkaz wejścia do stolicy i zdecydowanej pacyfikacji bolszewickich zamieszek. Rozkaz anulowany został przez współpracującą z bolszewikami Radę Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Zaraz potem, przy biernej postawie rządu, wydano rezolucję zacieśniającą kontrolę Rady nad garnizonem stołecznym. Oburzony Korniłow podał się do dymisji. Kiereński zaoferował mu dowództwo stacjonującej w Galicji armii rosyjskiej.

Warto pamiętać, w jakim stanie znalazła się armia rosyjska po rewolucji lutowej. Załamała się dyscyplina. Doszło do fali niezwykle brutalnych mordów na oficerach, dokonywanych głównie

przez marynarzy floty bałtyckiej. Już w pierwszych tygodniach zamordowano dowódcę floty, kilku admirałów i ponad 100 oficerów w Helsinkach, Kronsztadzie i Rewlu. W mniej rozpolitykowanej flocie czarnomorskiej zamordowano „tylko” 20 oficerów. Podobnie działo się w armii, choć zabójstw było tu nieco mniej. Nasilały się dezercje, pijaństwo i agitacja polityczna. Najgorsza sytuacja panowała w Piotrogradzie – odległe frontowe jednostki jeszcze broniły się przed „bolszewicką zarazą”. Tłumaczy to przeniesienie się Korniłowa ze stolicy do „frontowej” Galicji.

Podjęcie przez Rząd Tymczasowy – a raczej osobiście przez Kiereńskiego – decyzji o rozpoczęciu ofensywy w lecie 1917 r. było wyborem fatalnym. Bolszewicka agitacja wciąż docierała na front. Armia gotowa była najwyżej do działań obronnych. Na ofensywę naciskali

Głównodowodzący Korniłow miał być odpowiedzialny jedynie przed własnym sumieniem i narodem

jednak sojusznicy, a Kiereński – megaloman, dyletant i wysoko postawiony mason – liczył się z życzeniami państw zachodnich. Ofensywa zakończyła się klęską. Niewątpliwie sukcesy odniosła jedynie 8. armia dowodzona przez Korniłowa. Kiedy w pierwszych dniach lipca front zaczął się łamać, ten sam Korniłow wydał rozkaz ostrzeliwania uciekających oddziałów z dział i karabinów maszynowych. Zapamiętali mu to lewicowi agitatorzy. Żołnierze – co ciekawe – nie odwrócili się od szanowanego dowódcy.

UTRATA ZAUFANIA

W atmosferze obwiniania się o klęskę doszło do kolejnego konfliktu dowódcy armii rosyjskiej – Aleksieja Brusilowa – z Kiereńskim. Po odwołaniu Brusilowa w lipcu 1917 r. oko premiera spoczęło na popularnym w społeczeństwie generale, cieszącym się opinią „silnego człowieka”. Korniłow długo zastanawiał się nad przyjęciem oferty – zgodził się dopiero po zaakceptowaniu przez Kiereńskiego

listy jego żądań. Zgodnie z nimi głównodowodzący miał być odpowiedzialny jedynie przed własnym sumieniem i narodem. Nikomu nie miało być wolno wtrącać się do rozkazów ani nominacji dowódczych Korniłowa. Przywrócić miało w wojsku dyscyplinę i karę śmierci – na froncie i na tyłach. Generał domagał się też ukrócenia w wojsku agitacji politycznej oraz objęcia dyscypliną wojskową pracowników przemysłu obronnego i transportu.

Kiereński uznał takie warunki za przejaw „naiwności” politycznej generała i dowód jego niesubordynacji. Nie miał jednak lepszego wyboru, a Korniłow zapewnił go o lojalności wobec rządu.

Doskonale znający obu bohaterów dramatu doradca premiera, pełniący obowiązki ministra wojny terrorysta Borys Sawinkow, tak podsumował sytuację: „Korniłow kocha wolność. Ale dla niego Rosja stoi ponad wszystkim, wolność zaś dopiero na drugim miejscu, natomiast dla Kiereńskiego wolność i rewolucja stały na pierwszym miejscu, a Rosja na drugim”. Warto zastanowić się – czym był dla rosyjskich patriotów „demokratyczny” rząd Kiereńskiego. Ważną funkcję zaufanego doradcy premiera sprawował w nim osławiony terrorysta Sawinkow. Urzekający podobno dandys, autor awangardowej powieści i skandalizujących pamiętników, pozuający Modiglianemu i brylujący w paryskich salonach esteta był zarazem wieloletnim wykonawcą rozkazów Jewno Azefa – postaci odrażającej, płatnego prowokatora ochrony. Nawet zafascynowani Sawinkowem ludzie opisywali go jako fanatycznego psychopata. Czas pokazał, że Sawinkow był w otoczeniu Kiereńskiego jedną z osób najbardziej przytomnych.

Podejrzliwość premiera nasiliła się, kiedy popularny generał wziął udział w zwołanej w Moskwie Naradzie Państwowej. Przywitano go tam owacją – oficerowie dosłownie nosili swojego dowódcę na rękach. Zazdrośny o popularność Kiereński odebrał to jako atak.

Sam Korniłow także tracił zaufanie do polityków. Sprawilo to sierpniowe posiedzenie rządu, na którym generał relacjonował planowane na froncie działania. W trakcie posiedzenia Kiereński uprzedził go szeptem, żeby uważał

na każde wypowiedziane słowo. Kilka minut później podobnego ostrzeżenia udzielił mu Sawinkow. Incydent ten wywarł na Korniłowie wstrząsające wrażenie. Wywnioskował on trafnie, że jednego lub kilku ministrów podejrzewano o zdradę i przekazywanie informacji Niemcom. Jak mógłby mu tę sytuację wytłumaczyć Kiereński? Czy przyznałby się do faktu, że jako jedyny z ministrów, będący jednocześnie członkiem komitetu wykonawczego Rady Delegatów, skutecznie pomnażał w ten sposób swoją polityczną siłę? Ograniczenie pozycji Rady odebrałoby mu takie lewarowanie. A może użyłby argumentu, że wie o finansowaniu bolszewików przez Niemców, ale wszystkim partiom lewicy można postawić podobne zarzuty? Walka z caratem usprawiedliwiała w oczach rewolucjonistów branie pieniędzy od samego diabła, więc eserowcy brali je od Austriaków, inni – od kogo się dało. Rzeczywiste podjęcie reform zmusiłoby premiera do zerwania z socjalistami – jego głównymi zwolennikami politycznymi. Czy Korniłow przyjąłby takie usprawiedliwienie?

Trzeba też przyznać, że Aleksander Kiereński wywierał na współczesnych mieszane wrażenie. Megalomani i pozer zamieszkał w apartamentach Pałacu Zimowego, korzystając z carskich komnat, pojazdów i mebli. Przed apartamentami urządził ceremonialne zmiany warty. Powszechnie podejrzewano Kiereńskiego o uzależnienie od narkotyków – morfiny i kokainy. Niekorzystne wrażenie sprawiała ostentacyjne romanse polityka. Premier nie tylko ugałniał się za znanymi aktorkami, lecz także uwikłał się w romans z młodszą siostrą swojej żony – Jeleną. Jej związek ze szwagrem i powstały w jego wyniku chwiejny (ubarwany kolejnymi podbojami) ménage à trois nie poprawiał wizerunku męża stanu.

OSKARŻENIA O ZDRADĘ

W takich okolicznościach wkroczył na scenę wydarzeń były oberprokurator Świętego Synodu, Władimir Lwow. Liczni współcześni podejrzewali go o chorobę psychiczną. Bywały na salonach „niewiarygodnie lekkomyślny” intrygant, opisywany jako „dryblas o cechach degenerata, łatwo wpadającego w eufo-

rię i gniew”, co – zdaniem prof. Andrzeja Andrusiewicza – stanowiło aluzję do jego orientacji seksualnej.

Osobnik ten stał się osią intrygi przypominającej przedszkolną zabawę w głuchy telefon. Zgłosił się do premiera, proponując mu wiele reformatorskich pomysłów, popieranych rzekomo przez „wysokie kręgi” stolicy. Polityk miał go wysłuchać, nie nadając sprawie dalszego biegu. Lwow udał się następnie do Korniłowa i przedstawił jako „emisariusz” Kiereńskiego, upoważniony do przedyskutowania zasadniczych zmian politycznych. Chodziło o objęcie przez Korniłowa stanowiska dyktatora,

Komuniści wykopali z mogiły zwłoki Korniłowa, ciągnęli je po ulicach, na koniec zaś spalili na miejscowym śmietniku

utworzenie nowego rządu, stłumienie szykowanego przez bolszewików spisku i zaprowadzenie porządku w armii. Korniłow uwierzył wygadanemu intrygantowi, nie zweryfikował upoważnień do negocjacji. Zgodził się na przyjęcie oferowanej funkcji, sądząc, że realizuje wolę polityczną przebudzonego z marazmu Kiereńskiego.

Następnie Lwow wrócił do Piotrogradu. Wymyślone przez siebie propozycje przedstawił jako żądania – a właściwie ultimatum generała. Kiereński – od którego należałoby wymagać odrobiny politycznej rozwagi – nie upewnił się co do rzeczywistych pełnomocnictw Lwowa – zamiast tego wpadł w szal. „Ludzie, którzy widzieli wówczas Kiereńskiego, sądzą, że jest on w stanie skrajnej histerii”. Wystarczyło przecież zwrócić się do Korniłowa z pytaniem, czy upoważniał on Lwowa do wysunięcia żądania władzy dyktatorskiej. Jak ocenia Richard Pipes: „Odmowę Kiereńskiego poczynienia takiego oczywistego kroku wytłumaczyć można tylko na dwa sposoby: albo był w takim stanie, że utracił wszelkie możliwości trzeźwego osądu, albo rozmyślnie wybrał zerwanie z Korniłowem”. Premier, o chorobliwej ambicji, celowo prowokował konflikt ze swoim głównodowodzącym, odrzucając każdą próbę pojednania.

Dalej wszystko potoczyło się gładko. Kiereński oskarżył Korniłowa o zdradę, ten, przekonany, że kontrolę nad Rządem Tymczasowym przejęli szpiedzy, odpowiedział tym samym. Autorytet armii został zniszczony, z trudem odbudowywana dyscyplina legła w gruzach. Kiereński, w walce z rzekomym przewrotem, odwołał się do pomocy Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, rozdał broń bolszewickim radykałom, uzbroił Czerwoną Gwardię. Po kilku dniach Korniłow zdjęty został z dowództwa i wraz z grupą kilkudziesięciu wiernych sobie oficerów internowany, pod ochroną turkmeńskich kawalerzystów.

Dowódca wysłanego do Piotrogradu dla stłumienia bolszewickiej rewolty oddziału, gen. Krymow, po rozmowie z Kiereńskim załamał się i popełnił samobójstwo. Prestiż rządu wśród oficerów i żołnierzy sięgnął dna. Kiereński „sprawą Korniłowa” przypieczętował swój rychły upadek.

Już niebawem uciekać miał z Petersburga, korzystając z użyczonego mu przez Amerykanów samochodu. Resztę długiego życia spędził na emigracji, zabawiając całe pokolenia sowietologów opowieściami o swojej głupocie i pułapkach historii. To studia historyczne miały ugruntować w nim przekonanie, że prawdziwe niebezpieczeństwo zawsze grozi socjalizmowi ze strony prawicowych bonapartystów.

ZEMSTA PO ŚMIERCI

Duch sprawczy absurdałnej intrygi, Władimir Lwow, wrócił w roku 1922 do Rosji Sowieckiej, przystąpił do Związku Ateistów i zaczął zwalczać Cerkiew, pisząc w sowieckiej prasie jadowicie antyreligijne artykuły. Niewiele mu to pomogło. Aresztowany w roku 1927, przepadł w łapach NKWD.

Generał Ławr Korniłow uciekł po rewolucji bolszewickiej z obozu internowania i kontynuował walkę nad Donem. Po przebyciu ponad tysiąca kilometrów przez pogrążoną w rewolucji Rosję dołączyła do niego garść wiernych żołnierzy. Zginął w walce o Jekaterynodar, na Kubaniu. Komuniści, opanowawszy miasto, wykopali z mogiły jego zwłoki, ciągnęli je po ulicach, na koniec zaś spalili na miejscowym śmietniku.

© 2022 Wszelkie prawa zastrzeżone



KOMUCHOŻERCA

Obóz Narodowy

LESZEK ŻEBROWSKI

Pod koniec 1943 r. było już pewne, że do Polski wkroczy Armia Czerwona, a nie alianci zachodni. Sowietci nie uznawali naszych granic i niepodległości. Koncepcje, oparte na sojuszach z państwami zachodnimi i powstaniu powszechnym, legły w gruzach. Lokalne powstania w Wilnie, we Lwowie i w Warszawie pokazały, że „sojusznik naszych sojuszników” jest naszym bezwzględny wrogiem, w dodatku ma poparcie Zachodu. Akcja „Burza” zakończyła się zniszczeniem znacznej części sił niepodległościowych i dekonspiracją Polski Podziemnej.

Ugrupowania polityczne i wojskowe szukały wyjścia z tej tragedii. Wykształciły się dwie główne postawy: kapitulanco-kompromisowa, rezygnująca z ziem wschodnich oraz suwerenności reszty kraju, oraz niepodległościowa. Pierwsza to głównie ludowcy pod wodzą Mikołajczyka i ogromna część obozu socjalistycznego, który został przejęty przez komunistów i przyjął formułę ich „sojusznika”. Drugą postawę reprezentowały bezkompromisowe odłamy AK i obóz narodowy (ON), które nie godziły się z rezygnacją z olbrzymiej części Polski i narzuceniem całkowitej podległości. Byli to zwolennicy walki z nowym reżimem, aż do czasu wypełnienia najważniejszych zobowiązań przez naszych sojuszników.

Mające najsilniejsze poparcie ugrupowanie polityczne,

czyli Stronnictwo Narodowe, popierało Polski Rząd na Wychodźstwie. Po rozwiązaniu AK, od lutego 1945 r., nastąpiło formowanie nowej organizacji zbrojnej. Nieco wcześniej gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” uznał, że NOW-AK i NSZ-AK, tworzące Narodowe Zjednoczenie Wojskowe, „będą stanowić ponad 50% AK”.

Celem NZW była walka z NKWD i UB, z pacyfikacjami ludności oraz rozbijanie aresztów i więzień. W prasie podziemnej informowano o sytuacji politycznej, prawdziwym obliczu nowej okupacji, represjach, wywózkach na Syberię. Formacje polityczne i wojskowe obozu narodowego długo prowadziły zorganizowany opór. Struktury polityczne SN (i organizacji podległych, w tym harcerskich i młodzieżowych) oraz Organizacji Polskiej (ONR) zostały rozbite przez komunistyczną bezpiekę dopiero w latach 1947–1949. Znacznie dłużej istniały i działały formacje wojskowe – niektóre struktury dotrwały do lat 50.

ON, główna siła powstania antykomunistycznego, został przez komunistów brutalnie spacyfikowany. Tysiące żołnierzy i oficerów NSZ i NSZ zginęły w bezpośrednich walkach z grupami operacyjnymi NKWD i UB-KBW, chroniąc ludność cywilną. Działacze polityczni oraz żołnierze i oficerowie byli mordowani, dziesiątki tysięcy osadzono w więzieniach z długoletnimi wyrokami. ©©



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zakręt pod Koronowem

SŁAWOMIR KOPER

Wstyczniu 1967 r. na Dworcu Głównym we Wrocławiu pod kołami pociągu zginął Zbigniew Cybulski. Jego śmierć rozpoczęła „tragiczną serię, jaka dotknęła bliskich sobie ludzi jednego pokolenia”. W kwietniu 1969 r. zmarł Krzysztof Komeda, a w czerwcu Marek Hłasko.

Do tego grona znajomych należał też Bogumił Kobiela, który do końca życia nie otrząsnął się po tych tragediach. Był jednak profesjonalistą i znał swoje obowiązki. Zagrał w filmie Wajdy, „Przekładaniec”, a następnie w komedii Leona Jeannota, „Człowiek z M-3”. W ostatnich ujęciach tego filmu główny bohater wraz ze swoją wybranką obserwują budowę bloku, w którym mają dostać upragnione mieszkanie. Można przypuszczać, że Kobiela, kręcąc tę scenę, miał reminiscencje z własnego życia, gdy w połowie lat 60. oglądał z żoną plac budowy przy ulicy Ludnej i cieszył się na obiecane własne M-3...

Nie mogło też go zabraknąć we „Wszystko na sprzedaż” Wajdy. Wprawdzie pojawił się tylko w epizodzie, ale jego żarliwy monolog na zawsze zapada w pamięć. To wypowiedź przyjaciela, człowieka, który nie zgadza się z koncepcją reżysera na temat osoby zmarłego. W tym czasie zagrał jeszcze jedną wielką rolę, w telewizyjnej ekranizacji „Mieszczanin szlachcicem” Moliera – Bobek stworzył fantastyczną kreację. Nie zdążył jednak już jej zobaczyć na ekranie, los

okazał się dla niego wyjątkowo bezwzględny.

2 lipca 1969 r. we wsi Buszkowo koło Koronowa samochód marki BMW prowadzony przez Kobielę wpadł w poślizg i czołowo zderzył się z autobusem. Aktor został ciężko ranny i pomimo wysiłków lekarzy zmarł osiem dni później w szpitalu w Gdańsku. Natomiast Małgorzata Kobiela, żona aktora, odniosła niewielkie obrażenia.

„W ostatnią drogę do rodzinnego Tenczynka jechałem żukiem – wspominał jego brat. – Wynajęliśmy to auto specjalnie do przewozu zwłok. A że z Gdańska do Tenczynka jazda długa, dzień był przepiękny, ciepły, słoneczny, więc zatrzymywaliśmy się po drodze kilka razy na przydrożnych polankach leśnych. Wtedy sobie przypominałem, że on tak strasznie lubił zbierać grzyby, już od dziecka. I na tych polankach, na skraju lasu, znajdowałem grzyby, było ich niewiarygodnie dużo, aż dziw brał. Nie wiedziałem za bardzo, co zrobić, ale w końcu kilka z nich zabrałem ze sobą. Leżały obok trumny”.

Na świeżej mogile Bobka żona postawiła koszyk grzybów, wiedziała, że mąż wolałby to zamiast kwiatów. Miesiąc po śmierci Kobielę banda Charlesa Mansona napadła na dom Romana Polańskiego w Beverly Hills. Wśród ofiar zbrodniarzy byli żona reżysera, Sharon Tate, oraz jego przyjaciel, Wojciech Frykowski. Były to kolejne ofiary tragicznej serii. ©©



Rafał Łatka

Mentalność postkomunistyczna ciągle żywa – uwagi na temat wizji biografii Aleksandra Kwaśniewskiego zaprezentowanej w wywiadzie rzece „Prezydent”

Aleksander Kwaśniewski bez wątpienia należy obok Adama Michnika, Jarosława Kaczyńskiego czy Donalda Tuska do grona najważniejszych postaci III RP. Znajdował się wśród tych działaczy PZPR, którzy bardzo dobrze poradzili sobie w nowych realiach politycznych. Można nawet zaryzykować tezę, że spośród nich zrobił największą karierę – został przecież dwukrotnie wybrany na prezydenta w wyborach powszechnych. Analogicznie, jak wielu innych komunistów po 1989 r., sprawnie odcinał się od swojej przeszłości w „kierowniczej sile narodu” – stając się socjaldemokratą i zwolennikiem modelu demokracji liberalnej.

Warto przyjrzeć się, jak dowolnie Kwaśniewski kształtuje własną wizję historii, ze szczególnym uwzględnieniem okresu PRL. Nie brakuje w niej manipulacji, kłamstw i półprawd. Myślę, że to jest potrzebne także dlatego, iż dla niektórych Kwaśniewski wciąż jest autorytetem i osobą o zdroworozsądkowym podejściu do polityki (w przeciwieństwie do różnie definiowanych „radykałów” z obu stron politycznego sporu w Polsce).

POMNIEJSZANIE

Mówiąc o okresie swojej działalności w PZPR, Kwaśniewski właściwie zawsze dokonuje dwóch manipulacji: pomniejsza własną aktywność oraz twierdzi, że był przeciwny działaniom antywolnościowym kierownictwa partii. Pomaga mu w tym też także mała dociekliwość rozmówcy (Aleksandra Kaczorowskiego), który przeprowadził wywiad rzece.

Przyszły prezydent należał do PZPR w latach 1976–1989 (aż do likwidacji partii); był również aktywistą studenckiej organizacji komunistycznej – Socjalistycznego Związku Studentów Polskich – w której pełnił kierownicze funkcje:

przewodniczącego Rady Uczelnianej na Uniwersytecie Gdańskim i członka władz naczelnych tej organizacji (1977–1982). Następnie kierował redakcją pisma studenckiego „itd” (1981–1984) i „Sztandaru Młodych” (1984–1985). Właśnie wtedy zaczęła się jego kariera w strukturach centralnych aparatu partyjno-państwowego. W rządzie Zbigniewa Messnera pełnił funkcję ministra do spraw młodzieży (1985–1987), a następnie przewodniczącego Komitetu Młodzieży i Kultury Fizycz-

nej (1987–1990). U ostatniego premiera epoki PRL Mieczysława Rakowskiego był ministrem bez teki i przewodniczącym Komitetu Społeczno-Politycznego Rady Ministrów. Jego „gwiazda” w pełni rozbłysła przy Okrągłym Stole, gdzie należał do grona najbardziej wpływowych postaci obozu komunistycznej władzy. Pozwoliło mu to zresztą objąć w 1990 r. funkcję przewodniczącego Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej będącej kontynuatorką PZPR.

FOT. KACZORZNA BANK/VEST NEWS

Manipulacje Kwaśniewskiego

Pierwszy przykład bagatelizowania przez Kwaśniewskiego własnej aktywności w organizacjach komunistycznych to odpowiedź na pytanie, czym był ZSSP: „Ten status socjalistyczny to był konieczny hołd oddany władzy. Ale nie wynikały z tego jakieś nadzwyczajne obowiązki. To Breżniew mocno naciskał na Gierka, żeby ujednolicić polski ruch młodzieżowy, ponieważ tylko jednolity front wychowawczy wykształci człowieka socjalizmu”. Widać tu dwa istotne zabiegi: pomijanie roli tej organizacji jako trampoliny do kariery w PZPR (którą przecież zrobił bohater tego tekstu) oraz kwestionowanie jej ideologicznego charakteru przez „zrzucanie winy” na naciski sowieckich mocodawców. Dalej Kwaśniewski twierdzi, że on i jego koledzy nie mieli żadnego problemu ze studentami działającym w opozycji, wskazując, że „to służby miały z tym problemy, nie my”.

Swoją akces do PZPR przysłał prezydent RP tłumaczy zachętami ze strony starszych kolegów, którzy mieli go przekonać do reformowania systemu, i wskazuje: „Wejście do partii w 1976 r., w Gdańsku to nie był wielki dyskomfort. To była sprawa środowiskowa: mnie i moim kolegom wydawało się, że dzięki kontaktom z Fiszbachem i jego otoczeniem będziemy mogli więcej zrobić. To były niekończące się dyskusje, jak reformować Polskę, jak ją zmieniać. Oczywiście przez cały czas z uwzględnieniem ograniczeń geopolitycznych”. I znów mamy do czynienia z całą serią półprawd, bo oczywiście Kwaśniewski nie mówi ani słowa, że wejście do PZPR było mu potrzebne do robienia dalszej kariery w organizacjach kontrolowanych przez partię komunistyczną. Kreuje się na reformatora, który razem z innymi sobie podobnymi wprowadziłby już wtedy poważne zmiany ustrojowe – ale nie mógł, bo Moskwa przeszkadzała...

W kolejnej wypowiedzi Kwaśniewski zaznacza, że „w czasach Gierka, do 1976 r., PZPR była partią reform w rozumieniu czechosłowackim, jak za Dubčeka: zobaczmy, co się da zrobić, może bardziej w kwestiach ekonomicznych, mniej ideologicznych”. Także tym razem ani słowa o tym, że wszystkie swoje działania za Gierka ustalał ze Związkiem Sowieckim, a jego spolegliwość wobec Breżniewa szła bardzo daleko (aż do odznaczenia I sekretarza KC KPZR Orderem Virtuti

Militari). Porównanie do reform w Czechosłowacji brutalnie przerwanych przez interwencję wojsk Układu Warszawskiego należy traktować jako zupełnie kuriozalne (ale za to dobre dla samopoczucia Kwaśniewskiego).

WYBIELANIE

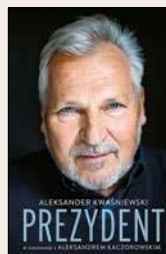
Na kolejnych stronach wywiadu rzeki Kwaśniewski twierdzi, że nie interesowała go kariera partyjna, która nawet miała go odrzucać. Podkreślał także, że odmawiał licznych propozycji pracy na różnych szczeblach PZPR: „Uważałem, że jeżeli mogę się bardziej przysłużyć państwu, to bardziej w działaniach rządowych, administracyjnych, a nie partyjnych”. Mamy tu do czynienia z klasycznym wybielaniem życiorysu, bo przecież nominacje na wszystkie kolejne stanowiska Kwaśniewski zawdzięczał właśnie PZPR i byciu w tzw. nomenklaturze partyjnej – co charakterystyczne, ani razu o tym, że ona istniała, nie wspomina

Były prezydent twierdzi, że nie interesowała go kariera partyjna, którą nawet miała go odrzucać

(nie pyta też o to osoba przeprowadzająca wywiad). Dalej bohater tego tekstu przedstawia swoje gry z cenzurą, z czego wyłania się niemalże opozycyjny charakter czasopism, którymi Kwaśniewski kierował z nominacji PZPR (czyni to w tonie prześmiewczo-bagatelizującym).

Były prezydent bagatelizuje także zbrodnie reżimu z lat 80., twierdzi m.in., że to przecież nie kierownictwo partyjne kazało strzelać do górników z kopalni „Wujek” na początku stanu wojennego; sufluje wersję, że morderstwo ks. Popiełuszki było prowokacją wymierzoną w Jaruzelskiego, i wreszcie twierdzi, że zastanawiał się wówczas, „czy nadal chce być kojarzony z tą władzą” (jak widać, siebie do aparatu władzy nie zaliczał...).

Za najbardziej wymowny element autokreacji życiorysu Kwaśniewskiego można uznać jego charakterystykę



ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
„PREZYDENT”
ZNAK
LITERANOVA
2023

środowiska inteligencji końca PRL: „To środowiska nieekstremalne, umiarkowane, szukające porozumienia, a zarazem w pełni przekonane, że dokonuje się przełom i że on stwarza możliwość zmiany na lepsze. W związku z ograniczeniami, które były znane: Związek Radziecki z jednej strony, PZPR z drugiej, apelujemy o umiar i dialog. Dialog jest wartością podstawową”. Przeglądając się bliżej tej wypowiedzi, widzimy,

że Kwaśniewski traktuje siebie jako osobę niezwiązaną z władzami PRL, ba, jako człowieka prowadzącego wobec niej działania właściwie opozycyjne. Wyłania się z tego także obraz wzorowego demokraty o umiarkowanych poglądach, skłonnego do kompromisu. Niestety, wielu Polaków tego typu manipulacjami przekonał, że należy wybrać go na prezydenta, a pomógł w tym właśnie tak zmanipulowany życiorys.

Do zabawnych fragmentów, w kontekście kłamstw z kampanii prezydenckiej z 1995 r., należy twierdzenie Kwaśniewskiego: „Mam wykształcenie wyższe. Skończyłem studia, natomiast nie mam magisterium. Ono było w toku. Gdyby pytano, czy jestem magistrem... Nigdy nie podpisywałem się jako magister Kwaśniewski”. Znów rzeczywistość swoją drogą, a dobre samopoczucie pierwszego przewodniczącego SDRP swoją. I nawet po tylu latach były prezydent nie jest w stanie się przyznać, że minął się z prawdą...

Z książki „Prezydent” możemy się dowiedzieć kilku ciekawych kwestii dotyczących polskiej polityki po 1989 r., o jej mechanizmach, o niektórych ważnych postaciach. Może to stanowić uzupełnienie do naszej wiedzy na temat III RP, jednakże trzeba pamiętać, że nie jest to tylko subiektywna opowieść ważnego aktora wydarzeń politycznych, lecz także zmanipulowana wersja rzeczywistości. Szczególnie wyraźnie widać to, czytając o tym, czym dla Kwaśniewskiego był PRL oraz jak tłumaczył swój akces i aktywność w PZPR i dla PZPR. Nie zdobywa się w tym zakresie na żadne przekonujące wyjaśnienie, zamiast tego woli brnąć w kłamstwa i półprawdy.



Wagnerowcy w Rostowie nad Donem w Rosji, 24 czerwca 2023 r. FOT. SERGEY PIVOVAROV/IMAGO/EAST NEWS



Maciej Pieczyński

Dlaczego Jewgienij Prigożyn rzucił wyzwanie Putinowi i czy aby na pewno właśnie Putinowi? Co dalej z wagnerowcami? Co oznacza ich obecność na Białorusi? W dziwnej historii puczu i jego skutków wciąż więcej jest pytań niż odpowiedzi

Zacznijmy od tych bardziej sensacyjnych i mniej prawdopodobnych zarazem wersji wydarzeń. Pierwsza: pucz był inscenizacją, wyreżyserowaną przez Putina wspólnie z Prigożynem. Ta hipoteza wpisuje się w stereotypowy obraz wszechmocy Kremla, który niczego nie pozostawia przypadkowi. Po co Putinowi byłoby takie przedstawienie? Tu można wskazać kilka wariantów.

Po pierwsze, aby pokazać światu, że obalenie obecnej władzy w Moskwie wcale nie musi oznaczać zmiany na

Tajemnica buntu wagnerowców

lepsze. Lepiej, żeby na czele mocarstwa atomowego stał mimo wszystko w miarę przewidywalny Putin niż krwawy, nieobliczalny watażka. To byłaby gra na zrozumiałym strachu Zachodu przed chaosem w Rosji. Chaosem, który mógłby oznaczać

groźny dla świata rozpad imperium. Groźny w tym sensie, że wówczas rosyjska broń jądrowa mogłaby dostać się w ręce nie tyle jednego dyktatora na Kremlu, ile kilku czy kilkunastu takich Prigożynów. Po drugie, ewentualna inscenizacja puczu

odegrałaby rolę testu na lojalność. Putin zorientowałby się, na kogo może liczyć w krytycznym momencie. Po trzecie, spektakl mógłby posłużyć wyeliminowaniu nieudolnych Szojgu i Gierasimowa niejako rękami Prigożyna. Po czwarte, pucz byłby pretekstem do rozpoczęcia fali represji, a po piąte – do oskarżenia Zachodu o jego wywołanie.

ZA DUŻE RYZYKO

Wszystkie te warianty mają jeden podstawowy defekt. Otóż w warunkach poważnych problemów na froncie sztuczne wywołanie buntu byłoby nadto ryzykowne. Nie było przecież pewne, jaka będzie reakcja społeczeństwa oraz elit. Ewentualne masowe przechodzenie na stronę buntowników byłoby dla Putina bardzo niebezpieczne. „Inscenizacja” mogła się w takim wypadku wymknąć spod kontroli, a główny „aktor” – wierzyć, że ma szansę, przy pomocy widowni i obsługi technicznej, zastąpić reżysera.

24 lutego Putin mógł jeszcze wierzyć w potęgę swojego państwa. Dziś nie ma prawa się łudzić, że wszystkie mechanizmy zadziałają prawidłowo. Represje zapewne nastąpią, ale raczej w reakcji na pucz. Gdyby zaś Kreml chciał „wrobić” Zachód lub Ukrainę, szybko na trasie puczu znalazłyby się „wizytówki” Bidena czy Zełenskigo. Zwalnianie Szojgu i Gierasimowa rękami Prigożyna oznaczałoby wizerunkową katastrofę. Okazałoby się, że w Rosji politykę kadrową prowadzi nie rząd czy prezydent, lecz szef grupy najemników. Zresztą nawet gdyby na taki szalony pomysł rzeczywiście wpadł Putin, to do żądanych zmian na stanowiskach doszłoby zaraz po „puczu”, żeby wszyscy zrozumieli, jakie są tych zmian przyczyny. A jeśli chodzi o testowanie lojalności, to z pewnością są na to dużo bezpieczniejsze sposoby niż wszczynanie buntu przeciwko władzy.

Podobnie Putin nie potrzebuje aż inscenizacji zamachu stanu, aby przekonać Zachód, że w Rosji są gorsi od niego. Oczywiście Prigożyn m.in. taką właśnie funkcję straszaka pełnił. Człowieka od czarnej roboty, psa łańcuchowego, „opricznika”, którego miały się bać zarówno kremłowskie elity, jak i „zachodni partnerzy”. Jednak w momencie, gdy ów straszak ruszył na Moskwę, z „gorszego od Putina” mógł nagle stać się sensowną alternatywą. Do poparcia Prigożyna wezwał Michaił

Chodorkowski, a i część środowisk na Zachodzie mogła uznać, że wojna domowa (pomimo ryzyka związanego z rozpadem imperium) może np. przyspieszyć zakończenie kosztownej wojny na Ukrainie.

Ponadto tym wszystkim wariantom przeczy niekonsekwentne, niespójne działanie Kremla. Putin najpierw obiecuje rozprawę z buntownikami, a potem ich ułaskawia, okazując słabość, co w przypadku dyktatora jest dotkliwym ciosem wizerunkowym. Nie miał więc przygotowanej odpowiedzi na kryzys (a taką musiały mieć, gdyby to był teatr). Marsz nie obył się bez ofiar, co nie powinno mieć miejsca w przypadku inscenizacji, rodzi bowiem pytania o to, czy aby na pewno sprawcy powinni pozostać bezkarni. Rostów nad Donem padł bez jednego wystrzału. Swoje poparcie dla Putina publicznie wyraziła tylko część gubernatorów i najważniejszych polityków w państwie. I to wyraziła bez szczególnego entuzjazmu, raczej przy użyciu okrągłych formułek, niemalże od niechcenia. Na ulice przeciwko wagnerowcom nie wyszli protestujący Rosjanie. Co akurat jest jeszcze zrozumiałe, bo to generalnie bierne, apatyczne społeczeństwo. Gorzej, że kremłowska propaganda

W warunkach poważnych problemów na froncie sztuczne wywołanie buntu byłoby nadto ryzykowne

nie postarała się o stworzenie pozorów takiego oddolnego poparcia dla wodza.

Zgodnie z drugą wersją bunt został tak naprawdę zainspirowany przez Zachód, aby obalić Putina, osłabić Rosję i uniemożliwić jej prowadzenie wojny. Taki przekaz w pierwszych godzinach i dniach nie pojawił się na dobre nawet w państwowych mediach. Mowa była o zdradzie, ale nie padły żadne konkrety. Nie wydaje się więc, by nawet Kreml w taką opcję wierzył. Możliwe jednak, że gdy szok minie, a władza ochłonie, propaganda skonstruuje na użytek wewnętrzny spójną i rozbudowaną narrację, zgodnie z którą cały plan opracowało CIA we współpracy z SBU. Na korzyść tej hipotezy wskazują pojawiające się już

wcześniej pogłoski o taktycznych kontaktach Prigożyna z Kijowem. Trzecia wersja: wszystko ukartował Łukaszenka po to, aby na koniec wjechać na białym koniu, uratować sytuację i skorzystać na roli rozjemcy. Białoruski dyktator w ten sposób dowiódłby swojej przydatności Putinowi i jeszcze raz pokazałby, że pogłoski o jego politycznej śmierci były mocno przesadzone. Bez wątplenia Łukaszenka wizerunkowo wiele zyskał na tym kryzysie. W odróżnieniu od Putina udowodnił swoją sprawność. Bardzo mało jednak prawdopodobne, by był w stanie samodzielnie zorganizować tak monstrualną i niebezpieczną prowokację. Bardziej możliwe, że nie miał nic wspólnego z organizacją buntu, natomiast w odpowiednim momencie zgłosił swoje usługi jako rozjemcy. Za najbardziej prawdopodobne eksperci uznają jednak to, że Łukaszenka odegrał rolę napisaną przez kogo innego.

PODZIAŁ WŁADZY?

I tu przechodzimy do najpoważniejszych hipotez. Czwarta wersja mówi o tym, że Prigożyn działał na zlecenie którejś z baszt Kremla. Chodziło nie tyle o obalenie Putina, ile o skompromitowanie go poprzez obnażenie słabości, co też rzeczywiście się raczej udało. Władca Kremla nie potrafił zdławić buntu, poszedł na zgnyły kompromis i wycofał się z własnych hucznych zapowiedzi zemsty. Czołowy propagandysta Dmitrij Kisieliow próbował ratować sytuację, prezentując w swoim programie „Wiести niedieli” fragment wywiadu, w którym prezydent mówi, że zdrady nigdy nie wybacz. To każe sądzić, że Prigożyn jeszcze się doigra. Jednak już inny propagandysta – Władimir Sołowiow – otwarcie dziwił się, jak można było ułaskawić buntowników.

Celem mogło być więc osłabienie Putina tak, aby stał się zmuszony podzielić władzę ze swoim otoczeniem. I powoli oswajać się z myślą, że jego czas dobiega końca. Na jego miejsce mieliby szykować się jednak raczej nie tyle prowincjonalni radykałowie, ile grupa technokratów, dążąca w dalszej perspektywie do wycofania się z kosztownej awantury na Ukrainie. Nie po to, aby Rosję zdemokratyzować czy zbliżyć z Zachodem, ale po to, aby działanie Rosji usprawnić. I odzyskać utracone z powodu wojny majątki – tu akurat frakcja technokratów ma po

■ drodze z oligarchami. Prigożyn byłby w takiej sytuacji jedynie narzędziem, „lodołamaczem”. Łukaszenka z kolei byłby przykrywką, żeby nie obnażać wewnętrznych sporów. Białoruś zaś – wygodnym miejscem do usunięcia w cień Prigożyna przy zachowaniu kontroli nad nim.

Komentatorzy zauważają, że szef Grupy Wagnera przeszedł ewolucję poglądów na „specoperację”. Początkowo był jastrzębiem, który krytykuje MON za nieudolne prowadzenie wojny. Jednak ogłaszając „marsz sprawiedliwości”, krytykował już sam sens jej rozpętania. To zaś każe sądzić, że „kucharz Putina” przeszedł na pozycję pacyfistyczną albo pod wpływem swoich kremlowskich patronów, albo pod wpływem przekonania, iż nawet rosyjscy turbopatrioci (a to „elektorat” Prigożyna) mają powoli dosyć wykrępowania się w przegranej sprawie. Z drugiej strony, warto pamiętać, że prowojenni radykałowie ze środowiska telewizji Tsargrad, którzy sympatyzowali z Prigożynem, puczu nie poparli. Bardziej jednak niż na potępieniu buntowników skupiają się na krytyce tchórzliwych elit, które buntu nie potrafiły stłumić. Aleksandr Dugin, który nazywał szefa wagnerowców „nowym opricznikiem”, czyli młotem na elity, domaga się wręcz, by Kreml spełnił postulat Prigożyna i rozliczył zdegenerowane dowództwo armii.

Jako możliwy organizator buntu wskazywany jest najczęściej gubernator obwodu tatarskiego Aleksiej Diumin. Prigożyn pozytywnie się o nim wypowiadał. Jako były ochroniarz Putina Diumin mógłby zapewnić władcy Kremla bezpieczne przejście na emeryturę. Jako były wiceszef MON mógłby zastąpić Szojgu, o czym spekulowano jeszcze przed puczem. To zaś prowadzi do kolejnej hipotezy, zgodnie z którą celem było obalenie lub osłabienie nie tyle Putina, ile Szojgu właśnie. Diumin mógł zostać nowym szefem MON na zlecenie oligarchy Jurija Kowalczyka, który nie potrzebuje kierować oficjalnie resortem, chce natomiast czerpać korzyści z intratnych, a przy tym tajnych, więc ukrytych przed wścibską opinią publiczną, kontraktów ministerstwa. Oczywiście dymisja ministra zaraz po puczu byłaby już totalnym aktem kapitulacji Putina, na który nie mógłby sobie pozwolić. Jednak faktem jest, że nie tylko Prigożyn ma Szojgu dosyć.

Ludzie Prigożyna, jako prywatna i formalnie skonfliktowana z Moskwą armia, mogą bezkarnie z terytorium Białorusi zaatakować Ukrainę lub któregoś z zachodnich sąsiadów, w tym niestety również Polskę

Ostatnia wersja jest najprostsza i brzmić może najsensowniej. Otóż Prigożyn działał sam. Jedynym jego patronem politycznym był Putin. Prigożyn był mu potrzebny jako element budowania równowagi sił w elitach, a także jako wykonawca taktyki „dziel i rządź”. Wymknął się jednak spod kontroli. Putin nie docenił szefa wagnerowców. Szef wagnerowców z kolei przecenił własne możliwości oraz popularność bohatera wojennego. Idąc na Moskwę, spodziewał się szerokiego poparcia zwykłych Rosjan oraz struktur siłowych. Tymczasem reakcja była raczej bierna. Społeczeństwo nie budowało barykad przeciwko buntownikom, jak podczas puczu Janajewa w sierpniu 1991 r. [jego celem było zapobieżenie rozpadowi ZSRS – przyp. M.P.], ale też nie witało Prigożyna kwiatami. Żołnierze raczej się wycofywali, niż podejmowali walkę z wagnerowcami, a także nie przechodzili na ich stronę. Zwykły typowy rosyjski apatia i wyczekiwanie na to, kto wygra. To zaś pokazuje, że Rosjanie najpewniej odnajdą swoje miejsce pod każdym butem.

Niezależnie od tego, która z wersji jest prawdziwa, Prigożyn miał bardzo ważne powody, aby wszcząć bunt. I mógł kierować się własnym interesem, realizując jednocześnie cudzy (np. Diumina). Od miesięcy mieszał z błotem Szojgu i Gierasimowa za nieudolność i rzekome sabotowanie działań Grupy Wagnera. Przy tym unikał krytyki Putina. Nawet ogłaszając marsz na Moskwę, mówił o zmianie ministra obrony, a nie prezydenta. Mógł liczyć na to, że władca Kremla stanie po jego stronie. Jednak Putin już dawno wybrał stronę Szojgu. Od 1 lipca Grupa Wagnera miała przejść pod komendę MON. Utrata kontroli nad

prywatną armią oznaczałaby być może nie tylko koniec kariery politycznej, lecz także wyrok śmierci. Prigożyn musiał więc zaryzykować. Ruszyć na Moskwę, żeby poprzez taką demonstrację siły wymusić albo dymisję Szojgu, albo zachowanie autonomii wagnerowców, albo jakieś kompromisowe rozwiązanie. Spełniło się to ostatnie.

WAGNEROWCY ZAATAKUJĄ POLSKĘ?

Pozostaje pytanie: Co Prigożyn będzie robić na Białorusi? Tu też wersji jest kilka. Pierwsza – to tylko odłożony w czasie wyrok śmierci. Żeby uniknąć tego scenariusza, Prigożyn na Białorusi zabiera wagnerowców. Tych, którzy będą chcieli do niego dołączyć. A może to być spora grupa, bo mają oni prawo sądzić, że Putin nie dotrzyma słowa o amnestii. Druga – Prigożyn będzie pilnować Łukaszenki i obali go przy pierwszej próbie zdradzenia Putina. To raczej niemożliwe, bo przecież Putin nie ma powodu, by ufać wagnerowcom, a Łukaszenka naiwny nie jest i zapewne zrobiłby wszystko, aby tak kłopotliwego gościa uniknąć. Kolejne wersje uważam za najbardziej realne. Trzecia – najemnicy po prostu zmienili zleceniodawcę, pozostając w kręgu rosyjskiego świata. Służyli Putinowi, będą służyć Łukaszence. Być może również w Afryce, gdzie Białoruś także ma swoje interesy. Czwarta – wagnerowcy mają bronić Łukaszenki (co jest również w interesie Kremla, nie tylko samego Putina) przed ewentualnym zamachem stanu ze strony opozycji. Piąta – ludzie Prigożyna, jako prywatna i formalnie skonfliktowana z Moskwą armia, mogą bezkarnie z terytorium Białorusi zaatakować Ukrainę lub któregoś z zachodnich sąsiadów, w tym niestety również Polskę. Moskwa i Mińsk umyją ręce, bo to przecież nie ich wojsko.

W przypadku Polski będzie to atak hybrydowy. Wagnerowcy będą stanowić bardzo niebezpieczne wsparcie dla grup nielegalnych migrantów, organizując prowokacje, w tym z użyciem broni palnej. Ich wpływy w krajach Trzeciego Świata mogą też pomóc w ściągnięciu większej liczby cudzoziemców. Tak użyci wagnerowcy zmyją piętno zdrady i ocalą twarz Putina. A władze na Kremlu – z Putinem czy bez niego – pozbędą się trwale kłopotliwego watazki, używając go z dala od Rostowa, Woroneża czy Moskwy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PINGWINY GEJE UCZĄ DZIECI

Ponieważ w akwarium w Sydney potomstwem zaopiekowała się para samców pingwinów, okrzyknięto je tam „homoseksualną parą”. Pingwiny Sphen i Magic będą teraz częścią projektu edukacyjnego dla dzieci. Program składający się z sześciu lekcji będzie prezentowany dzieciom z II klas szkoły podstawowej i odbywać się będzie pod hasłem „Miłość we wszystkich kształtach i rozmiarach”. Dwa pingwiny samce będą prezentowane maluchom jako przykład związku osób tej samej płci.

FOT. FACEBOOK/SYDNEY AQUARIUM

EUROPOSŁANKA KONTRA KIEŁBASA

Polska Lewica podczas kampanii chce latem spotykać się z wyborcami. Spotkania mają odbywać się przy grillu – z pieczonymi kiełbaskami. To wzbudziło oburzenie u europosłanki Sylwii Spurek. Zarzuciła rodzimym politykom brak progresywności. „Jeżeli polska Lewica uważa, że w XXI w. może wygrywać wybory z kiełbasą i kaszanką w ręce, to czarno widzę jej przyszłość” – napisała na Facebooku.

SPÓR O SZKOLNE SPÓDNICĘ

Szkoła Charter Day School w Leland (USA) oferuje „edukację opartą na tradycyjnych wartościach”. Placówka ma pewne zasady – wymusza m.in. noszenie mundurków. Element obowiązkowego stroju dla dziewcząt to spódnica. Nie wszystkim się to podobało. Spór dotarł aż do Sądu Najwyższego. Ten uznał, że narzucanie dziewczynom obowiązku noszenia spódnicy jest łamaniem praw gwarantowanych przez amerykańską konstytucję.

DWADZIEŚCIA LAT NA WAGARACH

Nauczycielka z Włoch została zwolniona po kontroli, która wykazała „ogromną kumulację absencji”. Niejaka Cinzia Paolina De Lio przez 14 lat sporadycznie tylko pojawiała się na zajęciach w szkole średniej w Chioggia, a przez 10 lat nie było jej tam wcale. Chorowała. Ministerstwo edukacji stwierdziło w jej przypadku „absolutną i trwałą niezdolność do nauczania”.

WALKA O BASENOWY TOPLESS

Kobiety w Katalonii są dyskryminowane. Od 2020 r. zarządcy basenów publicznych muszą umożliwić im chodzenie topless, jednak – jak poinformował tamtejszy Departament ds. Równości – każdego lata wpływa wiele skarg od kobiet, którym nie pozwolono na zdejmowanie górnej części stroju kąpielowego. Zdaniem urzędników to „wyklucza część populacji i narusza wolny wybór każdej osoby w odniesieniu do jej ciała”. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Big Tech na unijnej smyczy

Szef Twittera Elon Musk i prezes spółki Meta (czytaj: założyciel Facebooka) Mark Zuckerberg błyskawicznie zgodzili się na pojedynek w klatce. Wiadomość powinna skłonić inwestorów do poważnego rozważenia, czy obaj panowie przypadkiem nie przemikrodawkowali jakichś modnych w Dolinie Krzemowej środków.

Z naszej perspektywy dużo ważniejsze jest jednak starcie amerykańskiego sektora Big Tech z Unią Europejską. Po słownych ostrzeżeniach pod koniec czerwca do Kalifornii zawitali

urzędnicy Komisji Europejskiej. I przypomnieli, że firmy takie jak Twitter mogą przestrzegać nowych europejskich przepisów lub liczyć się z tym, że zostanie na nie nałożony zakaz działalności na Starym Kontynencie albo chociaż grzywna, której wysokość może sięgać nawet 6 proc. globalnych przychodów.

Efekt był prosty do przewidzenia. Elon Musk zgodził się na przestrzeganie nowych unijnych przepisów dotyczących zwalczania dezinformacji, rosyjskiej propagandy i przestępczości internetowej.

Dobrze, że Europa twardo walczy o przestrzeganie swoich zasad. Wśród wielu zalet Amerykanów jest bowiem doskonale rozwinięta umiejętność liczenia pieniędzy. A skoro chcą zarabiać na mieszkańcach Starego Kontynentu, to powinni dostosować się do wszystkich obowiązujących tutaj reguł. A jeśli nie chcą europejskich pieniędzy, to trudno. Dalibyśmy sobie radę bez Twittera i Facebooka.

Jednocześnie szkoda, że Polacy nadal nie opracowali profesjonalnego serwisu, który mógłby być realną konkurencją dla amerykańskich gigantów.

Szantaż „drugim Czarnobylem”



Rosyjski żołnierz na terenie Zaporoskiej Elektrowni Atomowej

FOT. ANDREY BORODULIN/AFP/EAST NEWS

Wysadzenie elektrowni atomowej położonej setki kilometrów od granicy najbliższego państwa NATO powinno być traktowane jak atak na cały sojusz północnoatlantyczny? Tak brzmi propozycja wpływowych senatorów Lindseya Grahama (republikanina) oraz Richarda Blumenthala (demokraty), którzy w ten właśnie sposób zareagowali na ostatnie ostrzeżenia Kijowa w sprawie Zaporoskiej Elektrowni Atomowej (ZEA).



Piotr Włoczyk

Ukraińskie władze alarmują: Rosjanie są gotowi przeprowadzić sabotaż w największej elektrowni atomowej w Europie. Uwolnienie materiałów radioaktywnych zaszkodziłoby samym Rosjanom, ale mogłoby jednocześnie uniemożliwić działania ukraińskich wojsk na kierunku zaporoskim

ELEKTROWNIA JAKO BRŃ

„Użycie jakiegokolwiek taktycznej broni atomowej przez Federację Rosyjską, Republikę Białorusi lub ich pośredników, a także zniszczenie obiektu nuklearnego czy rozprzestrzenienie radioaktywnego skażenia na terytorium NATO, skutkujące znaczącymi stratami wśród ludności, będzie traktowane jako atak na NATO, wymagający natychmiastowej odpo-

wiedzi, wliczając w to uruchomienie Artykułu V Traktatu Północnoatlantycznego” – czytamy w projekcie rezolucji zgłoszonej przez senatorów Grahama i Blumenthala w Senacie USA. I choć jest to ruch głównie symboliczny, to sprawa ta pokazuje, że coś, co jeszcze do niedawna było niewyobrażalne, właśnie staje się zagrożeniem, które zachodni decydenci biorą już realnie pod uwagę:

użycie olbrzymiej elektrowni atomowej jako broni.

„Nasza wiadomość jest przeznaczona do ludzi z otoczenia Putina: jeżeli to zrobić – jeżeli wykonacie jego rozkaz, o ile kiedykolwiek go wyda – to możecie się spodziewać obezwładniającej odpowiedzi ze strony NATO. I będziecie w stanie wojny z NATO” – podkreślił Lindsey Graham.

Ponadpartyjna inicjatywa obu senatorów to pokłosie informacji, które zaczęły płynąć z Kijowa pod koniec czerwca. Najpierw prezydent Wołodymyr Zełenski ogłosił, że Rosja przygotowuje się do zaatakowania Ukrainy z wykorzystaniem ZEA, która od marca 2022 r. znajduje się pod rosyjską kontrolą.

„Otrzymaliśmy raport naszego wywiadu i Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Ma dwa punkty: rosyjski atak terrorystyczny na elektrownię wodną Kachowka, który miał miejsce, oraz kolejny atak terrorystyczny, który niestety przygotowują rosyjscy okupanci, na elektrownię jądrową Zaporozże – powiedział prezydent Ukrainy. – Niestety, nieraz musiałem już przypominać, że promieniowanie nie zna granic państwowych. A w kogo uderzy, zależy tylko od kierunku wiatru”.

Dzień później szef ukraińskiego wywiadu wojskowego Kyryło Budanow przedstawił bardziej konkretne informacje w tej sprawie. „Rosja zakończyła przygotowania do dokonania aktu terrorystycznego w Zaporoskiej Elektrowni Atomowej” – stwierdził Budanow w rozmowie z brytyjskim tygodnikiem „The New Statesman”, dodając, że Rosjanie zaminowali zbiornik wodny służący do schładzania reaktorów i zużytego paliwa, a także umieścili ładunki wybuchowe w bezpośrednim otoczeniu czterech z sześciu reaktorów. Budanow dodał też, że o ile pozbawienie reaktorów chłodzenia sprawi, że stopienie rdzeni może zająć nawet dwa tygodnie, o tyle Rosjanie „posiadają środki techniczne, by przyspieszyć katastrofę”. „Sytuacja nigdy nie była tak poważna jak teraz” – oznajmił złowieszczo szef wywiadu wojskowego.

DNIEPREM DO MORZA

Jeżeli Rosja faktycznie planuje wykorzystanie Zaporoskiej Elektrowni Atomowej w charakterze broni, to czy grozi nam drugi Czarnobyl? Eksperci zajmujący się bezpieczeństwem elektrowni atomowych podkreślają, że w obecnej sytuacji nawet w najgorszym wariantcie Europie nie grozi apokalipsa, ale jednak zniszczenie kluczowych elementów infrastruktury ZEA może oznaczać duży problem nie tylko dla Ukraińców.

Najważniejszą informacją dla wszystkich zainteresowanych tym tematem jest to, że pięć reaktorów z sześciu tej elek-

trowni od jesieni zeszłego roku znajduje się w stanie tzw. zimnego wyłączenia i tylko jeden pozostaje wyłączony „na gorąco”. Blok ten pracuje więc na „pół gwizdka”, by zapewniać elektrowni prąd niezbędny do utrzymania systemów bezpieczeństwa, w tym przede wszystkim do chłodzenia reaktorów oraz zużytego paliwa. Nawet bowiem bloki pozostające w stanie zimnego wyłączenia muszą być schładzane, by nie doszło do stopienia rdzeni. Gdyby tak ogromna elektrownia jak ZEA stała się celem sabotażu w trakcie pracy „pełną parą”, skutki byłyby najprawdopodobniej dużo gorsze niż w przypadku Czarnobyla.

Wygląda na to, że nawet skrajny scenariusz nie jest groźny dla bezpieczeństwa Polski

Obecnie atak od wewnątrz nie spowodowałby aż tak dużego rozprzestrzenienia materiałów radioaktywnych, ale celowe działanie skierowane w reaktory wyłączone czy to na „zimno”, czy „gorąco” może oznaczać duże problemy nie tylko dla osób przebywających w pobliżu elektrowni. Gdyby bowiem doszło do sabotażu, część skażenia radioaktywnego dostałaby się do Dniepru, który następnie zaniósłby je do Morza Czarnego. W ten sposób zniszczenie choćby jednego bloku w ZEA oznaczałoby ogromny problem nie tylko dla Ukrainy.

Jak przedstawił pod koniec czerwca w swojej analizie amerykański think tank Institute for the Study of War, „awaria” w ZEA może łatwo przybrać niekontrolowany przebieg i potencjalnie bardziej uderzyć w siły rosyjskie niż w wojsko ukraińskie znajdujące się po drugiej stronie wysychającego Zbiornika Kachowskiego. „Celowe doprowadzenie do incydentu nuklearnego może sprawić, że znaczne tereny okupowanej południowej Ukrainy nie będą się nadawały do zamieszkania i zarządzania, co dodatkowo obniży zdolności Rosji do efektywnej okupacji południowej Ukrainy. Siły rosyjskie mogą sygnalizować gotowość do przeprowadzenia sabotażu na terenie ZEA, by odwieść

Ukraińców od prowadzenia kontrofensywy w tamtym rejonie – piszą eksperci ISW. – Kreml rutynowo już ucieka się do grożenia eskalacją nuklearną i przestrzegał przed zagrożeniem dla ZEA (w znacznej mierze stwarzanym przez siebie), by naciskać na Ukrainę w celu ograniczenia działań zbrojnych, a także aby odstraszyć Zachód przed przekazywaniem Ukrainie pomocy”.

Podkreśliłmy, że zdaniem ekspertów ISW Rosjanie mogą celowo wysłać w stronę Ukraińców sygnały gotowości wysadzenia kluczowych instalacji ZEA, by wojska ukraińskie nie nacierały w tamtym kierunku (czyli również w stronę Krymu).

„WYSTARCZY CHWILA”

Chociaż prezydent Zełenski ostrzega, że promieniowanie nie zna granic, to w obecnej sytuacji wygląda na to, że nawet skrajny scenariusz nie jest groźny dla bezpieczeństwa Polski (choć tego samego nie można już powiedzieć o państwach basenu Morza Czarnego).

„Ryzyko związane z rozprzestrzenieniem w razie ewentualnego uszkodzenia sarkofagu ma charakter ograniczony do kilkudziesięciu kilometrów. Ryzyko po stronie polskiej jest minimalne albo żadne” – uspokajał w zeszłym tygodniu na antenie Polsat News szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Jacek Siewiera.

Po ogłoszeniu przez prezydenta Zełenskiego informacji na temat wzrostu zagrożenia na terenie ZEA Ukraińcy rozpoczęli w obwodach zaporoskim i chersońskim ćwiczenia mające przygotować lokalną ludność na wypadek wydobycia się z ZEA materiałów radioaktywnych. Szczególnie napięta jest sytuacja w Margańcu, 50-tysięcznym mieście położonym dokładnie po drugiej stronie wysychającego Zbiornika Kachowskiego (od reaktorów dzieli miasto ok. 10 km).

„Mamy plany ewakuacji, ale wiemy, że wystarczy chwila i już nas nie ma. Tak, jak Rosjanie wysadzili tamę na Dnieprze w Nowej Kachowce, tak mogą też doprowadzić do katastrofy elektrowni – powiedział w rozmowie z PAP Hennadij Borowyk, mer Margańca. – Codziennie mierzymy promieniowanie. Sami rozumiecie, że nie wiemy, czego można się po nich spodziewać. Mogą zrobić cokolwiek, co tylko chcą”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Maria Kądzilska

Jak daleko Amerykanie pozwolą rozpychać się Chińczykom na półkuli zachodniej? Czy Kuba ponownie stanie się symbolem militarnego napięcia? Najnowszy raport na temat możliwości stworzenia chińskiej bazy wojskowej na karaibskiej wyspie wywołał burzę wśród opinii publicznej w USA

Według „Wall Street Journal” Chiny negocjują utworzenie nowego wspólnego ośrodka szkoleniowego na karaibskiej Kubie, co może prowadzić do stacjonowania chińskich wojsk na wodach u wybrzeży USA. Raport na ten temat pojawił się dzień po tym, jak sekretarz stanu USA Antony Blinken zakończył dwudniową wizytę w Pekinie, gdzie spotkał się z prezydentem Xi Jinpingiem. Była to jak dotąd najwyższa rangą wizyta amerykańskiego urzędnika w Chinach, a spotkania odbyły się w okresie wzmożonych napięć między dwoma supermocarstwami.

Efektom wizyty – przynajmniej deklaracyjnie – jest chęć obniżenia temperatury wzajemnych relacji pomiędzy Waszyngtonem a Pekinem. Obydwa kraje zobowiązały się do większego zaangażowania dyplomatycznego z perspektywą dalszych wizyt wysokiego szczebla w nadchodzących miesiącach na terenie USA. Jednocześnie w tym samym czasie dziennikarze „Wall Street Journal” wywołali medialną burzę publikacją artykułu, który powołuje się na informatora będącego wysoko postawionym urzędnikiem w administracji Bidena. Bezsprzecznie artykuł ten jest częścią polityki zagranicznej Białego Domu. Pytanie tylko, jaki jest jego cel?

Podczas gdy Waszyngton od razu nie potwierdził doniesień „Wall Street Journal”, Blinken zadeklarował dziennikarzom we wtorek 20 czerwca, że podczas wizyty dał jasno do zrozumienia, iż USA



FOT. ANDREW HARRIS/AP/EAST NEWS

Nowy kryzys kubański?

posiadają głębokie obawy co do działalności wywiadowczej lub wojskowej Chińskiej Republiki Ludowej na Kubie. „To jest coś, co będziemy bardzo, bardzo uważnie monitorować i bardzo jasno o tym mówiliśmy. I będziemy chronić naszą ojczyznę, będziemy chronić nasze interesy” – powiedział. Jednocześnie rzecznik Rady Bezpieczeństwa Narodowego John Kirby tego samego dnia poinformował dziennikarzy, że: „Nie jest tajemnicą ani niespodzianką, że Chiny próbują zwiększyć swoje wpływy lub zasięg... To nie tak, że nie jesteśmy tego świadomi. To nie tak, że tego nie monitorujemy. Będziemy nadal podejmować kroki, aby być w stanie chronić nasze własne tajemnice i nasze własne bezpieczeństwo narodowe” – zapewnił.

Nie ulega wątpliwości, że administracja Białego Domu prowadzi politykę zagraniczną przy użyciu doniesień medialnych.

Najnowszy raport pojawił się kilka dni po tym, jak administracja Bidena potwierdziła, że Chiny od lat prowadzą na Kubie operacje wywiadowcze, które zostały jeszcze zmodernizowane w 2019 r. Informator „Wall Street Journal” potwierdził, że potencjalny nowy obiekt wojskowy jest częścią chińskiego „Projektu 141”, inicjatywy mającej na celu rozszerzenie chińskiej sieci wsparcia wojskowego i logistycznego na całym świecie. Tego samego dnia amerykańscy urzędnicy podczas konferencji prasowej ponowili apel o przywrócenie komunikacji wojskowej między Stanami Zjednoczonymi a Chinami, czego Blinken nie osiągnął podczas swojej wizyty w Pekinie. „Jest to dla nas absolutnie krytyczny sposób zarządzania rywalizacją, komunikacją kryzysową, zapewnienia, że nie ma błędnej komunikacji lub błędnego postrzegania wzajemnych intencji. Pozostajemy chętni i zdolni na wszystkich

poziomach do spotkania i wzywamy Chiny do odpowiedniej reakcji na ten apel” – zadeklarowała Sarah Beran z Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

NARUSZENIE DOKTRYNY MONROEGO

Dzięki raportowi „Wall Street Journal” wiemy, że chińska baza nasłuchowa na Kubie jest aktywna od czterech lat, a także, że Chińska Partia Komunistyczna i Armia Ludowo-Wyzwoleńcza (PLA) planują prowadzić wspólne szkolenia z kubańskim wojskiem, potencjalnie chińskie wojsko będzie zaś stacjonować na wyspie. Jeśli PLA miałyby na stałe utrzymywać oddziały na Kubie, to byłyby to kontynuacja chińskiego planu rozszerzenia obecności wojskowej w obszarach, które mogłyby służyć jako wysunięte stacje operacyjne w przypadku działań wojennych między dwoma supermocarstwami.

Pierwsza zagraniczna baza wojskowa Chin w Dżibuti – strategicznie położona w Rogu Afryki – znajduje się zaledwie kilka kilometrów od amerykańskiego Camp Lemonnier i według Pentagonu była wykorzystywana do namierzania amerykańskich pilotów za pomocą szkodliwych laserów. Szczególnie niepokojące jest to, że Irańczycy, którym Chińczycy ułatwili niedawne porozumienie między Teheranem a Rijadem, odgrywają coraz bardziej znaczącą i widoczną rolę również na tej półkuli, a prezydent Iranu Ebrahim Raisi właśnie wrócił z podróży do Wenezueli, Nikaragui i Kuby. Czy będzie to zatem szersza antyamerykańska koalicja?

Z geopolitycznego punktu widzenia Kuba pozostaje piętą achillesową Stanów Zjednoczonych. Utrzymanie jej w amerykańskiej strefie wpływów stanowi warunek kluczowy dla bezpieczeństwa imperium. Nie bez przyczyny w 1898 r. Stany Zjednoczone wywołały wojnę z Hiszpanią i zbrojnie przejęły kontrolę nad wyspą, by następnie wymusić na rządzie tego kraju przyjęcie w konstytucji tzw. poprawki Platt, która zapewniła prawo do ingerencji w wewnętrzne sprawy Kuby i założenia bazy morskiej w Guantánamo, funkcjonującej do dzisiaj. Kuba, położona 780 km od brzegów Florydy i 2000 km od Nowego Jorku, stanowi miękkie podbrzusze USA. Wszelka obecność wojsk obcego imperium na terenie wyspy oznacza bezpośrednie

zagrożenie dla Waszyngtonu i może być odebrana jako naruszenie doktryny Monroego, która do dziś stanowi kamień węgielny amerykańskiej polityki dyplomatycznej i wojskowej. Doktryna Monroego po raz pierwszy nakreślona w przemówieniu do Kongresu w 1823 r. stwierdza, że Stany Zjednoczone będą postrzegać każdą ingerencję na półkuli zachodniej jako potencjalnie wrogi atak na całe USA.

W czasach zimnej wojny prezydent John F. Kennedy podczas kubańskiego kryzysu rakietowego w 1962 r. powołał się właśnie na wspomnianą doktrynę, kiedy zarządził blokadę morską i powietrzną wyspy po tym, jak Związek Sowiecki zaczął budować na niej wyrzutnie rakiet.

W latach 80. prezydent Ronald Reagan w podobny sposób wykorzystał tę zasadę polityki zagranicznej do uzasadnienia interwencji USA w Salwadorze i Nikaragui, podczas gdy jego następcą, George H.W. Bush, podobnie usankcjonował inwazję USA na Panamę w celu obalenia Manuela Noriegi.

Wraz z końcem zimnej wojny i nadejściem XXI w. Stany Zjednoczone zmniejszyły swoje zaangażowanie militarne w Ameryce Łacińskiej, jednocześnie nadal wywierając silny wpływ na sprawę regionu. Przywódcy socjalistyczni w Ameryce Łacińskiej, tacy jak Hugo Chávez i Nicolás Maduro z Wenezueli, zdobyli poparcie swoich obywateli, sprzeciwiając się temu, co postrzegają jako imperializm USA. Podkreślają oni skomplikowane dziedzictwo doktryny Monroego i jej decydujący wpływ na politykę zagraniczną Ameryki na półkuli zachodniej. Jeśli obecnie Chińczycy mają na celu rzucenie wyzwania imperializmowi amerykańskiemu, to stworzenie bazy wojskowej na Kubie z pewnością stanowi wyrazisty krok naprzód.

POWTÓRKA ZIMNEJ WOJNY?

Chińskie wpływy w regionie nieustannie rosną. Azjatycki tytan jest np. największym partnerem handlowym Chile w regionie Pacyfiku. Konieczność rozwoju kraju oznacza, że Santiago nie może zaniedbywać czynnika chińskiego podczas rozważań nad polityką zagraniczną. Chile nie jest w tym osamotnione. Od przełomu wieków handel Chin z całą Ameryką Łacińską zwiększył się 18-krot-

nie. Chińskie firmy są obecnie właścicielami lub operatorami infrastruktury krytycznej, takiej jak porty morskie, pola naftowe, telekomunikacja i sieci elektryczne. Jest to schemat typowy dla chińskiej dyplomacji gospodarczej „Pasa i Szlaku” wobec krajów euroazjatyckich, przeszczepiony do obu Ameryk.

Agenda Pekinu wykracza daleko poza handel. W rzeczywistości nie ma rutynowych, apolitycznych transakcji handlowych z Chinami. Polityka przenika wszystko. Wraz z wpływami handlowymi przychodzą wpływy polityczne, a być może nawet wojskowe. Obecnie chińscy przywódcy pragną weta w podejmowaniu decyzji w Ameryce Łacińskiej. Według eksperta R. Evana Ellisy, autora książki „Chiny w Ameryce Łacińskiej: Co i jak?” („China in Latin America: The Whats and Wherefores”), chcą oni, by „pracownicy i elity rządzące w Ameryce Łacińskiej były podporządkowane chińskim interesom”, a „stosunki polityczne z Waszyngtonem były tolerowane tylko w takim stopniu, w jakim nie kolidują z interesami Pekinu”. Jeśli uda im się osiągnąć swój cel, to Stany Zjednoczone mogą pozostać partnerem w zakresie bezpieczeństwa dla wielu, jeśli nie większości rządów Ameryki Łacińskiej, ale ich relacje z nimi będą coraz bardziej jednowymiarowe i kruche. Zmuszeni do wyboru między współpracą w zakresie bezpieczeństwa ze Stanami Zjednoczonymi a własnym dobrobytem gospodarczym przywódcy Ameryki Łacińskiej mogą wybrać dobrobyt – a tym samym Chiny.

Chociaż wątpliwe jest, by Waszyngton powołał się na doktrynę Monroego z nazwą, aby uzasadnić kontrospisunięcia wobec Chin, to tradycja jej stosowania otwiera możliwości podjęcia bardziej zdecydowanej dyplomacji hemisferycznej. Jeśli rządy latynoamerykańskie opowiedzą się po stronie Państwa Środka, to stanie się oczywiste, że okoliczności zniszczyły międzyamerykański ideał. Jeśli amerykańscy nadzorcy polityki zagranicznej dojdą do wniosku, że chińska dyplomacja gospodarcza stanowi zagrożenie militarne, to monroeizm może powrócić. Bez wątpienia publikacja najnowszego raportu w „Wall Street Journal” stanowi wyraźny sygnał ostrzegawczy. Obecnie czekamy na chińską odpowiedź na ten rodzaj „medialnej” dyplomacji.



FOT. JAKUB LUKASIK / PIELGRZYMKA

Remedium na dechrystianizację Francji?



Agnieszka Golańska-Bault

Czy młodzi ludzie, szukający tożsamości, będą odnową zlaicyzowanego kraju?

W czasie swojej pierwszej podróży apostolskiej do Francji 1 czerwca 1980 r. Jan Paweł II wygłosił do francuskich biskupów homilię, która zapisała się w świadomości wiernych nie tylko nad Sekwaną, dzięki dramatycznemu pytaniu skierowanemu przez papieża do francuskich katolików: „Francjo, najstarsza córo Kościoła. Czy jesteś wierna swoim przyrzeczeniom chrzcielnym? [...] Francjo, córko Kościoła i nauczycielko narodów, czy jesteś wierna, dla dobra człowieka, przymierzu z odwieczną mądrością?”.

Pomimo nadziei i świeżości, którą niósł ze sobą pontyfikat Polaka dla zmagającej się z posoborowym kryzysem Francji, wyrażającym się spadkiem praktyk religijnych i zapaścią powołań, nie udało się odwrócić trendu odchodzenia Francuzów od Kościoła, co doprowadziło do niemal całkowitej dechrystianizacji kraju. Już tylko ok. 50 proc. Francuzów uważa się za katolików, ale jest to w dużej mierze katolicyzm

„kulturowy”, gdyż zaledwie 2–4 proc. z nich to katolicy praktykujący. W ciągu niemal 30 lat liczba posługujących księży diecezjalnych zmniejszyła się o połowę, do 10 tys., a większość z nich ma ponad 75 lat.

Można, bez popadania w przesadę, powiedzieć, że Francja chrześcijańska umarła. Być może jest to jednak diagnoza przedwczesna, bo na zgłiszczach francuskiego chrześcijaństwa tlą się jeszcze zarzewia prawdziwej pobożności, które od czasu do czasu rozpalają się na tyle mocno, że wprawiają w zdumienie zarówno wrogich czy obojętnych wobec chrześcijaństwa, jak i tych, mających jeszcze nadzieję na powrót Francji do jej religijnych źródeł.

MARSZ Z RYTEM TRYDENCKIM

Oto co roku, dwa dni przed uroczystością Zesłania Ducha Świętego, kilkanaście tysięcy młodych ludzi gromadzi się na placu przed kościołem Świętego Sulpicjusza w Paryżu (przed pożarem był to dziedziniec katedry Notre Dame), by wyruszyć w trzydniową, pieszą pielgrzymkę do oddalonego o ponad 100 km Chartres, miasta wspaniałej gotyckiej katedry, w której od wieków szczególna cześć oddawana jest Najświętszej Maryi Pannie. Tegoroczna edycja pielgrzymki pod hasłem „Eucharystia – Zbawienie dusz” w dniach 27–29 maja cieszyła się tak wielkim zainteresowaniem, że organizator wydarzenia, stowarzyszenie Notre-Dame

de Chrétienté, już dwa tygodnie przed nim zamknął zapisy, gdyż liczba zgłoszeń uczestników przekroczyła 16 tys. osób, co stanowi 30-procentowy wzrost w stosunku do roku ubiegłego i na co logistycznie nikt nie był przygotowany.

W pielgrzymce od lat idą głównie młodzi ludzie, rodziny oraz dzieci. Średnia wieku biorących udział w tej aktualnie największej pieszej pielgrzymce w Europie Zachodniej w tym roku to zaledwie 25 lat, przy czym ponad połowa uczestników nie ukończyła 20. roku życia.

Pielgrzymujących łączy szczególne przywiązanie do tradycyjnej Mszy Świętej, a wszystkie nabożeństwa w ciągu trzech dni wędrówki odprawiane są po łacinie w rytmie trydenckim. Na stronie stowarzyszenia świeccy organizatorzy zapewniają jednak, że pomimo sympatii i uznania dla tradycjonalistycznych wspólnot, takich jak Bractwo Kapłańskie św. Piusa X (potocznie zwane lefebrystami) czy wywodzące się z niego Bractwo św. Piotra, stowarzyszenie Notre-Dame de Chrétienté zachowuje w stosunku do nich pełną formalną i organizacyjną niezależność, a pomimo wyraźnej niechęci papieża Franciszka wobec starego rytu i kolejnych decyzji ograniczających jego sprawowanie środowisko to wyraźnie podkreśla swoją pełną łączność z Kościołem Rzymskim.

Pielgrzymka do Chartres w aktualnej formie została zainicjowana w 1983 r. Dla

jej pomysłodawców i pierwszych organizatorów, Bernarda Antony'ego i Rémię Fontaine'a, miała być ona pozytywną, konkretną odpowiedzią na rezonujące w nich pytanie polskiego papieża wypowiedziane dwa lata wcześniej. Postanowili wyruszyć na swoistą „rekonkwistę Francji”, podjąć walkę przeciw dechrystianizacji, oplakanym skutkom reformy liturgicznej, dramatycznie słabej formacji katechetycznej i seminaryjnej. Jedną z bezpośrednich inspiracji dla Centre Charlier, pierwszego stowarzyszenia odpowiedzialnego za pielgrzymkę, były polskie piesze pielgrzymki zdążające w czasach komunizmu na Jasną Górę. Kilku członków organizacji brało w nich udział i – jak czytamy na oficjalnej stronie Notre-Dame de Chrétienté – wracało w nich „zdumionych żarliwością ludzi, którzy widzieli związek między ich religijnym marszem a losem całego narodu”.

Same pielgrzymki do Chartres mają jednak wielowiekową tradycję – miasto, a potem katedra stały się miejscami maryjnego kultu we wczesnym średniowieczu. Znający maryjną pobożność mieszkańców Chartres król Karol Łysy podarował miastu w 876 r. jedną z najcenniejszych relikwii średniowiecznego świata, którą sam odziedziczył po swoim dziadku Karolu Wielkim. Chodzi o przechowywaną przez wieki w Konstantynopolu Świętą Szatę (Sancta Camisa), która miała być suknią noszoną przez Maryję w dniu zwiastowania i narodzin Jezusa. Dziś relikwia ta zwana jest Welonem Dziewicy, gdyż chodzi tak naprawdę o jedwabny pięciometrowy pas materiału.

Gotycka katedra, jedna z najwspanialszych we Francji, wybudowana w miejscu romańskiego kościoła, który spłonął w XII w., dzięki hojności mieszkańców i cennym darom przybywszy stała się miejscem największego ruchu pielgrzymkowego we Francji. Modlący się przed relikwią doświadczali licznych cudów, uzdrowień, a samo miasto zdawało się być pod szczególną opieką Najświętszej Dziewicy, wychodząc obronną ręką z wielu nieszczęść, takich jak pożary czy zniszczenia wojenne.

Do Chartres pielgrzymowali władcy Francji, m.in. św. Ludwik, a Henryk IV został tutaj koronowany na króla. W mrocznych czasach rewolucji ruch pielgrzymkowy ustał, a sama katedra i jej cenne relikwie zostały sprofanowane – święta tkanina wyjęta z relikwiarza została pocięta na ka-

wałki – do dzisiejszych czasów zachowały się jedynie jej dwa fragmenty.

Koniec XIX w. przyniósł jednak pewne ożywienie religijne i Francuzi, m.in. dzięki świadectwom znanych pisarzy i intelektualistów, takich jak Paul Claudel czy François Mauriac podkreślających znaczenie Chartres w ich osobistym życiu religijnym oraz w życiu duchowym narodu, zwracają swe oczy ku Dziewicy z Chartres. Szczególne miejsce zajmuje wśród nich Charles Péguy. W 1912 r. wyruszył on w pieszą pielgrzymkę do Chartres w intencji uzdrowienia swojego syna. To właśnie ta pielgrzymka oraz niezwykle głęboka spuścizna poetycka nawróconego na katolicyzm w dojrzałym wieku Charles'a Péguy przyczyniły się w znacznym stopniu do ożywienia średniowiecznej tradycji pieszego pielgrzymowania do maryjnego sanktuarium. Péguy napisał po niej: „Odbylem pielgrzymkę do Chartres [...]. Chartres to moja katedra... Matka Boża uratowała mnie od rozpacz”.

ZDUMIENIE ROZMODNIENIEM

A co dziś powoduje młodymi ludźmi, którzy tak tłumnie wyruszają na trzydniowy szlak pielgrzymkowy? Co sprawia, że w tym roku było wśród nich tylu „początkujących pielgrzymów”? Te i podobne ważne pytania wybrzmiewały we wszystkich niemal francuskich mediach, które, zdumione rozmiarem tegorocznego wydarzenia, doskonałą organizacją i logistyką, żarliwością rozmodlonych i rozśpiewanych pielgrzymów, radością, z jaką podejmują drogę do maryjnego sanktuarium, przestały relacjonować je jako folklorystyczną ciekawostkę, ale uczyniły zeń niemal „wydarzenie narodowe” o dużym, choć niezrozumiałym dla wielu znaczeniu.

Zdaniem samych organizatorów i zgodnie ze świadectwami uczestników pielgrzymki młodzi ludzie wyruszają w drogę w poszukiwaniu swojej tożsamości i przynależności. Idą za głosem zmysłu religijnego, który każe im szukać spełnienia w kimś większym niż proponowane „zdobywcze” zachodniej cywilizacji, chcą razem, we wspólnocie odkrywać swoje duchowe i narodowe dziedzictwo. Po prostu pragną i szukają Boga.

W życiu codziennym są zwykle bezkompromisowi i odważni, zaangażowani w liczne wspólnoty, ruchy pro-life i dzieła charytatywne oraz misyjne, a na pielgrzy-

mim szlaku chcą się umocnić we wspólnocie wierzących, by móc dawać świadectwo, co we Francji jest szczególnie trudnym wyzwaniem.

Prezes stowarzyszenia Notre-Dame de Chrétienté, Jean de Tauriers, w wywiadzie udzielonym po ubiegłorocznej pielgrzymce tygodnikowi „Valeurs Actuelles”, stwierdza, że sukces i coraz większe zainteresowanie pielgrzymką są nieodłącznie związane z rosnącą popularnością Mszy trydenckiej, która w pełni odpowiada na odczuwane przez młodych ludzi pragnienie sacrum, transcendencji i głębi. „Jesteśmy przywiązani do tradycyjnej Mszy z powodu wiary, a nie z nostalgii, estetyzmu, konformizmu czy »zamiłowania« do łaciny. [...] Brak przekazywania podstawowej wiedzy na temat wiary jest rażący. I to jest właśnie jeden z powodów rodzącego się oporu i wierności w tradycyjnym świecie. Tradycjonalista chce przekazywać wiarę w świecie, który już jej nie przekazuje”.

W jednym z licznych telewizyjnych reportaży poświęconych tegorocznej pielgrzymce, w których dominuje pełen sympatii ton dla niezwykle ludzkiej i duchowej przygody, która staje się udziałem coraz liczniejszej rzeczy młodych Francuzów, dziennikarz telewizji informacyjnej CNews zadaje ważne pytanie, zastanawiając się, czy ci pielgrzymi, „w większości młodzi, żarliwi w wyznawaniu wiary, idący pod prąd społecznych trendów, są przyszością Kościoła? Czy staną się budowniczymi cywilizacji w przyszłości?”. Czy dziś chrześcijańska Francja przeżywa swoiste przebudzenie, a pielgrzymi i małe, tradycyjne wspólnoty, niczym średniowieczni mnisi i konstruktorzy katedr, poniosą przekaz wiary dalej i przywrócą swojemu krajowi jego utraconą w zawierusze dziejów i osobistych niewierności ich rodziców i dziadków godność ukochanej córki Kościoła? Zdaniem wielu trwanie europejskiej cywilizacji zawdzięczamy małym wspólnotom monastycznym z Irlandii, które po upadku Imperium Rzymskiego stały się depozytariuszem najważniejszych dzieł kultury europejskiej, a pielgrzymujący po Europie misjonarze z Zielonej Wyspy zanieśli jej odnowioną i entuzjastyczną wiarę oraz uratowaną kulturową spuściznę starożytności. Porzekadło mówi, że historia lubi się powtarzać... Być może we Francji właśnie jesteście tego świadkami?



Jacek Przybylski

W ojczyźnie korridy i flamenco przybiera na sile zjawisko bezprawnego zajmowania mieszkań i domów. Inspirowane lewicową ideologią przepisy stawiające prawa osób bez dachu nad głową ponad prawo własności sprawiają, że legalni właściciele nie mogą korzystać ze swoich nieruchomości już nie tylko w Katalonii, lecz także w innych regionach kraju. Na procederze zarabiają mafiosi, prawnicy, skorumpowani urzędnicy oraz specjaliści od siłowego odzyskiwania mienia

Zaledwie 48 godzin. Tylko tyle czasu od momentu włamania do mieszkania lub domu ma prawowity właściciel nieruchomości na powiadomienie hiszpańskiej policji, by móc liczyć na to, że niechciani goście zostaną przez stróżów prawa poproszeni o natychmiastowe opuszczenie nienależącego do nich lokalu. Gorzej jeśli właściciel w porę nie dowie się o włamaniu, a nowi lokatorzy zwiozą do zasiedlonego przez nich domu lub mieszkania swoje meble. Jeśli już się osiedlą i np. zawrą umowę z dostawcą Internetu, to nie można ich łatwo wyrzucić.

PRAWO DO... WŁAMANIA

Przyjęte przez hiszpańskich polityków prawo od lat chroni włamywaczy, bandytów, antysystemowców i anarchistów, którzy nie uznają prywatnej własności. I chroni nie tylko w teorii. W przykry sposób przekonał się o tym Ricardo Roman, którego nieruchomość w centrum Sewilli w grudniu ubiegłego roku zajął dziki lokator. Biedactwa nie stać pewnie na legalny najem od bezwzględnych kapitalistów i okupować po prostu musi. Tak mogłyby próbować tłumaczyć hiszpańskie lewicowe „polityczki”. Oczywiście byłaby to wie-

Hiszpania pod



Zjawisko nielegalnego zajmowania przez „okupas” domów i mieszkań stało się plagą Hiszpanii. FOT. LENA MAXIMOVA/ADOBE STOCK

rutna bzdura. Włamywacz wcale nie jest bowiem biedny ani skrzywdzony przez los. Przeciwnie: to już kolejne okupowane przez niego mieszkanie. Przedsiębiorczy dziki lokator pobiera emeryturę w wysokości 900 euro, a do tego, korzystając ze słabości hiszpańskiego państwa, nie tylko sam nielegalnie mieszka w zajęętym mieszkaniu w centrum Sewilli, lecz także zarabia na wynajmowaniu niektórych pokoi w okupowanej nieruchomości turystom na Airbnb.

Tymczasem 55-letni Ricardo Roman – który w przyszłym miesiącu straci zasiłek dla bezrobotnych – o nielegalnym lokatorze dowiedział się przypadkiem. Jak opowiadał w reportażu stacji Antena 3, próbował otworzyć drzwi, ale klucz nie pasował do zamka. Gdy wezwał ślusarza, okazało się, że w środku przebywa dziki lokator. Wezwana na miejsce policja stwierdziła, że nic nie może zrobić. Kolejnego dnia prawowity właściciel zauważył,

jak „okupant” wychodzi z jego mieszkania. Udało mu się wejść do środka. Tego samego popołudnia na miejsce powrócił jednak dziki lokator z podrobioną umową najmu oraz z policjantami, którzy tym razem interweniowali natychmiast. Pięćdziesięciopięcioletek został wylegitymowany, zakuty w kajdanki i wtrącony do celi. Jego siostrze hiszpańscy stróże bezprawia nakazali zaś usunięcie jej samochodu z garażu przynależącego do lokalu. Po nocy spędzonej w areszcie Ricardo Roman odzyskał wolność, a sąd potwierdził, że nieruchomość jest jego własnością, a umowa najmu rzeczywiście została sfałszowana. Rodzeństwo czeka jednak na nakaz eksmisji dzikiego lokatora...

EKSPRESOWA EKSMISJA

Czy właściciel naprawdę jest bezsilny? Teoretycznie nie. Kodeks karny w Hiszpanii przewiduje przecież kary za włamanie. W praktyce „okupas” są jednak

„okupacją”



chronieni przez naznaczone lewicową ideologią prawo. A ponieważ przestępcy są bezkarni, to na procederze krocie zarabiają dobrze zorganizowane mafie współpracujące ze skorumpowanymi urzędnikami.

W teorii dzięki prawnym zmianom z roku 2018, jeśli nieruchomość należy do osoby fizycznej, to właściciel domu lub mieszkania może żądać tzw. ekspresowej eksmisji. W praktyce kłopot polega jednak na tym, że decyzję o eksmisji wydaje sąd, a hiszpański wymiar sprawiedliwości nie należy do szczególnie zwanych. Według hiszpańskiej Naczelnej Rady Sądowniczej w 2021 r. prawomocni właściciele czekali na decyzję sądu o wyrzuceniu włamywaczy średnio 18,1 miesiąca. Przez cały ten okres musieli płacić nie tylko za prawników, lecz także za prąd, wodę etc., zużywane przez bandę okupującą ich własność. Oczywiście średnia czasu oczekiwania na upragniony

wyrok wynosząca półtora roku oznacza, że są właściciele, którzy na prawomocne orzeczenie w sprawie obcych ludzi w swoim domu czekali nawet kilka lat.

Czy nie ma innych opcji? Oczywiście, że są. Często dzicy lokatorzy od razu informują właściciela, że są gotowi do wyprowadzki w dowolnym momencie, ale za stosownym „odszkodowaniem”. Niekiedy wystarcza 1,5–2 tys. euro, często kwotą wyjściową do negocjacji z bezsilnym właścicielem jest 5 tys. euro (równowartość ok. 22,5 tys. zł), ale nie zawsze stawki stosowane przez złodziei są aż tak okazyjne. W połowie czerwca portal Alicante today poinformował o sprawie Hiszpana, który na stałe mieszka w Szwajcarii, ale jest właścicielem domu willi w malowniczym regionie Alicante. Gdy po długiej nieobecności wraz z rodziną wybrał się do własnej posiadłości na wakacje, musiał zamieszkać w hotelu. Dzikim lokatorem okazał się pracownik

urzędu miasta, okupujący posiadłość już od półtora roku. Nieoficjalny mieszkaniec zgodził się wyprowadzić pod warunkiem, że dostanie 40 tys. euro za przeprowadzone w willi „remonty”. „To o wiele łatwiejsze niż rabowanie banków” – opowiadał BBC mężczyzna przedstawiony jako Javier, który w swej przestępczej karierze zajmował się handlem narkotykami i rabowaniem banków, ale ostatnio przerzucił się na wymuszanie haraczy od legalnych właścicieli mieszkań.

Bardzo często – szacuje się, że nawet w jednej trzeciej przypadków – w proceder żądania okupu za zwrot nielegalnie zajętych nieruchomości zaangażowane są zorganizowane grupy przestępcze, które przy pomocy skorumpowanych urzędników odnajdują domy i mieszkania należące do obcokrajowców lub np. osób starszych, a następnie sprawdzają, kiedy ktoś wyjeżdża lub idzie do szpitala... Stosowna grupa jest już gotowa do wprowadzenia się, a następnie wyprowadzki po otrzymaniu określonej kwoty.

Zdarza się niestety, że dzicy lokatorzy najpierw biorą od właścicieli pieniądze za opuszczenie lokalu, a następnie wracają z policją, która umożliwia im ponowne zajęcie nielegalnie okupowanej nieruchomości, bo przecież sądowego nakazu eksmisji nikt im nie przedstawił.

MARGINALNE ZJAWISKO?

Działający na terenie Hiszpanii agenci nieruchomości lubią przekonywać, że zjawisko jest tak naprawdę marginalne i rozdmuchane przez szukające sensacji media. A jaka jest prawda? W 2018 r. policja otrzymała 12 214 powiadomień o zajęciu lokali przez dzikich lokatorów, w 2020 r. 14 700, a w roku 2022 w Hiszpanii zgłoszono ponad 16 700 przypadków nielegalnego zajęcia nieruchomości przez „okupas”. To średnio 45 tego typu incydentów zgłoszonych na policję każdego dnia. Portal Spanish Property Insight zauważa, że liczba zarejestrowanych przypadków nielegalnego zajęcia nieruchomości podwoiła się od 2016 r.

Prawdopodobnie jest zaś jeszcze gorzej, niż wskazują oficjalne dane. Policyjne statystyki nie obrazują bowiem pełnej skali zjawiska, ponieważ w kraju rażącego bezprawia, którym stała się pod rządami lewicy Hiszpania, część prawowitych właścicieli, zamiast czekać na wyrok

► eksmisji, decyduje się zapłacić za „wyczyszczenie” nieruchomości fachowcom skupiającym się bardziej na sile mięśni niż sile paragrafów. Jorge Fe, dyrektor firmy FueraOkupas zatrudniającej głównie bokserów i mistrzów sztuk walki, opowiadał w tym roku BBC, że firma działa od trzech lat i w ostatnim czasie otrzymuje 150 telefonów dziennie. Cena usunięcia niechcianych gości: 3,5 tys. euro, z czego połowę płaci się przed realizacją zlecenia, a połowę po niej. W Google firma ma skrajne recenzje. Nie brakuje jednak również tych bardzo pozytywnych. „Jestem zachwycony, w niecałe 72 godziny wyrzucili z mojego domu bandę Rumunów, która napędziła strachu sąsiadom, bardzo dziękuję za wszystko” – napisał jeden z internautów. „Szybcy i potężni” – skomentował kolejny. Jeszcze inny dziękował zaś za pomoc w odbiciu mieszkania swojej matki. „W ciągu 20 dni byłem w stanie znów wejść do swojego apartamentu” – napisał z podziękowaniami.

Niestety, bywa, że tego typu interwencje są już spóźnione, bo okupanci zdążyli nie tylko ograbić mieszkanie/dom z mebli i kosztowności, lecz także potwornie zniszczyć ściany, podłogi i sufity. Próbe pozasądowego rozwiązania problemu lepiej zostawić profesjonalistom. Przekonał się o tym niedawno pewien 52-letni Brytyjczyk, który pod koniec maja obecnego roku próbował odzyskać swą wakacyjną nieruchomość na słonecznym wybrzeżu Costa del Sol. Według hiszpańskiego dziennika „El Confidencial” mężczyzna został powiadomiony, że ktoś włamał się do jego nieruchomości, przebywa w niej i nawet zainstalował już sobie alarm. Błyskawicznie wsiadł więc w samolot i udał się do Manilvy (położonej ok. 100 km od Malagi). Nie chciał zatrudnić agencji ochrony. Zamki były już wymienione, a na dzwonek do drzwi nikt nie odpowiadał. Brytyjczyk zauważył jednak, że okno jest otwarte, wszedł więc do środka. W nieruchomości zastał trzech Marokańczyków, którym bardzo nie spodobało się, że legalny właściciel ot tak nagle wtargnął do zajętego przez nich lokum. A ponieważ Brytyjczyk upierał się, aby okupanci opuścili jego lokal, dzicy lokatorzy postanowili szybko zakończyć sprawę i, korzystając z afrykańskich doświadczeń kulturowych, rozbili szklaną butelkę i posługując się

nią niczym bronią białą, sprawnie pocięli awanturującego się właściciela po różnych częściach ciała. Ranny Brytyjczyk trafił do szpitala. W tym przypadku miał jednak wiele szczęścia. Nie tylko ostatecznie nic wielkiego mu się nie stało, lecz także hiszpańska policja nie ukarała go za to, że tak beztrząsowo wtargnął do własnego lokum. Zdołał też przekonać stróżów hiszpańskiego bezprawia, że

130 tys.

WEDŁUG ORGANIZACJI ONAO JUŻ TYLE MIESZKAŃ I DOMÓW W HISPANII ZAJMUJĄ DZICY LOKATORZY

podczas konfrontacji on sam nie używał żadnej broni. Po opuszczeniu szpitala mógł więc spokojnie wynająć sobie pokój w pobliskim hotelu. Tam szukał pomocy prawnej w odzyskaniu domu, ale został ostrzeżony, że dzicy lokatorzy mogą złożyć na niego oficjalną skargę.

Oczywiście za pocięcie Brytyjczyka butelką nikt w Hiszpanii biednym Marokańczykom głowy nie zawracał. Zapewne skończyłoby się na wylegitymowaniu sprawców, gdyby nie to, że dzicy lokatorzy byli poszukiwani przez policję również za inne przestępstwa. Ostatecznie biedactwa z Afryki po kilku dniach zostały jednak aresztowane. Legalny właściciel odzyskał więc nieruchomość w wyjątkowo ekspresowym tempie. Chociaż nie wiadomo na jak długo, bo mieszkancy osiedla opowiedzieli reporterowi „El Confidencial”, że to już trzecia nieruchomość w okolicy zajęta przez „okupas”, którzy dysponują już nawet pilotami do garaży.

Mało który obcokrajowiec ma jednak w Hiszpanii aż tyle szczęścia. Według szacunków organizacji zrzeszającej poszkodowanych właścicieli ONAO pod koniec ubiegłego roku „pod okupacją” dzikich lokatorów znajdowało się ok. 100 tys. hiszpańskich nieruchomości, a obecnie liczba ta przekracza 130 tys. mieszkań oraz domów.

OKAZJE DLA ROZWAŻNYCH

Ponad 300 słonecznych dni w roku. Ta liczba w połączeniu ze śródziemnomorską kuchnią od dawna kusi mieszkańców

chłodniejszych krajów Europy do nabywania nieruchomości właśnie w Hiszpanii. Zwłaszcza że w ojczyźnie korridy i flamenco nadal można bajecznie tanio – zwłaszcza w porównaniu z polskimi cenami – kupić mieszkanie, niekiedy z widokiem na morze lub góry lub morze i góry jednocześnie.

Według portalu Idealista.com, prezentującego ogłoszenia nieruchomości na sprzedaż i wynajem, najwięcej incydentów związanych z nielegalnym zajęciem nieruchomości odnotowuje się w Katalonii (ponad 40 proc.). Kupując nieruchomość, zwłaszcza w tym regionie, warto więc zachować szczególną ostrożność.

Ponieważ w obawie przed „okupas” właściciele chętnie montują alarmy i korzystają z urządzeń do monitoringu, również bezprawne bandy szukają nowych sposobów. Jednym z nich jest zamawianie pod upatrzonej adres jedzenia z dowozem, jeszcze zanim dokonają włamania. Dostawcy „okupas” płacą przed wejściem do bramy, a włamania dokonują 48 godzin później. Jeśli na miejsce przybędą policjanci, to pokazują paragon z adresem dostawy i przekonują, że okupują dane mieszkanie ponad dwie doby. Wówczas o eksmisji może już zdecydować jedynie sąd. Oczywiście na podstawie zapisu z monitoringu czy zeznań sąsiadów możliwe jest udowodnienie, że przesyłka wcale nie została odebrana pod wskazanym adresem. Jednak to znów wymaga przesłuchania świadków, zgromadzenia materiału dowodowego, a przede wszystkim dużo czasu.

Do quasi-mafijnego podejścia rządu do własności prywatnej swą ofertę dostosowują zakłady ubezpieczeń. Od tego roku właściciele nieruchomości obawiający się, że banda squattersów zajmie ich dom, mogą wykupić specjalne ubezpieczenie o nazwie „anti-okupa”. Taki produkt jako pierwsza wprowadziła firma Direct Line. W razie pojawienia się „okupantów” ubezpieczenie pokrywa nie tylko koszty znalezienia tymczasowego zakwaterowania dla prawowitego właściciela zajętej nieruchomości, lecz także pokrywa utratę dochodów z legalnego najmu, remontu zdewastowanego przez „okupas” mieszkania lub domu, a także koszty obsługi prawnej. Zwłaszcza te ostatnie mogą być bardzo wysokie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Politycy bez podwyżek?

Chociaż inflacja na szczęście nieco w Polsce spowalnia, to przecież oznacza to tylko tyle, że ceny rosną nieco wolniej, a nie, że przestały rosnąć czy zaczęły spadać jak podczas deflacji przed kilku laty. Ba, inflacja w Polsce wciąż utrzymuje się na jednym z najwyższych poziomów w UE; dość wspomnieć, że jesteśmy dziś pod tym względem na drugim – po Węgrzech – miejscu w Unii.

Skutkiem tego jest rosnąca liczba bankructw Polaków, którzy mocno biednieją i są dziś już ubożsi – licząc poziom ich zamożności w relacji do PKB – niż w 2013 r.; czyli 10 lat ich bogacenia się trafił szlag. Ale czy można się dziwić, że tak jest, skoro z oczywistych powodów płace od dawna już nie nadążają za skokami cen – zresztą może i dobrze, że nie nadążają, bo zważywszy na politykę rządu, który swym rozdawnictwem rozkręcił spiralę inflacji i wciąż ją podsyca, tylko w ten sposób można było choć nieco okiełznać wzrost cen.

Inflacja więc nieco spowalnia, lecz nadal zachowuje swe niszczące właściwości, czego dowodem to, że o ile w 2009 r. ogłoszono u nas zaledwie 9 (słownie: dziewięć) plałt konsumenckich, a w 2014 r. było ich 32, to tylko w pierwszym kwartale 2023 r. zbankrutowało już aż ponad 5,3 tys. Polaków – o ponad 100 proc. więcej niż w tym czasie przed rokiem. A to oznacza, że w ciągu 2023 r. zbankrutuje ponad 20 tys. z nas; bankrutów może

być zresztą jeszcze więcej, bo proces ten będzie się z upływem roku zapewne pogłębiał.

Dlatego tak groźni są ci wszyscy politycy i urzędnicy z rządu oraz ci wszyscy urzędnicy i eksperci z Rady Polityki Pieniężnej i Narodowego Banku Polskiego, którzy dziś z taką dezynwolturą traktują inflację; którzy bagatelizując ją, nakręcają ją swymi proinflacyjnymi albo tylko nie dość antyinflacyjnymi działaniami czy choćby samymi swymi bagatelizującymi inflację wypowiedziami – z racji pełnionych przez siebie urzędów – podsycają oczekiwania inflacyjne.

A czynią tak zapewne m.in. z tego powodu, że sami zarabiają sporo i podwyżkami swoich uposażeń – posiłkując się pieniędzmi pochodzącymi z kieszeni podatników – często z nawiązką rekompensują sobie inflację.

Byłoby więc z pożytkiem dla wszystkich, aby „zmotywować” ich do zadbania o szybsze obniżenie inflacji – najlepiej poprzez związanie podwyżek ich pensji właśnie z jej poziomem. Czyż zatem – dopóty, dopóki nie znajdzie się ona w celu NBP, czyli nie będzie się utrzymywać na poziomie 2,5 proc. z jednopunktowym odchyleniem w jedną i drugą stronę – od 1,5 do 3,5 proc. – wszyscy ci urzędnicy i politycy nie powinni mieć wstrzymanych podwyżek swoich uposażeń? Może wtedy zatroszcziliby się o odpowiednio skuteczną i szybką walkę z inflacją. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wojna z edukacją domową

Minister edukacji Przemysław Czarnek otwarcie wytoczył wojnę warszawskiej Szkole w Chmurze – placówce, w której zdalnie, w ramach edukacji domowej, uczy się ok. 20 tys. dzieci. Pan minister stawia zarzuty ogólne, twierdząc, że Szkoła w Chmurze służy omijaniu obowiązku szkolnego. Nie potrafi jednak podać żadnego konkretnego przykładu patologii, a także nie dopatrzyło się go kuratorium.

Ofiarą wojny ministra z tą jedną placówką padło w ogóle nauczanie domowe. Już kilka miesięcy temu kontaktowali się ze mną rodzice dzieci uczących się w podobnych szkołach, alarmując, że praktycznie z dnia na dzień ministerstwo zmieniło przepisy, wskutek czego w trakcie roku szkolnego tego typu szkoły koordynujące nauczanie domowe – wszystkie, nie tylko Szkoła w Chmurze – znalazły się w kłopotach. To nie tylko wylewanie dziecka z kąpielą, lecz także lekceważenie losu tysięcy uczniów. Można założyć, że za sprawą działań ministra Czarnka PiS nastawił przeciwko sobie większość środowiska rodziców popierających edukację domową – z natury konserwatywnego. Zapewne

– coś za zaskoczenie – na korzyść Konfederacji.

Pikantnym faktem jest, że ministerstwo działa w dużej mierze pod wpływem żądań warszawskiego ratusza – chodzi o wysokość subwencji oświatowej dla Szkoły w Chmurze. Godny podziwu przykład harmonii między PiS a PO.

Zamiast czepiać się innowacyjnej placówki, może jednak pan minister byłby łaskaw przyjrzeć się wynikom stacjonarnych szkół, w których dzieci z jednej strony są dramatycznie przeciążone często całkowicie bezsensowną nauką detali, z drugiej – zamiast uczyć się logicznego myślenia, poszukiwania odpowiedzi oraz pamięciowo podstaw do tych procesów, wkuwają do testów. Bezmyślna testowa ogarnęła polską szkołę niemal dwie dekady temu, a obecny szef MEN kompletnie nic w tej sprawie nie zrobił.

Przeładowanie obowiązkami to jeden z głównych impulsów do przenoszenia dzieci na edukację domową. Inny – to chęć uchronienia ich przed namolną indoktrynacją, do której w szkołach dochodzi, czy to proekologiczną, czy pseudopatriotyczną, czy proukraińską. Radziłbym panu ministrowi, żeby nad tym się raczej zastanowił. ©©

Ósmie tournée światowe Beyoncé przejdzie do historii. Na trasie jest 57 miast. Sztokholm, Bruksela, Paryż, Edynburg, Barcelona, Marsylia, Hamburg, Londyn, Vancouver, Houston. W Warszawie dwa koncerty na Stadionie Narodowym 27 i 28 czerwca. Trzeba mieć końskie zdrowie, żeby to wytrzymać. Ale Beyoncé na stadionach czuje się jak w domu. Trudno zresztą byłoby narzekać, bo ta mordercza pielgrzymka przynosi wokalistce ponad 2 mld dol. Tournée rozpoczęła uroczystość otwarcia hotelu Atlantis The Royal w Dubaju. Za godzinny show gwiazda zainkasowała 24 mln dol. „I break chains all by myself – won't let my freedom rot in hell” – śpiewała w Dubaju. Dziwnie to brzmi w kraju, który w dziedzinie swobód obywatelskich ma jeszcze sporo do nadrobienia.

MISTRZOWIE BIZNESU

Po 26 latach kariery Teksanka nadal bije wszelkie rekordy. Zgarnęła 32 nagrody Grammy, jej albumy wciąż są na listach przebojów. Razem ze swoim mężem Jayem-Z są nie tylko czempionami muzyki, lecz także mistrzami biznesu. Potrafią zmonetyzować własny związek, dzieci, aktywizm w walce o równouprawnienie. Beyoncé Giselle Knowles-Carter jest najpotężniejszą, najbardziej wpływową kobietą biznesu muzycznego na świecie. Każdy z jej albumów znajdował się na pierwszym miejscu list przebojów w USA.

W roku 2014 tygodnik „Time” wybrał ją jako najbardziej wpływową kobietę biznesu, „Forbes” co roku umieszcza ją na swoich listach tego typu. Jej majątek szacuje się na 540 mln dol. Jeszcze lepszy w finansach jest Jay-Z, który w zeszłym roku podwoił majątek i obecnie jest wyceniany na 2,5 mld dol. Jak inni idą kupować dom, oni wybierają się na zakupy nieruchomości. Spodobało się: bierzemy. Ostatni nabytek: najdroższy dom w Kalifornii. Klejnocik z betonu o powierzchni 3 tys. mkw. projektu japońskiego architekta Tadao Ando. Za ten domek, gdzie czasem można wpaść na weekend power, para zapłaciła 200 mln gotówką. Na dłuższe pobyty służy im dom w Los Angeles w dzielnicy Bel Air.

Pani Beyoncé ma nosa do biznesu. Kiedy organizatorzy wówczas począt-

Diwa popu i biznesu



Joanna Bojańczyk

Śpiewa, tańczy, inwestuje w nieruchomości i wciąż bije rekordy na rynkach muzycznych. Beyoncé Giselle Knowles-Carter po 26 latach kariery jest najpotężniejszą, najbardziej wpływową kobietą show-biznesu na świecie

FOT. KEVIN MAZUR/GETTY IMAGES



kującej spółki Uber zaproponowali jej, żeby wystąpiła na ich gali w Las Vegas za honorarium 6 mln dol., wokalistka zaproponowała, żeby kwotę wypłacono jej w akcjach Ubera.

Ojciec Beyoncé jest Afroamerykaninem, matka, Metyska, ma pochodzenie indiańskie, afroamerykańskie i francuskie. Rodzina tradycyjnie protestancka. Imię Beyoncé stanowiło hołd wobec matki Tiny Knowles, której nazwisko brzmiało Beyoncé. Sztukę modelowania wizerunku dziewczynka odziedziczyła po matce Celestine Beyoncé, krawcowej, fryzjerce, projektantce, samouku. Wychowała u córki zdolności artystyczne i trzylatkę zapisała na lekcje tańca. Nauczyciel, usłyszawszy, jak dziewczynka podśpiewuje, przeczuł w niej nieprzeciętny talent muzyczny i wysłał ją na konkursy wokalo-taneczne. Jako 10-latką Beyoncé występuje w girlsbandzie Girls' Tyme, ale zespół nie odnosi sukcesów w telewizyjnych konkursach. Z powodu źle wybranych piosenek, jak potem powie Beyoncé. Rodzice jednak nie dają za wygraną: ojciec porzuca nawet pracę sprzedawcy sprzętu muzycznego, żeby zająć się karierą córki. Wysiłek okazuje się wart świeczki: powstaje zespół trio Destiny's Child, który podpisuje kontrakt z wytwórnią Columbia Records. Duża rzecz. Niewątpliwie Beyoncé jest dzieckiem przeznaczenia.

Grupę ubiera oczywiście Celestine. I te ubrania, seksowne, ale nie wulgarne, stają się inspiracją całej generacji na początku lat 2000. Styl Beyoncé, Kelly Rowland, Michelle Williams naśladują nastolatki. Ubrania są ważne, ale panna B nie chce, żeby jej piosenki były tylko głupiotkami refrenikami bez treści. Już pojawia się zarys przyszłej Queen Bey, kobiety walczącej. „W moich występach każdy detal jest celowy” – mówi bohaterka poświęconego jej dokumentu wyprodukowanego przez Netflix. Stoi za realizacją tego filmu, tak przemyślanego, jak jej wszystkie publiczne wystąpienia. Koncerty odbywają się według scenariusza obmyślonego co do najmniejszego szczegółu: oświetlenie, tancerze, wybór koloru i rozmiar dekoracji. Na twarzy wokalistki nie mogą pojawić się plama z tuszu do rzęs czy rozmazany od potu makijaż. Żeby się doprowadzić do stanu perfekcji, piosenkarka czasami znika ze

sceny... W czasie ostatniego „Renaissance Tour” zdarzyło się to sześć razy...

NIE MA MOWY O SKANDALACH

Większość artystów ma zaplanowaną jedną garderobę na całe tournée. Jednak nie ona. Beyoncé na każdy występ ma inną kreację haute couture. Niebieska suknia i krwistoczerwony kombinezon marki Off White w Londynie, suknia syreny Valentino w Brukseli, body z cekinami w Sztokholmie. W Paryżu suknia z siatki srebrnych łusek Paco Rabanne – zapewne gest kurtuazyjny i aluzja do słynnej sukni z metalowych łusek z lat 60. tego właśnie kreatora. Jej walizki do transportu potrzebują kontenera.

Kontroluje własny wizerunek, a szczególnie wizerunek w mediach. Nie ma mowy o skandalach. Ambasadorka Pepsi i L'Oréal wie dobrze, czym to grozi. Ostatnia zdobyć państwa Carter to marka biżuterii Tiffany. Do tej pory marka, w portfolio LVMH, kojarzyła się z uroczą, trochę pensjonarską Audrey Hepburn. Jednak pokolenie fanów Beyoncé i Jaya-Z nie bardzo wie, kim była śliczna aktorka sprzed 60 lat. Dla Tiffany'ego pozyskanie gwiazdorskiej pary show-biznesu oznacza krok do współczesności i zwiększenie sprzedaży. A dla nich to wejście do elitarnego grona bohaterów kampanii LVMH, takich jak Rihanna czy Pharrell Williams.

Jednak bywają też transakcje mniej udane. W roku 2016 Beyoncé wchodzi w spółkę z Philipem Greenem, wówczas właścicielem sieciówki TopShop. Udziały mają być po połowie, ale partnerzy rozstają się na skutek konfliktów. Pani Carter zwraca się z ofertą do Adidasa, mając nadzieję, że stworzenie nowej marki ubrań sportowych „Ivy Park” zaowocuje sukcesem podobnym jak u Pumi, która weszła w spółkę z Rihanną i stworzona w ten sposób marka Fenty podbiła o 40 proc. sprzedaż butów sportowych. Adidas oferuje nowej partnerce 20 mln. Jednak związek trwa krótko, menedżerowie niemieckiej firmy nie są zadowoleni, że firmowe logo trzech pasków zostało zredukowane na rzecz wielkiego napisu „Ivy Park”. Być może ten szczegół nie okazałby się decydujący dla rozstania, gdyby nie to, że rynek nie przyjął z entuzjazmem nowej marki. Jak pisał „Wall Street Journal”, straty wyniosły

200 mln dol. i Adidas pomny niedawnej porażki z Kanye Westem zakończył kontrakt. Jak widać, nawet nazwisko gwiazdy nie gwarantuje sukcesu.

Jednak bizneswoman szybko się pocieszyła. Tym razem związuje się z modną obecnie marką Balmain, którą obecnie kieruje Olivier Rousteing. Ramię w ramię z projektantem pani B zaprojektowała 16 kreacji do 16 piosenek z tournée „Renaissance”. Kolejna zręczna operacja marketingowa, która przypominała publiczności, że każda z płyt Beyoncé od razu wspina się pierwsze miejsca list przebojów. A przy tym wszystkim państwo Carter są szczęśliwymi rodzicami trojga dzieci: pięcioletnich bliźniaków Sir i Rumi oraz 11-letniej Blue Ivy. Córeczka jeździ z mamą na tournée i tańczy na scenie razem z nią. Ostatnio mówiono o niej, gdy od rodziców otrzymała kolczyki z diamentami za 80 tys. dol. Pani B nie ma kompleksów. W programie „Run the World” zapytana o to, kto rządzi światem, odpowiedziała bez namysłu: w przemyśle muzycznym od 20 lat to państwo Carter.

Artystka zatrzymała się w Warszawie na trzy noce w hotelu Europejski Raffles. Rachunek za 200-metrowy apartament wyniósł 84 tys. zł. W apartamencie do dyspozycji gwiazdy pozostawały XIX-wieczny fortepian i francuskie perfumy. Warszawski Stadion PGE był wypełniony, mimo że ceny biletów trudno uznać za demokratyczne. Miejsca siedzące na niższych kondygnacjach z widokiem na scenę kosztowały 1,8 tys. zł, miejsca premium – 2,5 tys., za miejsce na płycie na wprost sceny trzeba było zapłacić 4,1 tys. Sprzedano podobno także miejsca za 11 tys. Historia milczy, czy dawały one wstęp do garderoby gwiazdy...

Na scenie bardziej performance niż koncert: futurystyczne dekoracje, latający srebrny koń, tancerze, efekty świetlne. Solistka w kombinezonie ze srebrnych łusek w stylu Barbarelli.

Nie obyło się bez akcentów politycznych. Napis wyświetlany na scenie: „Kto kontroluje media, kontroluje umysł” można by wziąć za aluzję do naszych realiów politycznych. Jednak nie, taki napis zawsze wyświetla się na koncertach Beyoncé.

W istocie taki aktywizm wymaga dużych poświęceń.

Ażeby przekonać się, dlaczego Azerbejdżan nazywany jest „land of fire”, „krajem ognia” i dlaczego jest jednym z najbogatszych państw świata, wystarczy wyjechać ok. 25 km poza Baku. Pół godziny drogi od stolicy turystów przyciąga Yanar Dag. Wzgórze, które płonie od lat 50. ubiegłego wieku. Płonąć będzie dopóty, dopóki nie wyczerpią się tamtejsze zasoby gazu. To zasobom naturalnym, a ściślej – paliwom kopalnym – Azerbejdżan zawdzięcza swój rozwój.

Gorączka naftowa, która wybuchła w całym Cesarstwie Rosyjskim w roku 1872, kiedy to zniesiono system dzierżawny w przemyśle naftowym (państwo umożliwiło prywatnym przedsiębiorcom zakup działek roponośnych, wcześniej można je było dzierżawić, płacąc bardzo wysokie podatki), sprawiła, że Baku zaczęło rozwijać się w zawrotnym tempie. Rosły fortuny, a razem z nimi miasto. W poszukiwaniu lepszego życia ciągnęli tu mieszkańcy całego imperium i migranci spoza niego. Także dla Polaków ziemia ta z miejsca zsyłek przeistoczyła się w cel migracji ekonomicznej. Nic dziwnego, skoro na przełomie XIX i XX w. zarobki w Baku oscylowały w okolicach 2,4 tys. rubli, podczas gdy w innych dużych miastach imperium było to 1,2 tys. rubli.

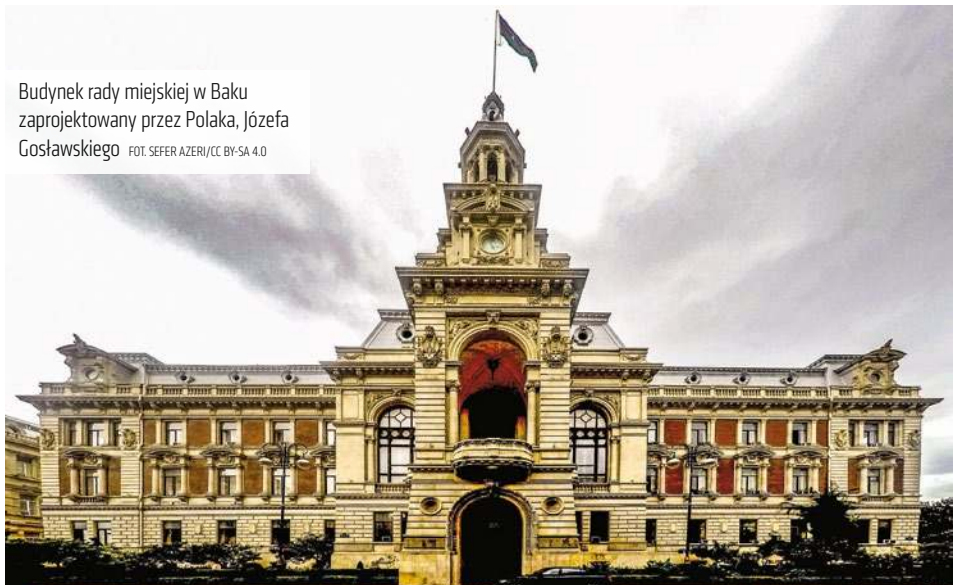
Do napędzanego przez naftowe spółki akcyjne miasta ciągnęli więc i pracownicy fizyczni, i specjaliści – nauczyciele, lekarze, aptekarze, architekci. Polacy byli, obok Niemców, najbardziej wykształconą tamtejszą mniejszością. Ludzie wielu branż przyczynili się do rozwoju Baku i regionu, najwyraźniejszy ślad pozostawili po sobie architekci. Ta opowieść jest o nich.

PIERWSZY ARCHITEKT BAKU

Najważniejsze decyzje podejmowane przez władze miejskie w Baku do dziś zapadają w budynku zaprojektowanym przez Polaka – Józefa Gosławskiego. Budynek usytuowany w samym centrum miasta, przy ul. Nikołajewskiej 4 (obecnie Istiglalijat 4), był zwieńczeniem kariery polskiego architekta, który nie doczekał jednak ukończenia jego budowy, umierając w 1904 r. Kiedy oddano go do użytku, był to jedyny obiekt w mieście o funkcjach wyłącznie administracyjnych.

Trójkondygnacyjny budynek z przestronnym hallem, przestronnymi korytarzami i szerokimi marmurowymi schoda-

Budynek rady miejskiej w Baku
zaprojektowany przez Polaka, Józefa
Gosławskiego FOT. SEFER AZERI/CC BY-SA 4.0



Polacy w krainie ognia



Radosław Wojtas

Nie ma w tym przypadku, że spacerując niektórymi uliczkami Warszawy, Azerbejdżanie mogą poczuć się prawie jak w domu. Przeżywające naftową gorączkę Baku przyciągało na przełomie XIX i XX w. Polaków jak magnes. Wśród nich architektów, którzy pozostawili trwały polski ślad

mi, a także pieczołowicie wykonanymi wnętrzami zajął dominującą pozycję w układzie starej części Baku. Gosławski połączył w nim cechy architektury barokowej i klasycystycznej, motyw zachodnie i miejscowe. Architekt używał lokalnych materiałów budowlanych, ale pokusił się o innowacyjne wówczas w Baku rozwiązanie połączenia jasnego kamienia i czerwonej cegły klinkierowej. Dopełnieniem malowniczo wyglądającej elewacji były rzeźbione detale.

Nie trzeba odchodzić daleko od budynku bakijskiej Dumy, by natknąć się na inne dzieła Gosławskiego. Przy tej samej ulicy Istiglalijat pod numerami 5 i 7 stoją trójkondygnacyjne domy mieszkalne projektu Polaka, a pod numerem 8 – budynek dawnej żeńskiej muzułmańskiej szkoły. Zanim pochylimy się nad nimi oraz pozostałymi gmachami zaprojektowanymi i wzniesionymi przez „kaukaskiego Rastrellima”, jak go zвано, zajmijmy się na chwilę nim samym oraz

historią tego, jak w Baku w ogóle się znalazł.

Józef Gosławski urodził się w Warszawie w 1865 r. Studiował w Petersburgu w Instytucie Cywilnych Inżynierów imienia Mikołaja I. Po zakończeniu studiów w 1890 r. rozpoczął pracę w Budowlanym Komitecie Technicznym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Już po roku został oddelegowany do Baku na budowę Soboru Aleksandra Newskiego. Mając wówczas 26 lat, trafił do miasta bezcennych zabytków architektonicznych, którego najstarszy, zamknięty w murach obronnych obszar ma powierzchnię 24 ha. Miasta przeżywającego w związku z gorączką naftową budowlany boom. Trafił tam w czasie, gdy początkowy chaos wywołany tą gorączką zaczyna być brany w ryzy, a wymagania naftowych magnatów rosną na tyle, że przestają oni być zadowoleni z miejscowych architektów i szukają zagranicznych specjalistów.

Gosławski nie jest projektantem soboru, ale jego udział w powstaniu obiektu jest ogromny. Dał się poznać jako uzdolniony inżynier, a wykonując detale i zdobienia, pokazał swoje artystyczne oblicze. To doświadczenie było kluczowe nie tylko w rozwoju umiejętności i talentów Polaka, lecz także najpewniej w karierze. Jeszcze podczas pracy nad soborem, w roku 1892, Gosławski objął stanowisko miejskiego architekta. Sam budynek dziś można oglądać jedynie na starych fotografiach. Został zburzony przez stalinowskie władze w 1936 r.

WYTWORNA PROSTOTA

Polak cenił motywy klasyczne, sam często je stosował, a jako architekt miejski dążył do tego, by były one obecne w tkance miejskiej. Wspomnieliśmy już o projektach Gosławskiego przy ówczesnej ulicy Nikołajewskiej, zatrzymajmy się przy jednym z nich na dłużej. Siedziba mużułmańskiej szkoły żeńskiej to jedna z najbardziej udanych budowli Polaka. Powstała na zlecenie naftowego potentata, a zarazem filantropa Hadżiego Zejnalabdyna Tagijewa.

Zadanie nie było proste. Tagijew zażyczył sobie, by ta pierwsza na islamskim Wschodzie szkoła dla dziewcząt była obiektem wyjątkowym. Z jednej strony, biorąc po uwagę przeznaczenie, budynek miał być skromny i surowy. Z drugiej – musiał mieć orientalny styl. Jak podołał temu



Józef Gosławski, Polak, który pełnił funkcję miejskiego architekta Baku

FOT. DOMENA PUBLICZNA

zadaniu Gosławski? Znakomicie. Ówczesna prasa oceniała efekt tak: „Znajdujący się na jednej z najlepszych ulic Baku budynek szkoły zdobi miasto jako jedna z najpiękniejszych pod względem architektonicznym budowli, w której brak zbędnych pomysłów został całkiem korzystnie zastąpiony wytworną prostotą oraz harmonijnością wszystkich jego części”.

Gosławski nie bał się eksperymentów. Kreslił projekty, jakich w Baku nigdy nie było. Trójkondygnacyjny dom mieszkalny przy ulicy Woroncowskiej (obecnie Sa-farły 19) zaprojektował w stylu gotyckim. Z kolei dwukondygnacyjny pałac przy ulicy Pocztowej (obecnie Tagizade 70), zbudowany w 1895 r., „posiada wszelkie cechy architektonicznego dzieła sztuki – pisze w pracy poświęconej polskim architektom w Baku prof. Szamil Fatułłajew-Figarov, uznany w świecie autorytet w zakresie architektury islamskiej, pionier badań nad nowożytnymi założeniami miejskimi w regionie Środkowego Wschodu. – W tej i w następnych pracach architekt starał się zademonstrować estetyczny potencjał tkwiący w stylu klasycznym, jednocześnie łamiąc po swojemu jego reguły i uwzględniając lokalne uwarunkowania. Gosławski był artystą subtelnym, prawdziwym lirycznym kamieniem i w projektowanych budynkach dążył do osiągnięcia niemal muzycznej harmonii. Czyżby inspirował się twórczością innego polskiego klasyka, wielkiego Chopina?”

Spuścizna Józefa Gosławskiego jest znacząca, mimo że nie dane mu było długie życie. Zmarł w roku 1904 na gruźlicę. Miał 39 lat. W latach 1893–1900 zaprojektował i wybudował 12 gmachów. Przemierzając uliczki stolicy

Azerbejdżanu śladem byłego miejskiego architekta Baku, nie sposób nie zejść pod adres Mirzy Ibrahimowa 11, by zobaczyć zabytkowy dom, w którym Polak spędził ostatnie lata życia.

ODROBINA WARSZAWY NA KAUKAZIE

– Warszawa po drugiej wojnie światowej niestety utraciła swoją tkankę architektoniczną, ale ona zachowała się w Baku. Oczywiście ona nie jest taka sama jak w Polsce, ale proszę mi wierzyć, że są takie ulice w Warszawie, na których czuję się jak na głównych ulicach bakijskich z powodu bardzo podobnego stylu kamienic – mówiła podczas jednego ze spotkań organizowanych przez IPN w ramach „Przystanku historia” dr Shahla Kazimova z Centrum Studiów Azerbejdżańskich Wydziału Orientalistycznego UW.

Oczywiście nie dokonał tego sam jeden Gosławski. Wielu innych polskich architektów zostawiło swój ślad w Baku. Niektórych z nich, jak np. Kazimierza Skórewicza, do Baku ściągnął Józef Gosławski. Skórewicz zatrudnił się w magistracie jako architekt dzielnicowy, z czasem zastąpił Gosławskiego na stanowisku głównego architekta. To on przejął nadzór nad powstawaniem budynku rady miejskiej po śmierci Gosławskiego. Wśród najbardziej znanych projektów Skórewicza wymienić należy gmach Banku Państwowego na rogu ulic Krasnowodskiej i Merkuriewskiej (obecnie Wurguna i pl. Azerbejdżanu – dziś bank i Ministerstwo Finansów) czy biurowiec Rotszyldów przy ulicy Perskiej (dziś Muchtarowa 13).

Nie wystarczy nam już tutaj miejsca nie tylko na opisanie, lecz także pewnie nawet na wymienienie nazwisk wszystkich polskich architektów, którzy pozostawili swoje ślady w dalekim Baku. Zarówno w tym, jak i innych miastach Azerbejdżanu Polacy projektowali i wznosili domy, wille, pałace, budynki użyteczności publicznej, meczety, cerkwie i kościoły, kina, teatry, hale targowe czy fabryki. Kres intensywnego aktywności naszych rodaków na tych ziemiach położyły rewolucje 1917 r. i wojna domowa w Rosji. Przyłączony do Sowietów Azerbejdżan opuściła wtedy większość Polaków. Pozostał po nich trwały ślad, którym można podążać, odkrywając „kraj ognia”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

JEEP AVENGER (WERSJA BENZYNOWA)

W numerze „DRz” 25/2023 opisałem wrażenia z krótkiej jazdy elektrycznym avangerem, który kosztuje co najmniej 185,7 tys. zł. Obiecałem wówczas test o wiele tańszej, tradycyjnej benzynowej wersji dla tych kierowców, którzy nie chcą płacić kokosów za elektryczne auto i ceną praktyczność napędu spalinowego.

Najnowszy i jednocześnie najmniejszy jeep w historii amerykańskiej marki można kupić już za 99,9 tys. zł. Auto produkowane w fabryce w Tychach atrakcyjną ma jednak nie tylko cenę.

SUV segmentu B mierzy 4,08 m długości. Niewielkie auto mimo pudełkowatych wymiarów wygląda nadzwyczaj dobrze. Zresztą „polski” jeep może się już pochwalić tytułem „Car of the Year”, czyli prestiżową nagrodą przyznaną przez 57 jurorów z 22 państw. Jest to pierwszy taki tytuł zdobyty przez model tej amerykańskiej marki. Można się więc spodziewać, że za kierownicą avengera częściej zasiadać będą kobiety.

I chociaż na pierwszy rzut oka przypomina niemal zabawkową wersję swych potężniejszych i starszych braci, a do tego ma napęd wyłącznie na przednią oś (opcji 4 x 4 na razie nie ma nawet za dopłatą), to jako „miejska terenówka” sprawdza się dobrze. Wysoki prześwit (20 cm) pozwala sprawnie pokonywać wysokie krawężniki i wdrapywać się na miejsca niedostępne dla

osobówek grających w tej samej miejskiej lidze, jak np. VW Polo. Siedzi się wysoko, dzięki czemu widoczność z przodu też jest lepsza niż w zwykłej osobówce. Na pochwałę zasługują też dobrej jakości obraz z kamery cofania oraz promień skrętu, który wynosi tylko 10,5 m. Bezpośredni układ kierowniczy pozwala na prowadzenie auta jednym palcem. Paniom – choć nie tylko im – spodobać się też mogą specjalnie zaprojektowane fragmenty zderzaków, które są nieco bardziej odporne na drobne przygody parkingowe.

Z przodu jest sporo miejsca, schowków jest dużo (choć mniej niż w wersji elektrycznej), a kufer o pojemności 380 l jest szeroki i ustawny. Z tyłu wyraźnie brakuje miejsca na nogi, ale nad głową przestrzeń ciągle jest, więc z jednej części miasta do drugiej przejadą na tylnej kanapie nawet dość wysocy dorośli (eksperymentu polegającego na jeździe w piątce dorosłych z jednego końca Polski na drugi bym już jednak nie polecał).

Turbodoładowany silnik o pojemności 1,2 l i mocy 100 KM dobrze współpracuje z sześci-

biegową skrzynią manualną. Avenger od zera do setki przyspiesza w 10,6 s (o ok. 1,5 s wolniej niż wersja elektryczna). Prędkość maksymalna to 184 km/h. Średnie spalanie w cyklu mieszanym podczas testu wyniosło ok. 6 l/100 km.

Auto pewnie się prowadzi również poza asfaltem, choć zawieszenie jest raczej przystosowane do pokonywania „śpiących policjantów” w mieście niż potężnych dziur na dzikich polach. Również wygłuszenie jak na tę półkę cenową jest przyzwoite (zwłaszcza do 120 km/h). Avenger jest też uzbrojony w wiele nowoczesnych rozwiązań zwiększających bezpieczeństwo i ułatwiających życie kierowcy.

Nowiutkim „polskim” jeepem w podstawowej wersji spalinowej można wyjechać z salonu za jedyne 99,4 tys. zł. I nawet w tym wariantcie są np. asystent pasa ruchu czy system hamowania awaryjnego w funkcji wykrywania pieszych i rowerzystów. Za 131,8 tys. można zaś kupić najlepiej wyposażoną wersję Summit. Szkoda jednak, że nie ma żadnej wersji z automatem. ©



HUAWEI MATEBOOK X PRO 2023

Eleganckie wzornictwo, lekka konstrukcja, fantastyczny dotykowy ekran 3,1K o proporcjach 3:2 i wysoka wydajność dzięki zastosowaniu najnowszego procesora Intelu – to najważniejsze zalety najnowszej edycji ultrabooka z najwyższej półki cenowej chińskiej marki Huawei.

Jeden z najlepszych ultrabooków na rynku sześć lat temu szokował recenzentów niezwykle wzornictwem. Najnowsza wersja mocno przypomina tę sprzed roku, więc nie wprawia już w aż taki zachwyt, ale design nadal robi wrażenie: komputer jest elegancki, a otaczające ekran ramki są wręcz niewiarygodnie wąskie. Z obudową ze stopu magnezu w kolorze granatowym testowany ultrabook o przekątnej ekranu 14,2 waży zaledwie 1,26 kg. Powłokę zewnętrzną uformowano w procesie utleniania plazmowego, co zwiększa odporność konstrukcji na korozję. Na pochwałę zasługuje sam ekran o rozdzielczości 3,1K (3120 x 2080) oraz częstotliwości odświeżania 90 Hz.

Do zalet testowanego modelu należy też wysoka wydajność. To zasługa procesora Intelu 13. generacji (i7-1360P), który współpracuje z 16 GB pamięci RAM (jej taktowanie zwiększono z 5200 do 5600 MHz). Wewnątrz zamontowano także zintegrowany układ graficzny Intel Iris Xe w najwydajniejszej wersji. Mimo wysokiej mocy ultrabook działa wyjątkowo cicho, na baterii pracuje do 10 godzin i nie grzeje się jak wściekły nawet przy wysokim obciążeniu pracą.



Huawei MateBook X Pro 2023 został też wyposażony w nową antenę do obsługi sieci bezprzewodowych. Tegoroczny model ma też tryb superszybkiego ładowania, dzięki któremu wystarczy rozładowany laptop na 10 minut podpiąć do znajomego np. na lotnisku gniazdka, aby móc dalej pracować przez dwie godziny (ale naprawdę pracować, a nie grać w wypasione gry!). Fantastycznie działa również ukryty

w przycisku zasilania czytnik linii papilarnych.

Minusy? Przyczepić można się do rozdzielczości kamery, która wynosi tylko 720p (brakuje też fizycznej przesłony). W najnowszej wersji ultrabookowego flagowca próżno też szukać portu USB-A (w zestawie jest jednak odpowiednia przejściówka dla sentymentalnych klientów).

Największą wadą testowanego komputera jest jego cena. Niestety, Chińczyki wiedzą, że trzymają się mocno, i każą głęboko sięgać do kieszeni. Za najnowszą edycję trzeba zapłacić aż 9999 zł (choć w prezencie od producenta dostaje się również słuchawki, plecak i trzyletnią gwarancję). ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Busza – tragiczna hańba Żółkiewskiego



Busza nad rzeczką Murafą na Podolu to kolejne malownicze miasteczko kresowe, niegdyś przygraniczna twierdza i miejsce, gdzie na każdym kroku spotyka się pozostałości dawnych umocnień. W 1617 r. omal nie doszło tu do bitwy pomiędzy armią koronną hetmana polnego Stanisława Żółkiewskiego a wojskami tureckimi Iskendera Paszy. Korzystając bowiem z zaangażowania Rzeczypospolitej w inne konflikty, Porta Otomańska postanowiła wymusić na niej zrzeczenie się władzy nad księstwami naddunajskimi i ukaranie Kozaków napadających na nadmorskie miasta i osiedla. A pamiętać należy, że mieliśmy wówczas komplet przeciwników. Na wschodzie królewicz Władysław wyprawiał się na Moskwę, po carski tron, na północy trwała wojna ze Szwecją, ledwie uspokojona była też konfederacja wojskowa.

Hetman polny koronny 7 września rozłożył się obozem pod Buszą, sypiąc szanse przeciwko nadchodzącym zza Dniestru siłom osmańskim. Pięć dni później nadszła ok. 15 tys. wojska Iskendera Paszy, wśród którego byli Turcy, tatarska orda pod Kantymirem, zakamieniałym wrogiem Lachów, posiłki z Mołdawii, Siedmiogrodu i Wołoszczyzny, słowem – poza nielicznymi janczarami i Tatarami – zbieranina. Tymczasem wojsko Żółkiewskiego, wsparte prywatnymi chorągiewami książąt Zbaraskich rwało się do boju. Jednak mimo że Turcy spalili przygraniczny Raszków, hetman nie zdecydował się na walkę, ale przystąpił do rokowań. Gdy orda Kantymira rozpoczęła najazd na okolicę, Żółkiewski bawił się



FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

w kunktatora, zawierając 23 września traktat, który ściągnął na jego siwą głowę prawdziwą burzę. Obie strony deklarowały powstrzymanie napadów Kozaków i Tatarów, a Rzeczpospolita miała dalej płacić upominki Tatarom. Dodatkowo zobowiązała się do niewtrącania się w sprawy Siedmiogrodu, którego książę Bethlen Gábor wspierał protestantów w Rzeszy, a także pozostawienia spraw Mołdawii i Wołoszczyzny w ręku tureckim. Żółkiewski zgodził się na spalenie przygranicznej Berszady należącej do książąt Zbaraskich i będącej, podobnie zresztą jak Busza, schronieniem dla przygranicznych awanturników i Kozaków. Oddał gospodarowi Mołdawii twierdzę Chocim, a kiedy komendant – Mikołaj Iwonia – nie chciał jej wydać, kazał go ściąć. Traktat pod Buszą nie zapobiegł przy tym splądrowaniu przez Tatarów Podola. Natomiast hetman po jego zawarciu mógł odeśłać większość wojska na pomoc idącemu na Moskwę królewiczowi Władysławowi.

Nic więc dziwnego, że układ uznany został w opinii publicznej za haniebny. Ogromny krzyk

podnieśli Zbarascy, właściciele Berszady – wynajęci przez nich XVII-wieczni hejterzy; w tej roli dworscy poeci i publicyści zaczęli tworzyć pamflety i paszkwile oczerniające Żółkiewskiego. „Dawni hetmani małymi wojskami gromili nieprzyjaciela, ale w hetmanie żadnej cnoty nie ma; dba tylko o rozgłos i piękny dostatek. Pokój buduje ten polski Fabiusz na traktatach; oczekuje, nie zwodzi bitwy, słowem, wojuje, szablą nie dobywając. Jest to tchórzostwo apelować do króla, zamiast bić się z wrogiem” – pisali w anonimowym druku ulotnym.

Czy zarzuty były słuszne? Wydaje się, że w obliczu wojny na trzy fronty Żółkiewski nie miał zbyt wielkiego pola manewru, kładąc słusznie nacisk na to, aby najpierw rozprawić się z Moskwą. Zawarty cztery lata później traktat pod Chocimem zawierał wszak podobne warunki, a osiągnięty został krwawym wysiłkiem militarnym. Niechęć pomiędzy Żółkiewskim a Zbaraskimi i innymi rodami magnackimi stała się powodem kolejnej kompromitacji hetmana – rok później pod Oryninem, kiedy połączone siły polskie nie były w stanie zatrzymać kolejnego najazdu Ordy. „O fałszywy stróżu Rzeczypospolitej, o wierutny zdrajco, puszczałeś na rabunek kraje ruskie, przedałeś wiarę i cnotę swoją, ukradłeś męstwo i sławę rycerstwa polskiego. Bić się tu, nie prosić trzeba!” – pisano w paszkwilach. Żółkiewski przeżywał to mocno, dwa lata później – chcąc zmyć z siebie hańbę – w 1620 r. wyprawił się do Mołdawii, gdzie zginął. ©



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Bób alternatywą dla mięsa

Historia tego cudownego warzywa obfitego w pełnowartościowe białko, witaminy i minerały sięga starożytności. Najstarsze wzmianki możemy znaleźć w Mezopotamii, Fenicji i Syrii. Popularny był również w całym Cesarstwie Rzymskim.

Bób jest ceniony przez mistrzów sztuki kulinarnej. To doskonała alternatywa dla mięsa. Chętnie wybierają go weganie i wegetarianie. Przyszłe mamy powinny jak najczęściej jeść bób, szczególnie latem, gdyż jest on bogaty w najcenniejszą substancję dla prawidłowego funkcjonowania naszego organizmu, a szczególnie dla prawidłowego rozwoju płodu – czyli kwas foliowy oraz witaminy z grupy B. Jego skórka jest bogata w błonnik. Osoby, które szczególnie dbają o linię, mogą śmiało się bobem zająć – jest syćący, a ma stosunkowo mało kalorii.

Bób najlepiej kupować z samego rana, bezpośrednio od producenta, a jeśli nie mamy takiej możliwości, to zaraz po zakupie powinniśmy wyjąć go z torebki foliowej, aby nam się nie zaparzył.

A jak powinno się go jeść? Bardzo dobrze smakuje na surowo, szczególnie na samym początku sezonu, kiedy jest młody i jasnozielony. Możemy go również przygotować na parze i ugotować w wodzie.

Nie powinniśmy go rozgotować, bo wtedy nie jest smaczny (czas gotowania to 5–10 min). Doskonale pasuje jako dodatek do sałatek. Możemy przygotować z niego smażone kotleciki warzywne, przypominające arabskie falafele, czy pastę do smarowania pieczywa albo stosować jako dodatek do makaronu.

Przepis na kotleciki z bobu

- 350 g ugotowanego bobu
- 2 duże jajka • 1 rozgnieciony ząbek czosnku • 5–6 łyżek bułki tartej • 1 łyżka oliwy • 2–3 łyżki soku z cytryny • 1 średnia cebula posiekana • ½ szklanki posiekanych ziół (pietruszka, koperek, bazylia) • ½ szklanki oliwy do smażenia

Bób gotujemy w osolonej wodzie do miękkości ok. 10 min, schładzamy. Przekładamy do blendera, dodajemy wszystkie składniki z przepisu, część bułki tartej, czosnek przeciśnięty przez praskę. Blendujemy, z masy formujemy małe kuleczki, obtaczamy w roztrzepanym jajku i w bułce tartej. Na rozgrzanej patelni smażymy z dwóch stron na złoty kolor.

Podajemy z sosem jogurtowym z czosnkiem i ze świeżymi ziołami. © ©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Człowiek z gazetą

Chciałam owinąć szparagi w zwilżoną gazetę, żeby włożyć je do lodówki, ale uświadomiłam sobie, że przecież od dwóch lat nie mamy papierowych gazet. Prenumerujemy jeszcze parę magazynów, ale one się nie nadają ani do opakowania czegokolwiek, ani nawet na podpałkę do ogniska. Zapewne wydziałyby trujące opary farb drukarskich. W niebieskich workach na papier są głównie opakowania i tektura po paczkach. Mój mąż starannie odrywa od nich taśmę klejącą i wrzuca do plastiku.

Wciąż nie mogę się pogodzić z brakiem papierowej gazety. To było takie miłe, kiedy mieliśmy ją w prenumeracie i dzień rozpoczynało się od kawy z gazetą. Obecnie ze smartfonem, niestety.

Wciąż mam w pamięci widok mego taty już na emeryturze, siedzącego w fotelu (zawsze w marynarce i krawacie) i połączanego w lekturze „Słowa Powszechnego”.

To były praczasy, ale widok człowieka czytającego papierową gazetę w niektórych miejscach świata wcale nie jest prehistorią. To prawie ikoniczny widok dla okresu, który może kiedyś przędzie do historii świata jako papierowy. Jeszcze w latach 90. w londyńskim metrze czytałam przez ramię pewnego pana jego „The Telegraph”. Mimo że starałam się zachować przyzwoitą odległość, ten dobrze wychowany džentelmen w pewnym momencie

odwrócił się i wyciągając do mnie płachtę gazety, powiedział uprzejmie: „Proszę, niech pani sobie weźmie”.

Tak, wiem, duże płachty gazet, jak kiedyś nasza „Rzeczpospolita”, jak wciąż „New York Times”, są niewygodne w czytaniu i więcej drewna na to idzie. Ale gazeta taka miała przecież drugie życie. Zawijano w nią śledzie (wiem z literatury, nie widziałam), w Anglii chips & fish miały sens tylko wtedy, kiedy jadło się je z „Timesa”. Każdy remont wymagał wysłania podłóg gazetami, każda paczka ze szkłem była nimi wypchana. Jeszcze bywa! Całkiem niedawno razem z figurką przysłaną z Anglii otrzymałam w gratisie zestaw egzemplarzy „Daily Mail” i nie mogłam się oderwać od lektury.

Rozpalanie pieca w naszym domu na wsi także zawsze poprzedzała lektura niezbędnych do tego gazet. Gdy rozpalać leżący na ziemi przed otwartymi drzwiczkami pieca znalazł w prasie interesujące treści, proces rozpalania się przedłużał, domownicy marzli, a z pieca zamiast ognia wydobywał się dym. Jako relikwii czasów traktuję leżące w naszej piwnicy powiązane sznurkiem paczki starych „Przekrojów” i tygodników „Stolica”. Jeśli się czegoś szuka, to łatwiej tam znaleźć, niż gdyby się buszowało po wyszukiwarkach. Może i ja się do tego zabiorę, ale raczej już w drugim życiu. © ©



Jerzy Karwelis

DEKAMERONKI

Lekarze foliarze

Setki medyków są obecnie w Polsce pozywane przed sądy lekarskie za to, że podjęli się leczenia pacjentów na COVID-19 wbrew ówczesnym zaleceniom wynikającym z aktualnej (wtedy) wiedzy medycznej. Pomińmy tu kuriozalny wątek zaprzeczania istoty działalności lekarza, który wedle własnej wiedzy ma dobierać terapie. Kuriozalne jest też co innego – samo kryterium „ówczesnego poziomu wiedzy”. Zakłada ono, że ten poziom się zmienia i paradoksalnie może się okazać, że sądzeni lekarze (po nabraniu, z upływem czasu, „innej” wiedzy przez naukę) podjęli wtedy słuszną decyzję, ale wbrew ówczesnej wiedzy. I za to mają być ukarani teraz, czyli może za coś, co okazuje się, że zadziało.

Każde to zadać sobie pytanie o istotę takiego podejścia do nauki. W niej nie ma czegoś takiego jak suma własnych ustaleń na dany moment, bo nauka, jeśli oczywiście ma być nauką, polega na nieustannym kwestionowaniu swego dorobku. Inaczej by się nie rozwijała. Często na drodze do prawdy stoją właśnie jakieś kliki uczonych o różnych motywacjach, jednak zawsze wtedy kwestionujące nowość, by utrzymać status quo. W dodatku w przypadku COVID-19 nie chodziło o jakieś wymysły, ale właśnie o to, że lekarze wzywali do stosowania już istniejących i znanych od lat procedur i terapii. Instytucjo-

nalne mechanizmy, hamujące to, mają najczęściej bardzo merkantylne przyczyny, o czym mówi poniższy przykład z historii medycyny.

Około 1848 r. Ignacy Semmelweis, pracując w szpitalu w Wiedniu, odkrył, że lekarze powinni myć/odkładać ręce po defekacji, grzebaniu w trupach i innych czynnościach, bo przenoszą śmiertelne patogeny na rodzące kobiety. Stał się wrogiem numer jeden ówczesnego „konsensusu naukowego”. Wiele lat zajęło mu użeranie się z ówczesnym betonem, dopiero w 1861 r. udało mu się opublikować pracę, która dotarła szerzej do lekarzy. Wcześniej, w 1858 r., wydał publikację „Etiologia gorączki połogowej” tylko dzięki temu, że jego przyjaciel założył „Dziennik Medyczny”. Mimo że Semmelweis radykalnie zmniejszył śmiertelność w szpitalu swoim oraz innych, które zaadaptowały jego metody, stał się wrogiem rozumu, foliarzem i szurem. Włożono masę wysiłków, aby zdyskredytować prace tego wybitnego lekarza. Ostatecznie Semmelweis z powodu ciągłych ataków ze strony lekarzy, którzy nie chcieli zaakceptować jego teorii o myciu rąk, sterylizacji narzędzi chirurgicznych, zapadł na chorobę psychiczną i zmarł wkrótce po przyjęciu do szpitala psychiatrycznego w Wiedniu.

Dziękuję @ToeNegro za inspirację. ©©



Jan Pospieszański

#WARTO

Tresowanie celebrytów

18 czerwca w Gnieźnie, w kościele pw. bł. Radzyna Gaudentego, osoba identyfikująca się jako transkobieta zakłóciła Mszę św. Uczestnicy relacjonują, że podczas kazania osoba ta demonstracyjnie opuściła świątynię, potem wróciła i wykrzykiwała w kierunku kapłana. Kapłan próbował odpowiedzieć. Sprawca zamieszania, wykrzykując, zrobił kilka kroków w jego kierunku. Chodzący o kulach uczestnik Mszy św. zagroził mu drogę. To dodatkowo wzburzyło intruza. Wierni musieli wyprowadzić go z kościoła.

Osoba, która wywołała awanturę, widywana jest parafii, a w relacji „Wyborczej” przedstawiana jest jako „naukowczyni poznańskiego UAM”. O zajściu być może nigdy byśmy się nie dowiedzieli, gdyby nie emocjonalny wpis w mediach społecznościowych na profilu „Klaudiusz Święcicki”, zacytowany przez portal moje-gniezno.pl, a następnie teksty „Wyborczej” i Gazeta.pl. Przepraszam, ale muszę zamieścić próbkę tego specyficznego języka. „Wróciłam wcześniej z Eucharystii w mojej parafii pw. bł. Radzyna w Gnieźnie. Mszę miał proboszcz ks. dr Andrzej Szczepny. Nie wytrzymałam jego toksyczności i publicznie przerwałam mu pod koniec homilii [...]. Msza św. jednak nie może być miejscem utrzymywania feudalnej i patriarchalnej dominacji kleru nad laikatem. [...] Msza

św. to Agape, uczta, miejsce spotkania w siostrzeństwie i braterstwie” (!).

Jak się dowiadujemy, „przestępstwem” celebrytów była prośba o modlitwę za kapłanów i nowe powołania, a także porównanie do postaw niektórych wiernych, którzy, zamiast się modlić za kapłanów, obgadują ich. Ksiądz odniósł się też do nadużyć seksualnych duchowieństwa, eksponowanych nieproporcjonalnie przez media, przy jednoczesnym ignorowaniu podobnych przypadków w innych środowiskach. W tym kontekście wymienił nazwę stacji TVN.

A więc tym razem już nie bojówki strajku (niektórych) kobiet, już nie agresorzy z zewnątrz, ale świadome i przemyślane zakłócenie Eucharystii. Sprawcą nie jest pijany napastnik, ale osoba ze środowiska akademickiego, uznająca, że należy do Kościoła, i przyznająca sobie mandat, by Kościół zmieniać. Mamy więc nowe zjawisko, które określe jako „synodalność bezpośrednią”. Agresor (na profilu „Klaudiusz Święcicki”) komplementuje dominikanów, papieża Franciszka i wskazuje wzór dla polskiego Kościoła – niemiecką „drogę synodalną”. Brak reakcji kurii na zakłócenie Mszy św. pokazuje, że hierarchia nie broni autonomii Kościoła przed agresją ze strony tęczyowych radykałów. Ilu duchownych, wobec takiej postawy kurii, będzie miało odwagę głosić prawdziwą katolicką naukę? ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Stało się

Stało się! Mamy nowe stosunki. Stop. Nie no spokojnie, nie będę tu deprawować, kamasutrzyc, mamy nowe stosunki międzynarodowe. Stop. Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro nazwał „Bezczelnym Szwabem”, tak, tak „Bezczelnym Szwabem”, Manfreda Webera, szefa potężnej Europejskiej Partii Ludowej, który zastąpił Donalda Tuska, który to Donald Tusk był wcześniej szefem EPL. Stop. Przed Donaldem Tuskiem rok temu postawiono, zdaje się, nowe zadania, a sama Ursula von der Leyen (traf chciał, że też Niemka) mówiła, gdy Donald opuszczał stanowisko: „Drogi Donaldzie, jesteś uosobieniem naszych wartości. Teraz wracasz do swojej ojczyzny, aby ich bronić”. Stop. Niektórzy się boją, że pan Donald będzie bronić niemieckich wartości, a inni, że nie, bo to chodzi o europejskie. Stop. Natomiast ważne jest, czemu to, a czemu Zbigniew minister tak obcesowo do Manfreda z CDU/CSU Webera? Stop. Gdyż tenże Weber raczył wypowiedzieć słowa: „Budujemy zaporę ogniową przeciwko PiS. Jesteśmy jedyną siłą, która może zastąpić PiS w Polsce i poprowadzić kraj z powrotem do Europy”. Stop. Generalnie Niemiec, który oficjalnie mówi, że chce obalić demokratycznie obrany rząd, to jednak bezzczelny Szwab, niemniej – jak mówi to minister – to stosunki są nowe. Stop.

Czepiają się w mediach społecznościowych Donald, jak tylko mogą. Stop. Media społecznościowe przy-uwały, że wystąpił on na wystąpieniu w takich jakby trampkach, o wyglądzie, jakby były po wieloletnich przejściach. Stop. Okazało się jednak, że to tak ma być, bo to taki włoski dizajn znanej firmy włoskiej, i że one kosztują ponad 3 tys. zł, ale przyznać trzeba, że dwa. Stop. Wtedy wystąpił Bronisław Komorowski i po-

**Niemiec, który
oficjalnie mówi,
że chce obalić
demokratycznie
obraną rząd, to
jednak bezzczelny
Szwab**

wiedział, że buty za ponad trzy tysie nie za bardzo, że można do pół tysia, znaczy do 500 zł. Stop. Problemy Polski A. Stop.

Teraz coś o celebrytach. Stop. Będzie o Jakubie Rzeźniczaku, o którym niektórzy wiedzą, że jest piłkarzem. Stop. Piłkarze mają klawę życie i on w ramach klawactwa udzielił wywiadu, niestety. Stop. W tym wywiadzie rzekł, że matka jego dziecka była escortem, czyli dziewczyną na telefon, i że on jej za spotkania płacił. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Manlichertrottel

Jednym z bohaterów ulubionej przeze mnie powieści „Przygody dobrego wojska Szwajkera” jest płk Fryderyk Kraus von Zillergut. Ma on w zwyczaju objaśniać swoim słuchaczom najbardziej elementarne pojęcia.

„Droga, która po obu stronach ma rowy, nazywa się szosą. Tak, panowie. Wiecie, co to jest rów? Rów to wykop, nad którym pracuje sporo ludzi. Jest to zagłębienie. Tak. Kopie się rydlami. Wiecie, co to jest rydel?”

Pułkownik von Zillergut „był tak potwornie głupi, że oficerowie uciekali od niego i omijali go z dala, żeby nie słuchać jego wykładu, że trotuar oddzielony jest od jezdni, że jest to podwyższony pas bruku przed frontem domu, front domu zaś to ta część, którą widzimy z ulicy albo chodnika”.

Gdzie mają jednak uciekać widzowie polskiej telewizji i Internetu? Od wielu już miesięcy jesteśmy narażeni na kontakt z komentatorami wydarzeń rozgrywających się na Ukrainie i w Rosji. Są to często byli wysocy oficerowie, niedawno odesłani na sowitą emeryturę. Wygadywane przez nich androny nawet wojska Szwajkera wprawiłyby w osłupienie.

Jednego dnia „były dowódca” opowiada, że Prigożyn to kukiełka bez znaczenia. Następnego dnia ten sam „znakomity specjalista” ostrzega przed rosnącym w siłę Pri-

gożynem. Mija dzień i „każdy, kto poznał Rosję, rozumie”, że Prigożyn nie przeżyje miesiąca. Jeśli przeżyje – „to zawsze było oczywiste”.

Nie mając do powiedzenia nic interesującego, utytułowani eksperci opisują po prostu, co widzą. Tu zaczyna się stosować metodę Zillerguta. „Prigożyn jedzie na Moskwę. Moskwa to rosyjska stolica. Co to jest stolica? To siedziba najwyższych władz, Putin tam urzęduje. Jak jedzie do stolicy? Jedzie szosą. Dlaczego akurat szosą? No cóż, spójrzmy na fragment filmu. Widać tam samochody. Samochodom najwygodniej jest przemieszczać się szosą”.

Eksperti sądzą zapewne, że widzowie nie pamiętają niczego, co powiedziano im dawniej niż wczoraj. Przeszłe, nietrafione prognozy same się w ich umysłach kasują. Po co do tego wracać? Tłumaczyć też nie warto, lepiej podkręcać emocje, traktując widzów jak emocjonowane dzieci. „Putinowi źle z oczu patrzy. Pewnie by kogoś zabił, gdyby mógł”.

Ludzie rozumujący w ten sposób dowodzili niedawno polską armią. Niektórzy jeszcze w niej służą. Jedni i drudzy pozostawili po sobie wychowanków i uczniów. „Było naprawdę dziwne, że ten idiota mógł stosunkowo szybko awansować i że posiadał poparcie ludzi wpływowych” – zastanawiał się nad karierą płk. Zillerguta Jarosław Hašek. Kogo z nas to dziwi? ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Świętowanie czy plucie?

W maju land Hesja oraz miasto Frankfurt nad Menem zorganizowały obchody 175. rocznicy zwołania do dawnego miasta cesarskiego pierwszego ogólnoniemieckiego Zgromadzenia Narodowego, które od miejsca obrad przeszło do historii jako parlament frankfurcki. Inaugurację obchodów uświetnił swoją obecnością prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier (SPD), który podkreślił, że rocznica jest okazją do świętowania długich tradycji niemieckiego parlamentaryzmu, konstytucjonalizmu, rządów prawa. A więc tego wszystkiego, co składa się dzisiaj na „wartości europejskie”.

**Teza przemówienia była prosta:
„Dość tych zachwyty nad Polską.
Nadszedł czas zdrowego
egoizmu narodowego”**

Rocznicowe obchody mają trwać cały rok. Wykłady, wystawy, konferencje, koncerty mają przypominać frankfurctykom i wszystkim obywatelom Bundesrepublik, że nad Menem już ponad półtora wieku temu wytyczano szlak ku „wolności i różnorodności”.

W felietonie opublikowanym miesiąc temu na tych łamach wspominałem o tym, jak rocznicowe obchody powstania SPD z udziałem kanclerza Scholza służyły zaciemnieniu prawdy historycznej o „wolnościowym zacięciu” socjaldemokratów, które na długo przed Schröderem kazało im zawierać polityczne i gospodarcze deale z sowieckimi totalitarystami. Podobnemu celowi – wszystko

na to wskazuje – służą trwające obchody upamiętniające obrady parlamentu frankfurckiego. Upamiętniają wydarzenie i stereotypy, które wokół niego narosły.

Pierwszy mówi o tym, że obradujące w latach 1848–1849 we Frankfurcie, niemieckie Zgromadzenie Narodowe było unikalną szansą na „oddolne”, przeprowadzone na liberalnych zasadach, zjednoczenie Niemiec. Niestety, zwyciężyła pruska droga do zjednoczenia, „krwią i żelazem”. A przez to zjednoczona w 1871 r. Rzesza Niemiecka stała się siedliskiem militarystyki oraz nacjonalizmu i w ten sposób przygotowała drogę dla narodowego socjalizmu.

Prawdą jest, że w parlamencie frankfurckim większość mieli liberałowie oraz demokraci różnych frakcji. Prawdą jest, że parli oni do zjednoczenia Niemiec. Prawdą jest, że pracowali nad konstytucją dla przyszłej Rzeszy i nawet ją uchwalili, ofiarując w 1849 r. cesarską koronę królowi Prus Fryderykowi Wilhelmowi IV. Ten jednak odrzucił „koronę z krwi i błota” (według jego własnych słów).

Prawdą jest jednak również to, że dominujący w tej niemieckiej konstytucyjnej liberałowie kierowali się zasadą „zdrowego egoizmu narodowego”. Została ona proklamowana równo 175 lat temu, podczas przeprowadzonej w lipcu 1848 r. w parlamencie frankfurckim „debaty o Polsce”. Zastanawiano się, czy w skład przyszłej Rzeszy ma wejść również Wielkopolska. O polskim Pomorzu Gdańskim nawet nie dyskutowano, przyjmując za rzecz oczywistą, że jest to ziemia „rdzennie niemiecka”. Wątpliwości co do przyszłości Wielkiego Księstwa Poznańskiego rozwiązał w czasie Polendebrat

Wilhelm Jordan – wielbiciel filozofii Hegla i jeden z politycznych przywódców liberalnego obozu. Teza jego przemówienia była prosta: „Dość tych zachwyty nad Polską. Nadszedł czas zdrowego egoizmu narodowego”. A poza tym – jak argumentowali Jordan oraz inni liberalni posłowie – nie można dopuścić do tego, by Niemcy mieszkający nad Wartą jako reprezentanci Kulturvolk dostali się w przyszłości pod panowanie narodu znacznie mniej cywilizowanego od nich samych.

Parlament frankfurcki, kierując się więc „zdrowym egoizmem narodowym” i poczuciem wyższości niemieckiego „narodu – kultury”, podjął decyzję o przyłączeniu do przyszłej Rzeszy większości ziem Wielkiego Księstwa Poznańskiego. W reakcji na tę decyzję Zygmunt Krasiński w jednym z listów pisał: „Na sesjach we Frankfurcie nie byłem, bo nie cierpię słuchać kłamstw i w napastnikach, i w obrońcach, i śliny nie dość mam, by czterystu twarzom plunąć w oczy od razu”.

Zasadą „zdrowego egoizmu narodowego” parlament frankfurcki kierował się również w przypadku Danii, dekretując aneksję całego Szlezewiku (w tym także jego północnej części zamieszkałej przez Duńczyków) i popierając jednoznacznie wojnę państw niemieckich przeciw temu skandynawskiemu państwu. Po raz pierwszy król Prus zadarł z liberalną większością niemieckiego Zgromadzenia Narodowego, gdy pod naciskiem mocarstw europejskich zdecydował się na przerwanie działań wojennych i zgodził się na rozejm. To à propos „wartości europejskich” tak rzekomo mocno związanych z działalnością liberalnej niemieckiej konstytuandy. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Wtych dniach w USA mamy Dzień Niepodległości. Stany Zjednoczone ogłosiły, że przestają słuchać rozkazów brytyjskiego króla w roku 1776. Od tamtej pory każdego 4 lipca Amerykanie obchodzą hucznie kolejne urodziny swojego kraju. Teraz są to urodziny 247., ale większość młodych Amerykanów nie umiałaby tego policzyć nawet na kalkulatorze (nie znają daty początkowej, gdyż nie są uczeni historii oraz... nie potrafią liczyć). Poziom analfabetyzmu w USA jest obecnie podobny do tego, który Polska miała po drugiej wojnie światowej.

Pan bredzi, panie WC? Nie bredzę – dane urzędowe podaję. Amerykańskie! U nas wielu analfabetów umiało liczyć, choć nie umieli czytać. W USA większość analfabetów umie coś tam przeczytać (na poziomie SMS-a), ale z liczeniem gorzej. Szkoły w USA zajmują się różnymi rzeczami „ważniejszymi” od algebry, fizyki itp. Jeden z uniwersytetów w Teksasie wywalił profesora biologii, który nauczał, że płeć zależy od chromosomów X i Y, czyli nie jest kwestią dowolnego wyboru. Profesora wywalono, gdyż studenci nie chcieli tego słuchać i wyszli. A gdy studenci nie chcą czegoś słuchać, trzeba zmienić wykładowcę na takiego, który zacznie opowiadać historyjki miłe dla ucha. Doktor Varkey prowadził wykłady dotyczące rozmnażania człowieka (a nie zaburzeń psychicznych). Prowadził wykłady „Fizjologia i anatomia człowieka” od 20 lat i nigdy nie było problemów. Zaczęły się teraz i...



FOT. W. CEJROWSKI / LUDY / ARS SANS SOUS

to on wyleciał na zbity pysk, a nie studenci.

Moja koleżanka poszła do ginekologa w USA i wyszła wkrótce po tym, gdy została zapytana o płeć.

– Przecież przyszłam do GINEKOLOGA – mówi recepcjonistce.

– Tak. Ale jakiej płci pani jest i czy mam się do pani zwracać per „pani”, „pan” czy jeszcze jakoś inaczej? Muszę to zapisać w karcie, aby pan doktor wiedział.

– Mam narządy rodne kobiety i z tym tu przyszłam.

– Bardzo prawidłowo, gdyż pan doktor zajmuje się narządami rodnymi, ale ja pytam, jakiej pani jest płci.

– Jesteśmy w gabinecie LEKARSKIM?

– Jak najbardziej.

– NO TO KTO, DO CIĘŻKIEJ CHOLERY, MA NARZĄDY RODNE? DO RODZENIA DZIECI! KTO JE MOŻE MIEĆ, JEŻELI NIE WYŁĄCZNIE I ZAWSZE KOBIETA?

– Bywa różnie. Proszę się nie denerwować, tylko zadeklarować swoją płeć, żeby doktor wiedział, kogo leczy.

– Zróbmy tak. Może ja się po prostu rozbiórę w gabinecie, a doktor sam stwierdzi, jakiej jestem płci?

– Na podstawie samych genitaliów nie będzie w stanie...

W tym momencie moja koleżanka wyszła i zadzwoniła do mnie z pytaniami, co ma robić.

– A gdzie teraz jesteś?

– W Nowym Jorku.

– No to może... najłatwiej będzie, gdybyś wsiadła w samolot do Polski. Może też być do Meksyku. Broń Boże do Kanady! Możesz też polecieć tu do mnie, na Dziki Zachód, i znajdę ci normalnego ginekologa na głębokiej prowincji.

– Se żartujesz?

– Nie. Taka jest teraz... doktryna w USA. Płeć się wybiera.

– A gdybym powiedziała lekarzowi, że jestem facetem, to mi zapisze kurację dla facetów?

– Nie wiem, co ci robi w Nowym Jorku, ale jest szansa, że zaczniesz cię leczyć jak faceta z macicą.

– Oszalałeś czy se żartujesz?

– Oni oszaleli. Ja jestem zdrowy. Ale! Oni mnie traktują jak wariata, a sami siebie uważają za zdrowych.

– Czy ja jestem w Ameryce czy gdzie?

– Przyleciałaś do Ameryki, której już nie ma. Mam nadzieję, że jej nie ma chwilowo. Mam nadzieję, że się tylko upiła i szybko wytrzeźwieje.

W Polsce też oszaleli albo się upili. (Z nadzieją na poprawę gorzej). Mamy zagrożenie wojenne, ale jednocześnie rząd ogłasza z dumą, że oddał za darmo tysiąc karabinów na Ukrainę. Kurka wodna! Ile karabinów mamy teraz? – ZA MAŁO – mówi minister wojny RP. – I dlatego musimy przyspieszyć produkcję i zwiększyć zakupy.

Ile mamy amunicji? – Za mało! – mówi władza. – I dla-

tego musimy zwiększyć produkcję i zakupy zagraniczne.

OK, ale te tysiąc karabinów to jest wyposażenie dla tysiąca polskich żołnierzy. Dlaczego myśmy to oddali za granicę?

– Bo wojna jest tuż pod naszą granicą! – odpowiada władza.

Sprawdziłem! (Władza to najczęściej tłumoki, które nie załapały się do żadnej normalnej roboty, dlatego kandydują na stanowiska i dlatego warto sprawdzać z kalkulatorem w ręku każde ich pomysły i oświadczenie). Z mojego sprawdzania wyszło mi, że nawet ja dałem się nabrać. Ogólnie narracja jest taka, że mamy wojnę „tuż pod granicą RP”. No to popatrzyłem na mapę i...

Wyszło mi, że z Włocławka (który leży mniej więcej w centrum Polski) jest bliżej do Belgii czy Włoch niż na pierwszą linię ukraińskiego frontu.

Włocławek – Charków = 1465 km. Włocławek – Wenecja = 1285 km.

Wyszło mi też, że z Warszawy na front ukraiński jest tyle co z Warszawy do Paryża. Bruksela jest tak samo daleko od Polski co front. Siedziba główna NATO jest tak samo daleko co front. O kurka wodna! Czyli kto szybciej dojedzie?

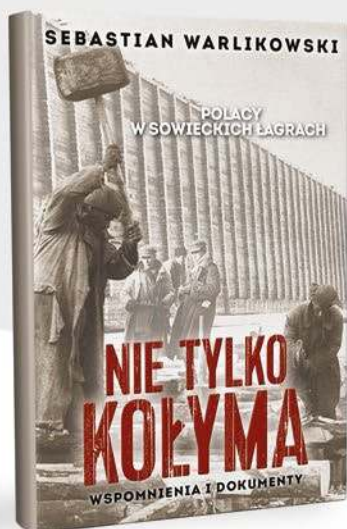
Z kolei z Charkowa lub Kijowa do Moskwy jest o wiele bliżej. Zastanówmy się więc, gdzie wylądujemy, gdyby (z dowolnego powodu) Moskwa dogadała się z Kijowem. Mają bliżej i obie strony rozmawiają płynnie po rosyjsku.

Pan bredzi, panie WC. Oczywiście, że bredzę, ale... Te brednie są teoretycznie możliwe, prawda? Na wypadek teoretycznego pożaru w samochodzie mamy gaśnicę, której nigdy nie używamy. Czy mamy cokolwiek na wypadek, gdyby Moskwa dogadała się z Kijowem? ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

SEBASTIAN WARLIKOWSKI:
„POLACY W SOWIECKICH ŁAGRACH.
NIE TYLKO KOŁYMA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~929~~zł

346,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 583zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl c6b73b7308

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



NA TROPIE WOŁYŃSKICH DOŁÓW ŚMIERCI

Odnaleźć i pochować
ofiary banderowców

Zagłada Ostrówek i Woli Ostrowieckiej – szokujące kulisy jednej z największych zbrodni UPA

Ścięcie Samuela Zborowskiego – zemsta Jana Zamoyskiego na znienawidzonym rodzie?

Starcie tytanów na łuku kurskim – po tej klęsce Niemcy już tylko ustępowali Sowietom

Towarzyszka „Ola” z dynamitem – była kierowniczką składu amunicji bojówki PPS, przewoziła broń i kochała się w Józefie Piłsudskim

Epopeja Haralda Srogiego – jego usiana trupami droga do tronu Norwegii liczyła tysiące kilometrów

Rywalizacja o półprzewodniki – przewaga uzyskana na starcie wyścigu nie została przez Amerykanów oddana do tej pory

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**